

ŻĄDANI: W PARYŻU CHYRA I WARLIKOWSKI • NA EKRANIE SZYMBORSKA • W WYWIADZIE MIŁOBĘDZKA

PRZE KROJ

NR 73 / 16 LUTEGO 2010 / CENA 4,95 ZŁ

(W TYM 7% VAT)

LCM
SZYMBORSKA
ZIEWNIK

>74

ANZ MANN
ROJ
ARSKIEGO

>12

POLAŃSKI POWRÓT REŻYSERA

JESTEM
OSZOŁOMEM
*Najszubowi
mówi
Tymański*
>26

ISSN 0033-2488



07

770033 248007

PRZEKROJ.PL

>52 i 64

XXI ZIMOWE IGRZYSKA OLIMPIJSKIE VANCOUVER 2010



W DRODZE DO VANCOUVER WSPIERAJĄ NAS:

SPONSOR GENERALNY

SPONSORZY POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

OFICJALNI PARTNERZY



Generalny Sponsor Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej



NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ: MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU O KIM NIE PISZEMY...

...o **Ryszardzie Sobiesiaku** nazwanym w niektórych gazetach „głównym bohaterem” afery hazardowej i o jego występie przed komisją śledczą badającą tę sprawę. Nie piszemy o panu Sobiesiaku, bo poza podziwem dla jego buty i determinacji „nie mamy nic więcej do dodania”. Nawet niepytani. Zresztą gdybyśmy mieli, to i tak „nie pamiętamy”, co by to mogło być.

...o **Andrzeju Lepperze**, głównym bohaterze seksafery i o jego wyroku. Bo nie udało nam się dowiedzieć, czy to praw-

da, że w całym kraju trwa gorączkowe sprawdzanie, z którego zakładu karnego jest najbliższe do solarium. Panie Andrzeju, obiecujemy, że napiszemy wtedy, gdy dotrze pan już do Strasburga w (samo)obronie – jak to leciało – własnej godności?

...o **Stanisławie Łyżwińskim**, bo w jego przypadku już zupełnie nie ma o czym pisać ze względu na stan zdrowia drugoplanowego bohatera seksafery.

...o **bohaterach afery naciskowej**. Z paru powodów. Żeby nie

pisać o bohaterach trzecioplanowych. By nie wyszło na jaw, że znów żyjemy w kraju pełnym afer, bo wtedy kolejny raz będziemy musieli pisać o powrocie do władzy Zbigniewa Z. i s-ki.

...o **Wojciechu Hofliku**, dyrektorsze telewizyjnej Jedynki, który zdjął z anteny „Teleranek”. Hoflik widocznie nie wiedział o tym, o czym wiedzą nawet najmniejsze dzieci – że historia do dziś nie wybaczyła innemu Wojciechowi podobnego czynu – z grudnia 1981 roku.

– ju

PRZEKROJ

4 | Świat według „Przekroju” Juliusza Urbanowicza i Orbita „Przekroju” Agnieszki Graff

8 | Kawa bez cukru Bogdana Rymanowskiego

10 | Krótko

KRAJ I ŚWIAT

12 | Claude Lanzmann broni Jana Karskiego przed fałszerzami historii

16 | Zaglądamy w serducha Polaków na Białorusi

20 | Kosowo niepodległe i niepodgozone

24 | Religie mocno wydumane

SYLWETKA

26 | Najsztub pyta Tymona Tymańskiego i nie może zrozumieć odpowiedzi

30 | Ojciec Internetu Jaron Lanier przestał kochać swoje dziecko

32 | Na jakich falach nadaje Ewa Wanat

37 | Teczki Skok w bok Olgi Woźniak

CYWILIZACJA

38 | Uwięzieni we własnych mózgach

42 | Też pytanie!

44 | Przygotuj się do postu

KULTURA

46 | Teatr: Warlikowskiego pożądanie pożądania

50 | Muzyka: Nie przegapcie Tony’ego Allena

52 | Film: Polański wielkim reżyserem jest

54 | Film: Szymborska w roli Szymborskiej

56 | Książki: Nyczek na tropie procedury

58 | Sztuka: ABC Rastra

60 | Lektura: Rozmowa z Krystyną Miłobędzką. Nowy wiersz!

OTWÓRZ OCZY

64 | Romana Polańskiego życie jak w kinie

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

49 | Czwarta strona kultury Bartka Chacińskiego

70 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką i felietonami

73 | Stopklatka

74 | Dziennik Jerzego Pilcha

8, 70, 72 | Raczkowski

LAST MINUTE

+ Krzysztof Plyta +

Co nam dają zimowe igrzyska? Pretekst do użycia w tekście wyrazu „vancouverczanka”.



Nasz Prezydent, Nasz Premier

Czyli o dwóch narracjach
w dyplomacji

JULIUSZ URBANOWICZ, Z-CA REDAKTOR NACZELNEJ

DWÓCH BOHATERÓW I DWA RÓŻNE sposoby widzenia i opisywania świata. Dwie narracje – jak mówi się dziś nie tylko o literaturze, ale i o polityce. Angielski filolog uznaje, że obnoszenie się z własnymi emocjami to więcej niż żenada. To sprzeniewierzenie się sobie. Rosyjski student filozofii – choć nazywa się Razumow – ma przeciwną koncepcję narracji. Nie dla niego chłodne, zobiektywizowane, niejako zewnętrzne ukazywanie rzeczywistości i samego siebie. Ten narrator wywala na wierzch bebechy – jego pamiętnik jest niczym swoisty zapis autoterapii. Wyrzucić emocje, poczuć ulgę. Oto dwa sposoby widzenia świata, dwie narracje ukazane „W oczach Zachodu” przez Josepha Conrada.

Lech Kaczyński w Tbilisi: emocje sięgają zenitu. Nasz Prezydent staje na czele polityków, którzy kierując się odruchem serca, ruszają z misją solidarności na odsiecz będącym w opałach Gruzinom. „Za wolność waszą i naszą”. Nie dla nich zimne mędrca szkiełko i oko.

A Donald Tusk w Warszawie. Inną pieśń słyszy z jego ust wąskie grono zaproszonych dziennikarzy. Nasz Premier mówi – bez żaru czucia i wiary – o konieczności układania się z Rosją „taką, jaka jest”. Było jasne, że także z „Białorusią, jaka jest”. Postkolchozową. Łukaszenkowską. Tłamszącą polską mniejszość. A dziś i z Ukrainą, „jaka jest”. Już nie pomarańczową. Niebieską. I nie jest to powab-

ny błękit ze świata Jamesa Camerona. Nie ma już *kniaini niezależności* Julii Tymoszenko. Jest za to czarny charakter – w tej roli Wiktor Janukowycz. I jego Donieck – macecznik postsowieckiego oligarchy.

Fatalnie? Skądże! To idealne warunki do repetytorium z zasad Realpolitik. Miejsce Polski na mapie aż o to krzyczy. Tusk i szef dyplomacji w jego rządzie Radosław Sikorski (choć ten drugi miewa gorącą głowę i niewyparzony język) pilnie odrabia-

Donald Tusk nie ma powodów do triumfu, ma raczej wielki ból głowy

ją lekcje. Nie bombardują zagranicznych adwersarzy agresywnymi oświadczeniami. To przecież polityka, nie pojedynek raperów.

Joseph Conrad, chociaż wielki moralista, wyraźnie polemizujący z innym tytanem narracji – Fiodorem Dostojewskim, niczego ostatecznie nie przesądza. Nasz Premier nie ma powodów do triumfu, ma raczej wielki ból głowy. Ale pozostaje w grze: może wygrać, może przegrać. Rozmawiać z Janukowyczem, Łukaszenką, Putinem. A Nasz Prezydent? Dużo mówi o racji stanu, lecz coraz częściej sam do siebie. Już dawno wstał od stołu. To żadna polityka, to bezradność.



Moc światełek

Platformersi poszli
na „Avatara” i doznali
równościowego olśnienia

AGNIESZKA GRAFF

AMERYKAŃSKA POPKULTURA WRESZCIE ZROZUMIAŁA, ŻE LUDZKOŚCI przejadły się kosmiczne strzelanki. Ludzkość łaknie kosmicznej lewicowej utopii – ekofeministycznej i koniecznie w 3D. Na tym robi się dziś prawdziwy szmal. I tak miliony kupiły słuszne idee w formie bajki. Cudny marines doznaje nawrócenia na New Age, uznaje wyższość filozofii dziewczynskiej (la di da, kochajmy roślinki i zwierzątka) nad filozofią chłopacką (brrrrum brum, zabili go i uciekli), po czym na przekór knowaniom mięśniaków i kapitalistów ratuje od zagłady piękną krainę, w której zwierzątka i roślinki mają dusze, a wszystko się łączy ze wszystkim. Bonus – dowiadujemy się, jak wygląda Wielka Bogini. Zawsze sądziłam, że przypomina wielką pulsującą hubę, ale okazuje się, że to takie śliczne migoczące światełko.

Na mojej lewicowo-feministycznej kanapie opinie są podzielone. Ideowym purystom przeszkadza wydzwięk heterocyki i podtekst rasistowski. To fakt: marines jest biały, hetero, a w dodatku okazuje się lepszym tubylcem ekokrainy niż sami tubylcy. Mógłby być czarny i w sumie nie zaszkodziłoby mu, gdyby był kobietą. Ale nie bądźmy małostkowi. Doceńmy, że jest niepełnosprawny i wolny od seksizmu niczym bywalcy manif. Każda idea potrzebuje reklamy, a nam ją zrobiono za friko. Watykan już to zrozumiał, bo „Avatara” oprotestował.

Pod niewątpliwym wpływem światełek jest dziś polska polityka. 18 lutego szykuje się pierwsze czytanie obywatelskiego projektu ustawy o parytetach. Tej, co to ją Kongres Kobiet napisał, a grubo ponad sto tysięcy ludzi podpisało. Sprawa ma wymiar historyczny – wobec parytetów Euro 2012 to pikuś. Jednak pewien biskup ogłosił, że parytety naruszają zasady demokracji (wnioskuję, że Kościół nie zamierza ich wprowadzać, szkoda, trudno). Z kolei pewien lewicowy publicysta uważa, że nie ma co popierać kobiet w polityce, bo jest wśród nich wiele konserwatystek (podobnie myślała część lewicy sto lat temu, gdy szło o prawa wyborcze).

I oto – niczym dzielny marines – na ratunek równości przybywa PO. Ma projekt alternatywny: nie 50 procent, ale 30 procent kobiet na listach. Ktoś złośliwy by powiedział, że ma to pewien związek z działaniem ruchu kobiecego. Nie jestem złośliwa. Obstawiam, że było tak: platformersi przeoczyli Kongres Kobiet, ale poszli na „Avatara” i doznali równościowego olśnienia (światełka). Brakujące do równości 20 procent to ukłon w stronę biskupa (trudno, taka karma). Po burzliwej dyskusji w komisjach i podkomisjach spotkamy się gdzieś po drodze (po 48 procent każdej płci?). A za parę lat i tak nas będzie więcej, bo właśnie wprowadzono urlopy ojcowskie. Bawiąc się przez ten tydzień z dziećmi, panowie odkrywają, że tak naprawdę polityka nie leży w ich naturze.

Autorka jest pisarką i publicystką, członkinią zespołu „Krytyki Politycznej”



Moc i elegancja w nowym świetle.

Klasa C. Teraz z systemem reflektorów bixenonowych ILS.

999 zł

to cena opcjonalnego systemu reflektorów bixenonowych ILS i świateł do jazdy dziennej w technologii LED.

Leasing 105%*

Możliwość odliczenia VAT

Oferta ważna do 31.03.2010 r.



Zalecamy oleje Mobil

Mercedes-Benz

Przekonaj się, że podróżowanie nocą i w trudnych warunkach atmosferycznych może być komfortowe oraz bezpieczne. Odkryj nowe możliwości kryjące się w innowacyjnym systemie reflektorów bixenonowych ILS, teraz dostępnym także w Klasie C. Dzięki automatycznemu systemowi ILS Twój samochód dostosowuje oświetlenie do wykonywanych manewrów – na przykład doświetla najbliższe otoczenie podczas wykonywania skrętu. System wyposażony jest w tryb szosowy i autostradowy, a przy słabej widoczności przejmuję funkcję świateł przeciwmgielnych.

Na krętych, górskich drogach aktywny system reflektorów wspomaga dodatkowo dynamiczne doświetlanie zakrętów. Dzięki nowej konstrukcji świateł drogowych wykonanych w technologii LED Twój samochód jest lepiej widoczny dla pozostałych użytkowników ruchu o każdej porze i w każdych warunkach. To jednak nie koniec korzyści. Zamawiając Klasę C z systemem ILS do końca marca 2010, oszczędzisz ponad 5000 zł brutto! Klasa C Kombi 220 CDI BlueEFFICIENCY: zużycie paliwa 5,2 l/100 km, emisja CO₂ 137 g/km. Zapraszamy do salonów. www.mercedes-benz.pl

Mercedes-Benz
BusinessCars

* To całkowity koszt umowy leasingowej w ofercie Mercedes-Benz Leasing na Klasę C. Brak opłaty administracyjnej, minimalna wpłata od 25% wartości pojazdu, czas trwania umowy 24 lub 36 miesięcy.

PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Elle
Olga Woźniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski, ZASTĘPCY REDAKTOR NACZELNEJ: Juliusz Urbanowicz, Marek Zajac DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Anna Myśliuk SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Gędziorowska, Piotr Witk
SEKRETARIAT: Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33 KULTURA: Kultura@przekroj.pl, Malgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępcza szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski KRAJ: kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wierczok (redaktorzy), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Ryciak, Anna Szulc, stale współpracują: Piotr Najstubb, Bogdan Rymanowski ZAGRANICA: zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostyrzyński (redaktor), Maciej Jarkowicz, Joanna Woźniczko-Czeczott CYWILIZACJA: nauka@przekroj.pl, Jacek Ziemiński PRACOWNIA GRAFICZNA: Władysław Buchner (wicedyr. art.), Malgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski FOTODZIECI: foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Kręjel, Marek Szczepański, stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kosiński, Marcin Zegarek PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap STRONA INTERNETOWA: Marcin Cichoński i Bartek Chaciński KOREKTA: Dorota Dul, Tatiana Hardej REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor ARCHIWUM: Dominika Bok OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Absolut Meat

GREMI
GRUPA

WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
PREZES WYDAWNICTWA: Grzegorz Hajdarowicz DYREKTOR WYDAWNICTWA: PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski BIURO REKLAMY „PRZEKROJ”: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Malgorzata Skorupa tel. 22 525 99 16, Elżbieta Smoleń tel. 22 525 99 50, Beata Drogowska tel. 22 525 99 51, Eliza Zyromska tel. 22 525 99 52 DYREKTOR DYSTYBUCJI: Elżbieta Maciążek DRUK: RR Donnelley PRENUMERATA: PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47A, 00-696 Warszawa, Deutsche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0011 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mail: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 PRZEZ RUCH SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pl

przekroj.pl

CZYLI SPIS TREŚCI INTERNETU

„Przekroju” szukaj też w serwisach Facebook (jako facebook.com/przekroj), MySpace (pod adresem mspace.com/przekroj), Blip (przekroj.blip.pl) i Twitter (twitter.com/przekroj_pl). Aby dostawać co tydzień newsletter informujący o zmianach na przekroj.pl, wystarczy zapisać się na naszej stronie lub wysłać wiadomość o temacie „Zamawiam” na adres newsletter@przekroj.pl.

Filmowe zagrania

Cezary Pazura podkłada głos pod narwanego wiewióra, dzięki czemu „Jak and Daxter: Zaginiona granica” po polsku smakuje lepiej niż w oryginale. O „miodności” nowej gry na przenośną konsolę Sony i jej filmowym charakterze pisze Sebastian Frąckiewicz. Całość tylko na gry.przekroj.pl.



Chopin pod palmami

Udział Polski w muzycznych targach Midem 2010 w Cannes pokazał, że nie ma jednej wizji promocji naszej muzyki w świecie. Jedną prezentował Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, nieco inną – Instytut Adama Mickiewicza. Najważniejsze jednak, że Chopina i Polskę łatwiej było w Cannes zauważyć niż gościa honorowego targów, którym w tym roku była Afryka Południowa. Same targi zaś pokazały, że jesteśmy o krok od kolejnego przełomu technologicznego. Z Midem dla „Przekroju” donosi Ada Ginał. Pełny tekst tylko na stronie muzyka.przekroj.pl.



KOMENTARZE INTERNAUTÓW

O naszym stryjecznym bracie neandertalczyku:

Bracie, gdzie jesteś?

To może i brat... kogoś z was, ale mój NIE!

– klafron 2010.02.12 08:58:02

:D

Ja osobiście bardzo bym się uradował, wiedząc, że jest we mnie coś z neandertalczyka. Raczej ucieszyłoby mnie to, że cała historia zakończyła się pokojowo.

– XzgrzytX 2010.02.11 15:38:32

Chuck Norris

W pierwszym momencie, jak spojrzałem na zdjęcie, to myślałem, że będzie artykuł o Chucku Norrisie:]

– arasxc 2010.02.11 22:16:43



Tekst „Bracie, gdzie jesteś?” znaleźć można na stronie cywilizacja.przekroj.pl

DO REDAKCJI

Nie odbierajcie nadziei

W artykule „Chory biznes na chorych dzieciach” pisze Pani o konieczności weryfikacji metod usprawniania dzieci niepełnosprawnych psychicznie i ruchowo.

Z pewnością jest to niezwykle istotny problem, dotyka bowiem spraw życiowo ważnych dla tych dzieci i ich rodziców.

Jestem lekarzem pediatrą i specjalistą rehabilitacji neurologicznych zaburzeń rozwoju wyszkolonym w systemie Monachijskiej Funkcjonalnej Diagnostyki i Terapii Rozwojowej profesora Theodora Hellbrügge w Monachium (światowej sławy pediatra, ekspert WHO, autor ponad 1000 prac naukowych).

Jako jego uczennica i docent Internationale Akademie für Entwicklungs-Rehabilitation pracuję z dziećmi zagrożonymi niepełnosprawnością i niepełnosprawnymi od 20 lat. W tym systemie jest także metoda Vojty, która jest neurofizjologiczną metodą opracowaną przez neurologa dziecięcego Václava Vojty (poznałam go w 1978 roku w Monachium). Dzięki tej metodzie tysiące dzieci na całym świecie – od Meksyku, przez Rosję, do Indii – odzyskały zdrowie i mogą się szczęśliwie rozwijać (badania niemieckie, japońskie, hiszpańskie, polskie). Ale warunkiem koniecznym jest wczesne rozpoznanie zagrożonego rozwoju (u dzieci ryzyka ciążowo-porodowego) w pierwszych tygodniach życia (optymalnie 2.–3.–4. miesiąc życia) i włączenie wczesnej stymulacji metodą Vojty – którą dobiera lekarz wyszkolony, a nie rehabilitant, i prowadzą rodzice w domu (trzy–cztery razy dziennie, 3–5–10 minut). Metoda Vojty nie jest metodą uciskową – ucisk powodowałby ból oraz blokował pozytywną reakcję i stymulację ruchową – jest metodą aktywnej stymulacji odruchowej (nie biernej) – neurologiczne zaburzone dzieci płaczą także przy ubieraniu, zmianie pozycji – są lękowe (matka, ćwicząc, wie, że nie zadaje bólu i wręcz wzmacnia kontakt emocjonalny i poczucie bezpieczeństwa tak ważne dla rozwoju).

Ja jestem pionierem tej metody w Polsce i każdego dnia przeżywam z rodzicami radość i satysfakcję z efektów ich pracy i postępu w rozwoju dziecka.

Ale metoda Vojty i Monachijaska Funkcjonalna Diagnostyka i Terapii Rozwojowa to metody profilaktyczne, zapobiegające niepełnosprawności. Nie ma na całym świecie skutecznej do końca metody, która przywróci pełne zdrowie dziecku z porażeniem mózgowym. Także metoda Vojty stosowana w pełni rozwiniętym porażeniu mózgowym, to jest po 7–8. miesiącu życia, nie będzie cudowną terapią, choć daje więcej szansy niż inne, bo jest oparta na neurofizjologicznych podstawach rozwoju dziecka.

Niestety, w Polsce jest wiele metod Vojty różniących się zdecydowanie, na przykład krakowska (pediatryczna), wrocławska (siloowa, mechaniczna). Różnice te widzimy, gdy rodzice zgłaszający się do naszego Krakowskiego Ośrodka Rehabilitacji Wiekowego pokazują, jak ćwiczą z dziećmi według szkoły wrocławskiej. Wyrazem uznania dla systemu trzeciorzędowej profilaktyki zaburzeń rozwojowych „Tertiary Prevention” profesora Hellbrügge było zaproszenie do prezentacji jego założeń i praktyki w Parlamencie Europejskim w Brukseli 12.06.2008 na sympozjum „Chances for the Healthy Development of Children a European Challenge”.

Proszę więc nie pisać o metodzie Vojty „bolesne uciskanie”, bo to jest nieprawdą i odbiera rodzicom nadzieję oraz chęć pomocy swoim dzieciom.

Zapraszam serdecznie do odwiedzenia naszego ośrodka.

Z poważaniem
dyrektor Krakowskiego Ośrodka Rehabilitacji Wiekowego,
dr med. Maria Drewniak
– specjalista pediatrii i rehabilitacji
– założyciel i dyrektor Krakowskiego Ośrodka Rehabilitacji Wiekowego
Rozwojowego
– docent Międzynarodowej Akademii Rehabilitacji Wiekowego
Monachium–Kraków
– założyciel fundacji Promyk Słońca
– pomoc dla dziecka niepełnosprawnego – 1990 r.
– laureatka Nagrody im. prof. Hellbrügge

PS Ilustracje do artykułu są bardzo agresywne, bez szacunku dla dziecka i jego rodziców.

TYLKO TO, CZEGO POTRZEBUJESZ

Life is green!

LG GD510 to telefon, który dba o środowisko. Jak? Wystarczy, że wybierzesz model z panelem słonecznym, za pomocą którego możesz ładować telefon, wykorzystując energię słoneczną. Dzięki funkcjom takim jak Eco-tree czy Eco-calculator dowiesz się, o ile zmniejszysz emisję dwutlenku węgla. Opakowanie telefonu LG GD510 wykonane jest z papieru makulaturowego, a sam model nie zawiera polichloru winylu. Ma za to proste intuicyjne menu i duży 3-calowy ekran. LG GD510 – tylko to, czego potrzebujesz.



GD510

www.lge.pl



LG
Life's Good

Panel słoneczny i telefon dostępne osobno. Ładowanie słoneczne jest tylko alternatywnym źródłem zasilania. W celu pełnego naładowania baterii użyj ładowarki sieciowej.

Zielono mi :-)



KAWA BEZ CUKRU

W telewizji i na noże

Debata Kaczyński-Sikorski będzie dwa razy bardziej emocjonująca niż pojedynek Kwaśniewski-Wałęsa

Bogdan Rymanowski, TVN

JEST LISTOPADOWY WIECZÓR 1995 ROKU. LECH WAŁĘSA PRZYJEŻDZA NA WORONICZA I KIERUJE SIĘ PROSTO DO STUDIA. Jest rozdrażniony oczekiwaniem na Aleksandra Kwaśniewskiego. Do rozpoczęcia debaty pozostała minuta, a rywala wciąż nie ma. Kwaśniewski wpada w ostatniej chwili i obojętnie przechodzi obok siedzącego prezydenta.

Telewizyjne starcie jest ostre. W pewnym momencie Kwaśniewski podchodzi do Wałęsy i podaje mu plik kartek. – To jest moje oświadczenie majątkowe, jestem człowiekiem uczciwym i apeluję do pana, żeby uczynił to samo co ja – oświadcza lider lewicy, czym wyprowadza Wałęsę z równowagi. Po debacie Kwaśniewski podchodzi do niego, żeby się pożegnać. – Panu to ja mogę nogę podać – rzuca prezydent. Jest wściekły. Kwaśniewski przeciwnie, jest rozluźniony i pewny, że wygrał. Wkrótce zostaje prezydentem.

15 lat później może dojść do debaty, która temperatura przewyższy ten historyczny pojedynek. Stanie się tak, gdy naprzeciw Lecha Kaczyńskiego stanie o 14 lat młodszy Radosław Sikorski. Może zaiskrzyć jak jeszcze nigdy dotąd. Popuśćmy wodze fantazji. A wyobraźni niech pomogą fakty z nieodległej przeszłości.

W październikowy wieczór 2010 roku pod siedzibę prywatnej telewizji podjeżdża czarna limuzyna. Wysiada z niej minister Sikorski i czeka na nadjeżdżającego prezydenta Kaczyńskiego. Sikorski kłania się nisko. – Panie prezydencie, zgłaszam gotowość do szlachetnej debaty na argumenty – wita Kaczyńskiego. – Proszę się nie bać, ja pewnych granic nie przekroczę – odpowiada uśmiechnięty prezydent. Wersal kończy się jednak po wejściu do stacji.

W debacie pora na rundę wzajemnych pytań. – Niech pan powie, czy Polska może liczyć na pana lojalność? Był pan przecież brytyjskim obywatelem – pyta zaczepnie prezydent. – Dobrze pan wie, że na pana prośbę rzekłem się obywatelstwa. Zresztą szkoda, bo jechał pan wtedy do Londynu i mógł błysnąć, mówiąc: „Wasza Królewska Mość, my tak lubimy Wielką Brytanię, że nie przeszkadza mi, że twój poddany jest moim ministrem obrony” – po odpowiedzi Sikorskiego przez salę przechodzi szmer aprobaty.

Pora na rewanż. – Panie prezydencie, czy jest szansa, żeby przestał pan być prezydentem swojego brata, a był prezydentem Polski? – Na twarzy Kaczyńskiego widać grymas zdenerwowania, odpowiada po krótkiej chwili. – Panie ministrze, nie uda się panu mnie sprowokować. Te ćwiczenia już przerabialiśmy w pałacu. Nie zapomnę, jak pan wstał, ilekroć spacerowałem po pokoju. Rzeczywiście, nikt nie traktował mnie z podobnym respektem. A propos Jarosława. Czy to nie pan mówił o nim, że ma zadatki na polskiego Helmuta Kohla? Chyba w duchu zazdrości mi pan takiego brata – zakończył prezydent, a w studiu rozległy się oklaski zwolenników.

Zbliżał się finał debaty i moment, aby zadać ten ostatni, śmiertelny cios. – Kiedy pozbędzie się pan tych niezo-

nych lordowskich manier? – uderzył jako pierwszy prezydent. Na twarzy Sikorskiego można było dostrzec charakterystyczny tik. – Wybacz pan, ale to, co nazywa pan lordowskością, to elementarna kultura. Ciekawe, że owe maniery nie przeszkadzały panu, gdy spędzaliśmy wspólnie z żonami uroczyste chwile w rezydencji w Juracie. Nie pamięta pan już tego dowcipu o ministrze, który kazał pisać projekt depechy do ambasadora? Ja nie zapomnę pańskiego komplementu, że w opowiadaniu dowcipów prawie dorównuję Januszowi Kaczmarskiemu.

Sikorski wziął krótki oddech i zadał ostatnie pytanie. – Panie prezydencie, skąd u pana ta chorobliwa podejrzliwość? Dlaczego uważa mnie pan za ruskiego agenta? Kaczyński parsknął śmiechem. – A może za Marsjanina? Rzeczywiście ma pan poczucie humoru. A przy tym kłopoty z pamięcią, bo tego nigdy nie mówiłem. Zresztą kiedyś, drogi Radku, byliśmy nawet po imieniu. Szkoda, że tego nie pamiętasz. Nigdy też nie uwierzę w to, co mówią ludzie, że masz mnie za chama. To przecież nie twój poziom.

Czy ta polityczna fikcja może stać się za parę miesięcy rzeczywistością? Akurat w tym przypadku chciałbym, żeby to, co wydaje się możliwe, stało się niemożliwe. □



Kiedy pozbędzie się pan tych niezo-
nych lordowskich
manier?
– uderzył
jako pierwszy
prezydent.
Na twarzy
Sikorskiego
można było
dostrzec
charaktery-
styczny tik

WYMIŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



KRÓTKO

Co tkwi w więzieniu

Profile bandytów wypadają z sieci

BRYTYJSKI WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI ma dość łączenia się przestępców z Internetem przez szmuglowane do więzień telefonów komórkowych. Bandyci zakładają profile na Facebooku, skąd kpią ze swych ofiar. Rząd z portalem zamknął już 30 takich profili,

a do więzień wstawiane są fotele skanery. Siedzący w nich odwiedzający i więźniowie po przepustkach. Skanowanie ułatwia znalezienie telefonów, zwykle ukrywanych głęboko między pośladkami.

— mac

Jawne, bo puste

Radzieckie miasteczko wróciło do Rosjan. Na Łotwie

SZUKAJĄCY PIENIĘDZY w KRYZISIE rząd Łotwy sprzedał na aukcji poradzieckie miasteczko za trzy miliony dolarów. Kiedyś, jako baza radarowa, było tajne. Mieszkało w nim pięć tysięcy osób (tyle, ile w Szczecinie). Teraz w Skrudzie 1 nikogo nie ma. Kupcem jest rosyjska firma Aleksiejewskiej-Serwis. Działa w różnych branżach – od nieruchomości po świńskie farmy. Nie ujawnia, co zrobi ze Skrudą. — syl

Dojrzał do nagrody

Żmijewski doceniony za oceanem

PRESTIŻOWĄ NAGRODĘ ORDWAY (oraz sto tysięcy dolarów) przyznawaną przez New Museum w Nowym Jorku i organizację Creative Link for the Arts otrzymał w tym roku Artur Żmijewski, artysta sztuk wizualnych. To nagroda przyznawana dojrzałym twórcom. Indywidualną wystawę 43-letniego Żmijewskiego można było niedawno oglądać w nowojorskim Museum of Modern Art. — anja

Wszystko w Polsce cieknie – to nie sen o odwilży, tak właśnie przekonywał, że w naszym kraju zbyt dużo tajnych informacji przecieka do mediów



ŻYCIE PO FILMIE



Palestyna jak Pandora

Mieszkańcy Zachodniego Brzegu Jordanu utożsamiają się z niebieskoskórym ludem Na'vi z filmu „Avatar” – uważają, że Izrael odbiera im szansę godnego życia. Ci demonstrujący Palestyńczycy z miasteczka Bilin pod Ramallah duszą się po rozpyleniu przez Izraelczyków gazu łzawiącego. — syl

KOMBINATORYKA KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Publiczne media w ręku sierotki

Losowanie – to nowy pomysł na wybieranie władz mediów publicznych. Ale ślepy los może być złośliwy

ZDECYDOWALIŚMY SIĘ NA LOSOWANIA, bo chcemy odpolitycznić media publiczne – tłumaczy Maciej Strzembosz, jeden z pełnomocników Komitetu Obywatelskiego Mediów Publicznych. To ciało związane podczas zeszłorocznego Kongresu Kultury w Krakowie. KOMP chce stworzyć nowy ład mediów w Polsce. Swoje poparcie deklarowali Donald Tusk oraz PSL. W zeszłym tygodniu KOMP przedstawił projekt ustawy medialnej. Jego elementem jest zaskakująca propozycja wyboru władz TVP i Polskiego Radia. Z 250-osobowego zasobu kadrowego (do którego kandydatów zgłaszałyby środowiska twórców i organizacje pozarządowe) losowany byłby 50-osobowy komitet mediów publicznych. Ten wybierałby radę mediów publicznych, która zatrudniałaby prezesów TVP i Polskiego Radia. KOMP uważa, że w losowa-

niu mogłaby pomóc na przykład Państwowa Komisja Wyborcza.

Ta jednak w pękających słojach losuje tylko numery list wyborczych. Gdyby nawet prawo pozwoliło jej wybierać komitet, ktoś musiałby czuwać nad poprawnością wyciągania losów. Przy wyborach rolę tę pełni pełnomocnicy komitetów. W zasobie kadrowym każdy reprezentowałby siebie samego. 250 kandydatów mogłoby więc tłoczyć się wokół słojów, gdyby nie zapis w projekcie, że nie mogą spotykać się przed losowaniem.

Naszych maszyn nie można użyć, bo są certyfikowane przez Ministerstwo Finansów i nie mogą być wykorzystywane do wybierania kogokolwiek lub czegokolwiek – uprzedza Piotr Gawron, rzecznik Totalizatora Sportowego.

Czy ciało wyborcze mogłoby kupić własną maszynę losującą? – Nie znam takiej na 250 kul – krę-

ci głową Paul Peinado ze Światowego Stowarzyszenia Organizacji Loteryjnych w Bazylei. – Większość projektowana jest na 90. – Statystycy mają wiele dobrych algorytmów, które pozwalają osiągnąć dobrą losowość – zwraca uwagę Paweł Naroski z Zakładu Algebry i Kombinatoryki Wydziału Matematyki i Nauk Informacyjnych Politechniki Warszawskiej. – Dlatego lepszy od maszyny byłby komputer.

Czy wtedy szanse wyboru będą tak równe, że w Komitecie znalazłyby się osoby o różnym spojrzeniu na media? – Komputerowe losowanie, pozbawione wpływu czynników fizycznych, będzie naprawdę losowe – wyjaśnia Paweł Naroski. – Każdy będzie mieć równe szanse. Co oznacza, że w najbardziej losowym z losowań mogą zostać wyłonieni kandydaci wyłącznie jednej opcji.

ROZMOWA

Delikatnie naciskam spust

Polscy sportowcy nie wygrywają, bo są na to zbyt skromni

Proszę sobie wyobrazić, że jestem Justyną Kowalczyk. O czym mam myśleć tuż przed startem?

– O technice i o taktyce.

Raz, dwa, raz, dwa?

– To uproszczenie, bo może też chodzić o taktykę albo hasła klucze, jakąś uwagę trenera, na przykład „jechać w swoim rytmie, nie oglądać się na inne”. Zawodnik ma skupiać się na tym, co kluczowe w jego dyscyplinie. Na przykład w piłce nożnej przy rzucie rożnym obrońca operuje dwoma hasłami: „nisko i blisko”, czyli nisko na nogach i blisko przeciwnika.

Teraz jestem biathlonistą Tomaszem Sikorą. Gdy biegnę, mogę sobie powtarzać to co Justyna Kowalczyk. Ale dojeżdżam do strzelnicy, serce mi wali, a ja muszę oddać pięć celnych strzałów.

– To kwestia doświadczenia oraz znajomości technik kontroli pobudzenia. Myślenie o tym, że serce szybko bije, to dekoncentracja. Raczej spokojnie powtarzam: „delikatnie, ostrożnie naciskam spust”.

A czy celu nie należy sformułować ostro jak złoty medalista olimpijski Tomasz Majewski, który do swej kuli mówił: „Leć daleko, ty zdiro”.

– To nie jest optymalny sposób formułowania celu. Ale musiałbym poznać zawodnika. Sportowiec przed zawodami może też myśleć „dam z siebie wszystko” i wydaje się to świetną taktyką, ale badania mówią, że nie. Cel ma być określony precyzyjnie, wtedy poprawiony o centymetry lub ułamki sekund wynik da zwycięstwo.

Wydaje się to proste, dlaczego więc polscy zawodnicy tak rzadko wygrywają?

– Wielu ma problem z pewnością siebie. Poza tym jesteśmy tak wychowani, by nie pokazywać swych mocnych stron, bo to nie jest społecznie akceptowane. Zawodnik ciężko trenuje, odnosi sukces. Mówimy: „Super, że wygrałeś”. Co odpowie, skoro nauczony jest braku pewności siebie? „Nie no, słuchajcie, to tak przypadkiem wyszło”. On nie ma szans walczyć z najtrudniejszymi rywalami, którzy mówią: „Ciężko pracuję i wierzę w sukces”. — not. cich

Prawo

SĄD UWIERZYŁ OJCU

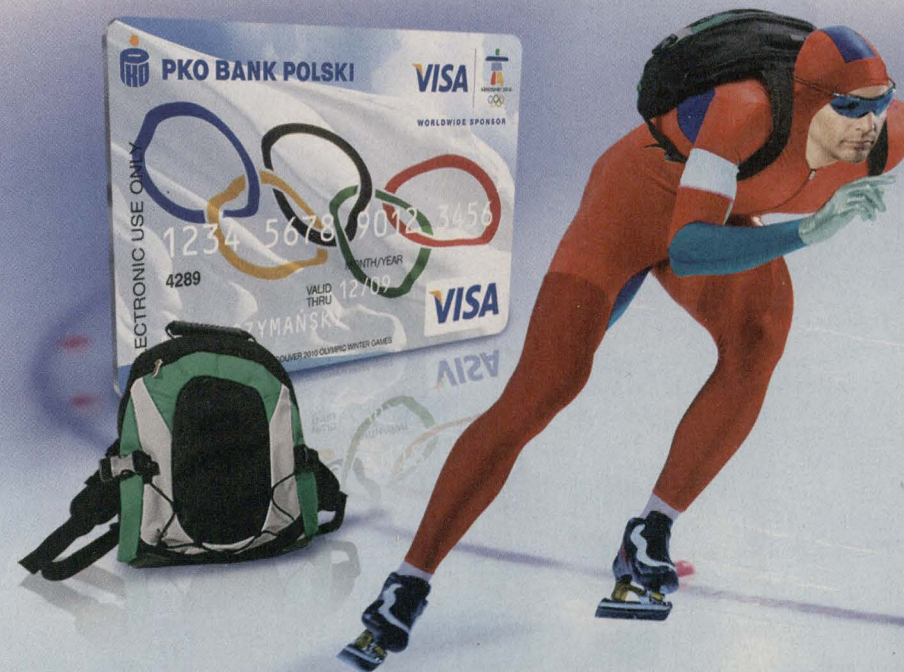
TO PIERWSZY TAKI WYROK W POLSCE: na miesiąc bezwzględnej więzienia Sąd Rejonowy w Gorzowie Wielkopolskim skazał kobietę, która fałszywie oskarżyła byłego męża o seksualne molestowanie córki. Cztery lata temu matka siedmioletniej wówczas dziewczynki, nauczycielka, powiadomiła policję, że jej były mąż wykorzystuje dziecko. Policja w kaj-

dankach wywozła mężczyznę z pracy. Został uwolniony, gdy śledztwo ruszyło. Ukrytym dyktafonem nagrał rozmowę byłej żony z matką – wynikało z niej, że zarzut pedofilii jest zmyślony. Prokuratura umorzyła śledztwo przeciw ojcu i wszczęła postępowanie przeciw matce. Sprawa trafiła do sądu. – Ten wyrok to światło w tunelu. Udowadnia, że często niewinni ojcowie, oskarżani dziś masowo o molestowanie, nie są zupełnie bez-

szans – mówi doktor Barbara Gujska z Towarzystwa Higieny Psychiczej, do którego o pomoc zwracają się rocznie setki mężczyzn (pisaaliśmy o tym w tekście „Molestowani ojcowie, czyli gra w pedofilię”, „Przekrój” 8/2009). Oskarżany przez żonę o molestowanie syna Krzysztof Oleksy został dwa lata temu uniewinniony przez sąd w Sosnowcu. Teraz podsumowuje: – Dla syna, którego latami izolowano od „zbożenicy”, jestem już obcym człowiekiem. — ana

REKLAMA

LIMITOWANA EDYCJA KART KREDYTOWYCH VISA



ŚMIGNIJ PO NAGRODĘ

Tylko teraz możesz otrzymać wyjątkową kartę kredytową Visa Vancouver 2010 Olympic Winter Games wydaną przez PKO Bank Polski.

Złóż wniosek o wydanie karty Visa z niepowtarzalnej, limitowanej edycji i odbierz nagrodę gwarantowaną – super plecak sportowy.

Nagrody zostały ufundowane przez Visa – Globalnego Sponsora Zimowych Igrzysk Olimpijskich Vancouver 2010.

Promocja trwa od 20 stycznia do wyczerpania zapasów, nie dłużej niż do 12 marca 2010 r.

www.pkobp.pl
infolinia: 0 801 302 302*, +48 (81) 535 65 65*



WORLDWIDE SPONSOR

Początkowo
nie chciał zabierać
głosu, ale
po lekturze
książki „Jan
Karski. Powieść”
Lanzmann uznał,
że nie może milczeć

ŚWIAT

Prawda o Karskim

Rzadko udziela wywiadów polskim dziennikarzom, ale dla „Przekroju” zrobił wyjątek. Claude Lanzmann (reżyser „Shoah”) w rozmowie z Waldemarem Piaseckim broni pamięci Jana Karskiego – kuriera Polski Podziemnej, który prosił aliantów o powstrzymanie zagłady. Chodzi o książkę Yannicka Haenela, która we Francji była bestsellerem, ale wzbudziła też kontrowersje. Ostatnia część „Jana Karskiego” to bowiem fikcyjny monolog tytułowego bohatera, który – jak twierdzą jego przyjaciele – nijak ma się do faktów. Z kolei obrońcy Haenela powołują się na *licentia poetica*. W Polsce książka ma się ukazać w czerwcu

„To literacki Pinokio, któremu od kłamstw nos powinien urosnąć jak z Paryża do Warszawy” – tak jeden z przyjaciół legendarne go kuriera Polski Podziemnej ocenił Yannick Haenel, autor książki „Jan Karski. Powieść”. Nie ma w tych słowach przesady?

– Stara się pan wprowadzić element humoru do sytuacji, która tak naprawdę nie jest zabawna. Ta książka wyrządza wielką szkodę wybitnej postaci. W gruncie rzeczy początkowo odmówiłem czytania trzeciego rozdziału tej tak zwanej fikcji. Mam tego samego wydawcę, Gallimarda*, więc nie chciałem atakować Haenela. Tuż przed Bożym Narodzeniem sięgnąłem jednak po książkę. Po lekturze zdecydowałem, że dalej nie mogę milczeć.

Z jaką literaturą mamy tu do czynienia?

– To zła, mizerna literatura. Książka jest marna stylistycznie, a jej konstrukcja musi budzić zdumienie. Dwa początkowe rozdziały to parafraza mego filmu „Shoah” i książki Jana Karskiego „Story of a Secret State”, w polskiej edycji znanej jako „Tajne państwo”. W pierwszej części całe fragmenty ścieżki dźwiękowej filmu przepisano bez mojej zgody. W drugim – autor streszcza książkę Karskiego, zapewne jedną z francuskich wersji z 1948 lub 2004 roku. W trzeciej jest już swobodna i bzdurna fantazja o myślach i uczuciach Karskiego podana w pierwszej osobie. Autor po prostu staje się Karskim i na-

chalnie narzuca nam jego fikcyjny obraz, przy okazji falsyfikując historię.

Francuski czytelnik – generalnie bardzo niewiele o Karskim wiedzący – może dać się łatwo ogłupić. Pewna popularność tej książki bierze się z jej niewielkiej objętości, co zachęca do kupna. Ludzie w dzisiejszych czasach nie chcą „tracić” czasu na czytanie, analizowanie i refleksję. Wybierają danie szybkiej i łatwej konsumpcji.

W kwietniu minie 25 lat od premiery pańskiego dzieła życia, filmu „Shoah”. Haenel oskarża, że to pan manipulował w nim prawdą o Karskim, na przykład nie pokazując jego relacji o ratowaniu Żydów przez polskie podziemie.

– To jest właśnie jeden z przejawów jego beczelności. Nigdy nie zdradziłem Karskiego. Nigdy bym się nie ośmielił.

Zacznijmy od początku. Kiedy w połowie lat 70. postanowiłem zrealizować film „Shoah”, przyjąłem żelazną zasadę: to ma być film o śmierci. O śmierci Żydów, którzy podczas II wojny światowej ginęli jedynie z tego powodu, że... byli. Nie dlatego, że zbombardowano ich domy; nie dlatego, że poszli na wojnę i żołnierskie szczęście im nie dopisało; nie dlatego, że schwytano ich

w łapance i rozstrzelano. Zabijano ich za to, że byli. Zabijano w przemyślanym, przemysłowym sposobie, a technologię stale doskonalono, by zabijać szybciej i więcej. Film miał być właśnie o tym. O śmierci konkretnego

narodu wybranego na śmierć. Nie o cierpieniach innych, nie o próbach ratowania Żydów przez dzielnych i sprawiedliwych ludzi, nie o działalności podziemia walczącego z Niemcami, nie o polityce państw walczących z Hitlerem, frontach i bitwach. To jest film o obozach koncentracyjnych, transportach, komorach gazowych i krematoriach.

Kiedy okazało się, że Jan Karski żyje, wiedziałem, że musi wystąpić w moim filmie i zdać relację naoczego świadka zbrodni. Wszystko, co opowiadał mi przez osiem godzin, było niezwykle ważne i wstrząsające. Jednak w porządku narracyjnym „Shoah” o wiele istotniejsze było to, co widział w getcie warszawskim i jakie to w nim generuje emocje po 35 latach, niż jego spotkanie z prezydentem Rooseveltem.

Karski raportował Rooseveltowi przede wszystkim na temat organizacji i funkcjonowania Polski Podziemnej. Zbrodni na Żydach dotyczył tylko końcowy fragment. Analityczny, poparty konkretnymi wnioskami i oczekiwaniem środowisk żydowskich. To było ważne, ale – proszę darować sformułowanie – nie do tego filmu. Dlatego zrezygnowałem z wprowadzenia wątku Białego Domu i skupiłem się na relacji z getta, gdzie Karski jest absolutnie poruszający.

Haenel jest od pana równo o połowę młodszy i nigdy Karskiego na oczy nie widział. O tym, że ktoś taki w ogóle był, dowiaduje się właśnie z pańskiego filmu. „Shoah” obficie cytuję w książce, ale z panem nie widział potrzeby spotkania.

• Pół roku wcześniej Gallimard wydał wspomnienia Claude’a Lanzmann’a „Le Livre de Patagonie” („Szarak z Patagonii”), które stały się bestsellerem

→ – To arogancja, brak elementarnej szacunku i absolutna ignorancja. On nawet nie respektuje faktu, że zrobiłem film „Shoah” i mógłby się czegoś ode mnie dowiedzieć. Dlaczego nie interesują go żadne szczegóły z życia Jana Karskiego?

Haenel się z panem nie spotkał i dlatego nie wiedział, że ma pan długie nagranie na temat wizyty Karskiego w Białym Domu. Nie przeczytał, jak ona wyglądała, w dostępnych źródłach i poszedł w konfabulację. Opisał, że polski emisariusz u prezydenta USA czuł się jak na... przesłuchaniu gestapo. Roosevelt – jak pisze Haenel – miał gdzieś to, co Karski opowiadał, i cały czas gapił się na nogi sekretarki (której zresztą nigdy przy rozmowie nie było). Karski miał marzyć tylko o tym, żeby jak najszybciej wyjść z tego gabinetu, a potem nie umiał już bez obrzydzenia spoglądać na Statuę Wolności. Tyle że kiedy Haenel zorientował się, że spotkanie Roosevelt – Karski jest dobrze udokumentowane, zarzucił, że to pan oszukał kuriera, nie pokazując w filmie tych sekwencji.

– Wrażenie Karskiego z tej wizyty było dokładnie odwrotne od pokazanego w książce. Podziwiał Roosevelta, uważał go za światowego lidera i traktował z niemal boskim szacunkiem. Każde jego słowo przyjmował jak święte. Na koniec, ulegając patosowi chwili, zapytał: „Co mam powtórzyć swemu narodowi, panie prezydencie?”. Usłyszał: „Powiesz mu, że ma w tym domu swego przyjaciela!”. Karski był w siódmym niebie.

Wychodził z gabinetu tyłem, jak z audycji u króla, a tuż przed drzwiami potknął się i omal nie przewrócił. Towarzyszący mu ambasador RP w Waszyngtonie Jan Ciechanowski długo wypominał mu to w żartach. Pelen optymizmu Karski był wtedy przekonany, że załatwił z Rooseveltem wszystko, o co prosił. Ambasador musiał studiować jego entuzjazm.

– No właśnie, Karski był wtedy romantycznym idealistą, dalekim od wszelkiego cynizmu czy sceptycyzmu. Wierzył w Amerykę. Była dla niego kwintesencją demokratycznej wielkości, mądrości politycznej i potęgi militarnej. Tymczasem w książce jest człowiekiem zgorzkniałym i nienawidzącym Ameryki. To oszustwo historyczne. Nie znajduję na to słów! Co jeszcze Karski mówił panu o wizycie u amerykańskiego prezydenta 28 lipca 1943 roku? Co na pana zrobiło wrażenie?

– Wrażenie robiła klarowność w przedstawieniu przez Karskiego roli, w jakiej występował w Białym Domu. Był emisariuszem Polskiego Państwa Podziemnego, który prezydentowi USA prezentował swój pogląd na temat organizacji i funkcjonowania tego państwa. Przypominam, że kwestia dotycząca masowej zagłady Żydów stanowiła około jednej czwartej raportu w jego części końcowej.

Karski uczciwie pokazywał proporcje. Sprawa Polski była w raporcie najważniejsza,

sprawa Żydów – poboczna, choć – nie ma wątpliwości – dramatyczna. Raport trwał niespełna 25 minut, a dyskusja nad nim – około godziny. Roosevelt słuchał bardzo uważnie, potem zadawał wiele szczegółowych, niekiedy zaskakujących pytań. Był wyraźnie zainteresowany wizytą kuriera i usatysfakcjonowany tym, że gości go w swoim gabinecie.

Ludzie znający Jana Karskiego uważają trzecią część książki za oczywistą manipulację. Taki Karski po prostu nigdy nie istniał. Nie był paranoikiem spędzającym bezsenne noce na spotkaniach z „duchami Holocaustu”, jak chce autor. On cały problem tej zbrodni miał do bólu precyzyjnie prześladywany i racjonalizowany. Dramat polegał na tym, że Żydzi nie mieli podczas wojny żadnych szans. Byli opuszczeni przez wszystkie najważniejsze instytucje ówczesnego świata. Jako emisariusz Karski nie mógł tego wiedzieć, ale wiedział już dobrze jako profesor Georgetown. I właśnie ta prawda i prezentowanie jej z chłodnym naukowym obiektywizmem robiły bardziej wstrząsające wrażenie niż ciągłe odwoływanie się do emocji wojennych, czym tak bardzo epatuje Haenel. Ale pytanie brzmi: czy są w takim razie jakieś granice fantazji literackiej na temat postaci historycznych? Czy powinny istnieć?



Karski podziwiał Roosevelta, uważał go za światowego lidera. Każde jego słowo przyjmował jak święte

CLAUDE LANZMANN

– Doskonale rozumiem i podzielam oburzenie przyjaciół Jana Karskiego związane z manipulowaniem jego wizerunkiem. Oczywiście są ograniczenia w swobodzie fantazjowania na temat postaci historycznych w literaturze. Takim ograniczeniem jest wymóg prawdy, a jego orężem źródła historyczne. Literatura zna wiele znakomitych powieści historycznych, ale niewiele takich, gdzie autorzy totalnie ignorują źródła i wypisują bzdury o bohaterach.

„Wojna i pokój” Tolstoja oczywiście ma rozbudowaną warstwę fabularną, ale z piety-

zmem trzyma się realiów, także w portretowaniu bohaterów historycznych. Można powiedzieć, że powieść Tolstoja dodaje prawdy historii. Haenel historię z prawdy odziera.

Podobno Karski długo nie dawał się przekonać do udziału w „Shoah”. Przełom nastąpił, gdy poprosił pan, aby podszedł do lustra i powiedział: „Niech pan spojrzy. Ma pan już 65 lat. Ile jeszcze pan żyje? Czy chce pan zabrać prawdę o tym, co widział, ze sobą? Czy nie jest pan jej winien ludzkości?”. Tak to wspominał profesor Karski. Zapamiętał pana jako człowieka pełnego pasji i przekonanego, że robi wybitne dzieło filmowe.

– Różnych argumentów używałem, aby przekonywać do udziału w „Shoah” samych Żydów, niemieckich operatorów zbrodni i Polaków, którzy byli jej świadkami. Po tylu latach nie pamiętam już dobrze argumentów, jakich użyłem wobec Jana Karskiego. On zapewne pamiętał to lepiej.

Jak wyglądało filmowanie jego wspomnień w domu Karskich pod Waszyngtonem?

– Zdjęcia realizowane były w ciągu dwóch październikowych dni 1978 roku. Żona profesora, Pola Nireńska, warszawska Żydówka, znana tancerka i choreografka, nie chciała być przy filmowaniu, wychodziła z domu. Karski przed kamerą był bardzo wyrazisty, emocjonalny. Głos mu się łamał, przechodził w szloch. Cofnięcie się w czasie nie było dla niego łatwe. O wiele łatwiej mówiło mu się o misji poza Polską, w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych – o tym, z kim rozmawiał i co raportował. O getcie i obozie dużo trudniej.

Był też element anegdotyczny: często zdjęcia przerywał szczekaniem psa Karskich i musieliśmy powtarzać niektóre sekwencje. Generalnie wspominam tamto spotkanie jako jedno z najbardziej znaczących wydarzeń mego życia. Szczerze go pokochałem.

Czy Karski kiedykolwiek miał do pana pretensje związane z tym, jak został pokazany w „Shoah”?

– Nigdy. Rozmawialiśmy potem kilkakrotnie, wymienialiśmy korespondencję. Zawsze z wielkim uznaniem mówił o „Shoah”. Nie wahał się też o tym pisać i mówić publicznie w czasie, kiedy w Polsce ruszyła na ten film prawdziwa nagonka, po jego premierze wiosną 1985 roku.

W Polsce „Shoah” otrzymał oficjalną etykietę filmu antypolskiego. Atakowała go rządowa propaganda z Jerzym Urbanem, krucjacie partyjnej przewodził sekretarz KC PZPR Stefan Olszowski. Prasa wypisywała o panu kalumnie, organizowano wiele protestacyjne. Oczywiście filmu nikt nie znał i nie mógł ocenić. Potem pokazywano go w telewizji w jakiejś karykaturalnie okrojonej formie ograniczonej do wypowiedzi polskich świadków Holocaustu, aby udowodnić, jak perfidnie Lanzmann przedstawił nasz naród.

– Uczciwość wymaga, aby powiedzieć, że byli także tacy ludzie jak Jacek Kuroń, Leszek Kołakowski czy Jerzy Turowicz, którzy potrafili oddać memu filmowi sprawiedliwość. Jest bzdura, że był antypolski. To, co pokazywał, było przeciw śmierci i zbrodni, a nie przeciw Polsce. Nie chciano zrozumieć, że to jest film o żydowskiej śmierci, a nie o cierpieniu okupowanej Polski, nie o ratowaniu Żydów i polskim ruchu oporu.

Jan Karski mówił często, że „historia upomniała się” o niego dwukrotnie: w czasie II wojny światowej, gdy Żydzi wezwali go, aby dał świadectwo o Holocaustcie, a potem w końcu lat 70. poprzez pana i Eliego Wiesela, aby to świadectwo dał ponownie. Uważał, że przywrócił się go świadomości zbiorowej świata.

– Porządkując chronologię: do profesora Karskiego w Georgetown University dotarłem w połowie 1978 roku, a pokazałem go w filmie siedem lat później. Elie Wiesel odnalazł go w 1980 roku, ale publicznie przypomniał światu w następnym roku podczas międzynarodowej konferencji wyzwolicieli obozów koncentracyjnych. W 1982 roku Karski otrzymał tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, a hołd złożył mu osobiście prezydent Izraela. Po wejściu na ekrany „Shoah” istotnie stał się jeszcze bardziej znany i zajął należną mu pozycję w świadomości zbiorowej. Mogę być z tego jedynie dumny.

Co pan myśli o misji Jana Karskiego próbującego powstrzymać Holocaust i docierającego ze swoim raportem do najważniejszych przywódców ówczesnego świata?

– Karski był wielkim bohaterem i nie ma co do tego cienia wątpliwości. Był jednak emisariuszem przegranej sprawy. Dla Żydów, kiedy ruszyła machina II wojny światowej, nic już nie było można zrobić. Nie mogli zostać ocaleni.

Można to było zrobić... przed wojną. Zanim Hitler doszedł do swej potęgi. Pod jego rządami, w obliczu narastającego antysemityzmu Żydzi zaczęli masowo emigrować z Niemiec, szukali wytchnienia i bezpieczeństwa gdzie indziej. 6 lipca 1938 roku we francuskim uzdrowisku Evian Stany Zjednoczone zwołały międzynarodową konferencję, której celem było wypracowanie wspólnej polityki wobec żydowskich uchodźców z Niemiec. Zakończyła się fiaskiem.

Skończyło się fiaskiem. Skoro nie udało się nic zrobić w czasie pokoju, kiedy Niemcy nie urosły jeszcze w siłę i były jakieś możliwości polityczne na nie oddziaływanie, to jakie mogły być podczas wojny, zwłaszcza w czasie kiedy Hitler dominował na frontach i zajmował kraj po kraju? Żadne!

Karski, prezentując żydowskie koncepcje powstrzymania maszyny Holocaustu, był wysłuchiwany, ale te apele nie miały najmniejszych szans. Ani zarzucenie Niemiec milionami ulotek grożących odwetem za mordowanie Żydów, ani bombardowanie torów do KL Au-

chwitz, ani ślania milionów dolarów na wykupywanie Żydów nie było traktowane poważnie. Alianci przewidywali, że może przynieść to odwrotny skutek. Pokazanie, że Żydzi są w centrum uwagi świata, mogło bowiem prowadzić tylko do dalszego wzrostu antysemityzmu. W niczym by im nie pomogło. Dlatego Amerykanie i Brytyjczycy uważali, że najlepszą formą ratunku jest jak najszybsze pokonanie Niemiec. Taka była ich lo-

Francuzi wybrali Żyda na prezydenta swego państwa. Zapewne są kraje, gdzie byłoby to niemożliwe

CLAUDE LANZMANN

gika. Ani Karski, ani nikt inny nie miał szans tego zmienić. Tylko że on o tym nie wiedział. W tym leży cały dramat jego misji.

Książka Haenela sugeruje, że brak reakcji na jego raport brał się ze świadomego, instytucjonalnego antysemityzmu. Anglicy i Amerykanie obawiali się problemów związanych z masowym napływem Żydów.

– To kolejna głupota. Niby jakim cudem Żydzi mieliby w czasie wojny masowo przedostać się do Anglii i USA? Nonsens...

Czy zainteresowanie tą książką we Francji może brać się także stąd, że przypomina ona antysemityzm Wielkiej Brytanii i Ameryce?

– Nie chcę nawet dopuszczać takiej myśli. To prędzej jakiś antyamerykanizm...

Czy we Francji antysemityzm to problem, o którym lepiej nie pamiętać?

– Antysemityzm w dzisiejszej Francji nie jest istotnym problemem. Francuzi wybrali Żyda na prezydenta swego państwa zdecydowaną większością głosów. Zapewne są kraje, gdzie taki rezultat wyborczy byłby niemożliwy.

A jak było w czasie II wojny światowej?

– Oczywiście problem antysemityzmu z jego wszystkimi okropieństwami istniał. Francja miała kolaboracyjny rząd Vichy, który współpracował z Niemcami w praktycznym wcielaniu w życie Holocaustu. Trzeba jednak powiedzieć, że obok ludzi złych byli także dobrzy i sprawiedliwi, którzy pomagali Żydom i ich ratowali. Tacy właśnie ukrywali i uratowali także mnie.

Przygotowuje pan dla francusko-niemieckiej telewizji Arte film „Raport Karskiego” oparty na materiałach z 1978 roku, które nie weszły do „Shoah”. Co dokument powie o polskim bohaterze?

– Powie prawdę i pokaże Jana Karskiego, jakiego z całą pewnością nie znajdzie się na łamach książki Haenela. Przy okazji widzę przekonanie o jego kłamstwach. Myślę, że zakończenie prac nad tym filmem to kwestia najbliższego miesiąca.

SITA.pl
Technika dla języka

Wykorzystaj odkrycia naukowe
prof. Roberta Wallace'a, prof. Rainera Dietericha i laureata nagrody Nobla prof. Rogera Sperry w nauce języków.

ANGIELSKI

ENGLISH

NIEMIECKI

DEUTSCH

FRANCUSKI

FRANÇAIS

HISZPAŃSKI

ESPAÑOL

WŁOSKI

ITALIANO

Święta, Nowy Rok
nowy język

Swobodna rozmowa w zakresie najczęściej używanych słów i zwrotów gwarantowana już po 44 godzinach nauki systemem SITA.



Urządzenie SITA pomaga osiągnąć i utrzymać stan relaksu – optymalny do nauki języka (799 zł).

Rabat 200 zł na urządzenie przy zakupie czterech poziomów kursów

Kursy językowe SITA

Specjalnie przygotowane podręczniki i nagrania gwarantują najlepsze efekty (229 zł za jeden poziom kursu).

	PODSTAWOWY		ŚREDNIO ZAANGAŻOWANY	
	poziom 1	poziom 2	poziom 1	poziom 2
angielski	☐	☐	☐	☐
niemiecki	☐	☐	☐	☐

KUP NA WWW LUB TELEFONICZNIE
www.sita.pl 22 636 90 91

Platne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi odbiorca. Urządzenie posiada 24. miesięczną gwarancję. Dla dobra naszych klientów istnieje możliwość zwrotu urządzenia oraz kursów, dostarczonych wysyłkowo, w ciągu 14. dni. Urządzenie prosimy zatrzymać tylko w przypadku, gdy jesteśmy Państwem przekonani o jego skuteczności. W przypadku rezygnacji prosimy o odesłanie zakupionego towaru i podanie numeru konta, na które odeślemy pieniądze. PRZEKRÓJ

SITA Sp. z o.o.
Salon Sprzedaży
ul. Bellottiego 3
01-022 Warszawa

www.sita.pl

BIAŁORUŚ MACIEJ JARKOWIEC

LUDZIE Z KRESÓW SERCA MAJĄ NA WIERZCHU. JAKBY ZAWIESZONE NA SZYI DYNDA SOBIE TAKIE SERDUCHO JAK KLUCZ NA WSTAŻCE

I ZAWSZE WIDZISZ, CO SIĘ Z CZŁOWIEKIEM DZIEJE – tak mawia mój ojciec, sam urodzony na Kresach, w rodzinnej wsi Jarkowce w obwodzie witebskim na dzisiejszej Białorusi.

Winuś: stracone pokolenie

Gdy schodził z samolotu i szedł po płycie lotniska, kobiety krzyczały za nim „Morderca” i pluły w jego stronę, choć za daleko było, żeby dopuścić.

Po polsku mówił słabo. Był typowym przedstawicielem straconego pokolenia mniejszości polskiej: Polaków ukształtowanych, a często – jak on – zniszczonych przez ZSRR. Świadomych swojej polskości, ale o nią niedbających. Wsiąkniętych w system inżynierów, urzędników, kolchozników. Żyjących jak po pozostałe 300 milionów obywateli imperium – po sowiecku.

Poznałem go na początku lat 90., gdy ojciec pierwszy raz zabrał mnie na Kresy. Siedzieli na ławce w bani, dwóch nagich chłopów, mokrych od potu, czerwonych od gorąca, z sercami na wstażkach pełnymi blizn, pili samogon i opowiadali sobie o tych bliznach.

Kuzyn ojca Wincenty Jarkowiec (dla rodziny Winuś) był pilotem w armii radzieckiej w stopniu majora. Miał piękną żonę, mieszkanie w Moskwie, własny kawałek sowieckiego szczęścia. Jak iwany (tak Polacy w tamtych stronach mówią na Sowietów) weszli do Afganistanu, Winuś wszedł razem z nimi. Latał transportowcem – w tamtą stronę zawoził czołgi, sprzęt, zaopatrzenie, a wracał załadowany trumnami. Przywoził do ojczyzny trupy chłopów młodych i pięknych. Na lotnisku w Moskwie ich żony i matki z rozpaczą pluły na pilotów.

Gdy wojna się skończyła, iwany chciały Winusiowi dać order za te setki przywiezionych trupów, ale gdy generał przyczepił mu odznakę do piersi, Winuś zerwał ją i rzucił na ziemię. Nie trafił za to na Sybir tylko dlatego, że były to już czasy pierestrojki. Został jednak zdegradowany, wyrzucony z armii, stracił przywileje, odeszła od niego żona. Winuś wrócił na wieś, hodował karasie, grzał banie co sobotę i pił.

Teresa: matriarchat

W ostatnim roku kilkanaście razy musiała meldować się na milicji i w KGB, a raz – pod koniec stycznia – w prokuraturze. Wtedy pierwszy raz w życiu pobrali jej odciski palców. Za-

BIAŁOPOLACY



Osada Jarkowce, Białoruś.
Jan Jarkowiec
(z prawej) i jego przyjaciel
Cynfor Siemaszko.
Nie widzieli się od 50 lat

bronili wyjeżdżać z kraju. Władza sprawda, czy Teresa Sobol, prezes oddziału Związku Polaków na Białorusi (ZPB) w Iwieńcu, nie oszukuje urzędu skarbowego, nie wyłudza, nie defrauduje. Gdy poznałem ją kilkanaście dni przed przejściem iwienieckiego domu polskiego przez reżim, serducho na wstażce miała zmęczone, czuła się upokorzona wielogodzinnym przesłuchaniem w prokuraturze, nie sypiała po nocach. Jej adwokat, miński prawnik Aleksander Galijew broniący również działaczy białoruskiej opozycji, jest przekonany, że sprawa jest prosta. Chodzi o zastraszanie, nękanie, oczernianie. W sześciotysięcznym Iwieńcu znają się wszyscy. Wszyscy wiedzą, że pod dom Sobol co rusz zajeżdża milicja albo tajniacy.

Ale Kresowianki to silne baby. Andrzej Poczobut, działacz mniejszości polskiej z Grodna, powtarza, że szwedzkie feministki powinny tu przyjeżdżać po nauki: – Zrozumiałyby, co to matriarchat.

Prezesem nieuznawanego przez Mińsk Związku Polaków na Białorusi jest Andżelika Borys, w ciągu ostatnich pięciu lat wielokrotnie przeszukiwana, aresztowana, permanentnie śledzona, straszona groźbami. Wszystkimi trzema domami polskimi, które do 8 lutego 2010 roku pozostawały we władaniu związku, kierowały kobiety. Teresa Sobol w Iwieńcu, Teresa Sieliwończyk w Baranowiczach i Alła Niedziejewska w Borysowie. Jedynym z 14 przejętych przez władzę, gdzie nie ustała działalność oświatowa dla mniejszości polskiej – w Lidzie – rządzi ponad 80-lletnia Julia Tymos. Kobiety są ostoją polskości w rodzinach. Gdy ojcowie szli na wojnę, gdy przepadali na wywózkach albo zapijali się w kolchozach, matki uczyły dzieci polskiego elementarza i pacierza. Kiedy pytam młodych Polaków, czy rozmawiają w domach po polsku, odpowiedź prawie zawsze jest taka sama: „Tylko z babcią”.

Teresa Sobol mówi, że ma dość nękania, ale nie odpuści. I nie odpuszcza – w miasteczku

zastraszonym przez KGB zaczęła poszukiwania nowej siedziby dla związku.

Władysław: do podziemia

W centrum Mińska na stuletni kościół katolicki w stylu neoromańskim ze wszystkich stron napierają gmaszyska radzieckiego modernizmu – z jednej flanki Dom Rządowy, z drugiej Uniwersytet Państwowy, z trzeciej, za największym

Zawalniuk też jest ostrożny, choć wydalenia się nie obawia, bo ma tutejsze obywatelstwo. Urodzony pod Mińskiem, Białorusin po ojcu, Polak po matce, biegła polszczyzna ze wschodnim zaśpiewem, isierki w oczach, słabość do kawy z wkładką. Regularnie organizuje imprezy polskie we współpracy z ambasadą. – Ale katecheza po polsku odpada – przyznaje. – Przyczepią się, a jak się uprą, to wstawią tu kogo innego.

Dziełem jego życia są kościelne podziemia. Jak czarodziej otwiera wrota za wrotami – kaplica, sala bankietowa z szatnią, biblioteka, następna kaplica z fotokopią całunu turyńskiego (– Jedna z siedmiu takich na świecie! – zachwala), sala teatralna na 200 osób, salki katechetyczne, znowu kaplica. Stworzona przez Zawalniuka wielofunkcyjna piwnica ma na oko ze dwa tysiące metrów kwadratowych. – Jak upadł ZSRR, wszyscy kłócili się ze wszystkimi, nas nie pilnowali, a myśmy tu sobie kopali – serce na wstażce raduje się na tamto wspomnienie. – Sprzęt odpowiedni załatwiłem, szło jak z płatka. Trzeba kopać, jak nie patrzą, bo kto wie, co będzie potem.

A potem przyszedł Łukaszenka. Były polityk w KGB w 1994 roku zostaje prezydentem, bo obiecuje, że zrobi porządek. I robi. Kierowany przez Andżelikę Borys Związek Polaków na Białorusi jest jedyną organizacją niekontrolowaną przez państwo posiadającą struktury w całym kraju, również na prowincji (białoruska opozycja działa tylko w dużych miastach). Na istnienie takiej organizacji – nawet jeśli nie prowadzi ona działalności politycznej – szanujący się reżim nie może sobie pozwolić.

Maryna: nasza krew

Serducho na wstażce dynda jak oszalałe, gdy pani reżyser wybucha gniewem. Rozzłościło ją pytanie, kto według niej jest prawowitym prezesem ZPB. – Co za różnica, kto prezesem?! Co to ma za znaczenie?!

Rozprawę ze związkiem Łukaszenka rozpoczął w 2005 roku, nie uznając zjazdu, który wybrał Borys na prezesa. Na nowym zjeździe zorganizowanym przez reżim szefem został Józef Łuczniuk, zwolennik współpracy z władzą. W ciągu następnego roku nieuznawany przez Warszawę ZPB Łuczniuka (w zeszłym roku za-

Na Białorusi pracuje około 300 polskich księży. Każdy ma podsłuch w telefonie i teczkę w bezpiece

stąpił go Stanisław Siemaszko) przejął od nieuznawanego przez Mińsk ZPB Borys 13 z 16 domów polskich rozsypanych po całej Białorusi. Potem był względny spokój. Kolejny atak nastąpił dopiero tej zimy.

Za oknem minus 20 i zademka, a w iwienieckim domu kultury, gdzie złości się na mnie Maryna Mikucka (złoty krzyżyk na szyi, niski

głos, włosy spięte w koński ogon) – ciepło, czysto i przyjemnie. Sala kinoteatralna na 300 osób świeżo po remoncie, nowiutkie fotele, aż pachnie. Kilka razy w miesiącu jest koncert – zespoły z Mińska, nawet z Moskwy, dwa razy dziennie film, o 19 i 21 – hity z Rosji i z Zachodu. Wczoraj grali nowego „Sherlocka Holmesa”, frekwencja dobra, bilet kosztuje 1800 rubli, czyli niecałe dwa złote.

Mikucka jest tu na etacie reżysera. I to ma dla niej znaczenie, nie polityka. Pracuje z dziećmi – wieczorki recytatorskie, bajki, akademie. Właśnie szykują coś na walentynki. Znaczenie ma też krew, a w jej żyłach płynie polska. – W stu procentach! – deklaruje i kaleczoną polszczyzną opowiada o dziadku, który miał w Iwieńcu zakład ceramiczny, i ojcu, który jako jedyny z Mikuckich nie skorzystał po wojnie z repatriacji. Zmarł w zeszłym roku. Maryna po latach wróciła z Mińska, mieszka z dziećmi w rodzinnym domu.

Pytam, czy wystawia nieraz po polsku. – Jak po polsku? – dziwi się. – Po rosyjsku, żeby wszyscy rozumieli. Po polsku jest msza w kościele, jak ktoś chce, to idzie. Tak jak ja.

I znowu bierze ją złość, że polskość stała się modną, jak skończyła się komuna, i zrobiły się z tego przywileje, pieniądze z Polski, Karta Polaka. Wcześniej nikt się jakoś nie przyznawał, nie wychylał, a ona zawsze w rubryce „Narodowość” (otwiera przede mną paszport na odpowiedniej stronie) miała wpisane: polska. – Więc niech mnie pan nie śmiesz tym związkiem i tą polityką! – krzyczy.

Natalia i Wania: lekcje polskiego

Tradycyjna polska potrawa:
a. hot dog, b. bigos, c. solanka.

Na teście sprawdzającym wiedzę o Polsce dla ubiegających się o Kartę Polaka bywały trudniejsze pytania: o datę śmierci Władysława III Warneńczyka albo o to, kto sprowadził do Polski Krzyżaków. Jednak najtrudniejszy może okazać się sam język. Żeby zwiększyć szanse na otrzymanie dokumentu umożliwiającego studia, pracę albo założenie firmy w Polsce, trzeba mówić po polsku. Polacy na Białorusi często mają z tym problem. Tym, którzy chcą się uczyć, pomaga między innymi Natalia Trościanko (serca cichego i skromnego), nauczycielka polskiego w Domu Polskim w Iwieńcu. Sama poczuła się Polką, gdy po studiach językowych pojechała uczyć angielskiego do Polski.

Gdy z Teresą Sobol zjawiamy się na jednej z lekcji, kursanci właśnie śpiewają „Rotę”. Wśród nich Wania Gurynowicz, 40-latek, właściciel małej firmy spedycyjnej. Dwa dni później skutecznie namawia mnie, żebym natarł się śniegiem po grzaniu w bani, a w domu przy kłóćci i kielichu śpiewa „Katusz”, akompaniując sobie na akordeonie. Po co mu i jego żonie (dentystce w iwienieckim szpitalu) te lekcje i Karta Polaka, skoro do Polski emigrować nie mają zamiaru? – Jakoś ta polskość się budzi w człowieku – tłumaczy Wania i serce na wstażce robi →



Włóczyń, 27 stycznia. **Teresa Sobol**, kierowniczka Domu Polskiego w Iwieńcu, odprowadzana przez milicjanta wychodzi z przesłuchania w komendzie

→ się rzewne, gdy wspomina babcię, która uczyła go polskiego pacierza.

Tam, gdzie domy polskie pozabierała władza, często nie ma jak zorganizować kursów. Nauczyciel by się znalazł, ale nie ma sali. Można by przy kościele (jak chcą niektórzy działacze ZPB), ale księża się boją. Trzeba by w szkole państwowej (bo tak nakazuje białoruska ustawa o mniejszościach), ale boją się dyrektorzy. Na kursach i w szkołach prowadzonych przez ZPB Borys i Polską Macierz Szkolną polskiego uczy się około pięciu tysięcy dzieci i dorosłych. To niewiele jak na liczącą 400 tysięcy mniejszość polską.

Dorośle grupy kursantów były w Domu Polskim w Iwieńcu dwie. Poza tym Natalia Trościanko uczyła tam prawie 150 dzieci. – Maluchy na język polski posyłają rodzice – mówi. – Ale im starsze, tym bardziej garną się same, bo zależy im na studiach w Polsce.

Nauka została przerwana do czasu, aż Teresa Sobol znajdzie nowe lokum.

Stanisław: jest demokracja

Na zadane po polsku pytanie, kto jest szefem ZPB w Iwieńcu, reaguje natychmiast: – Ja! (serca na wstążce nie widzę, bo rozmawiamy przez telefon).

Stanisław Buraczewski, kierownik iwieńskiego domu kultury, ma z ramienia władzy przejąć po Teresie Sobol kontrolę nad tutejszym oddziałem ZPB. 8 lutego milicja zaskoczyła 10 działaczy dyżurujących w miejscowym domu polskim i wtargnęła do środka. Wyciągnięto ich siłą na ulicę, a na nowe włości wkroczył Buraczewski. Rozejrzał się z zadowoleniem, po czym tajniacy zmienili zamki i opieczetowali dom. We wszystkich domach polskich przejmowanych przez władzę w latach 2005–2006 po kilku tygodniach ustawała działalność dla mniejszości polskiej, z wyjątkiem tego w Lidzie, gdzie Julia Tymos pod egidą reżimowego ZPB dalej organizuje lekcje polskiego i imprezy kulturalne.

Na prośbę o przedstawienie swoich planów Stanisław Buraczewski milknie. – Możecie po ruski otwierać – zachęcamy.

Wtedy się rozgaduje. Mieszanką rosyjsko-białorusko-polską wyjaśnia, że chce wprowadzić kursy polskiego w miejscowej szkole, że będzie działał kulturalnie i dobroczynnie („Na konkrety przyjdzie pora”) i że zamierza doglądać mogił Polaków poległych w II wojnie światowej na cmentarzu w Iwieńcu. – Bo leży tam bardzo dużo akowców – podkreśla.

Na rozstaju dróg stoi Matka Boska. Biała, gipsowa, naturalnej wielkości. A za jej plecami wznosi się ogromny sierp i młot

Czy czuje się Polakiem? – To bardzo trudne pytanie – wyznaje. – Żyję na Białorusi, ale moi przodkowie to Polacy. Tu, gdzie mieszkam, można czuć się i Polakiem, i Białorusinem.

Potem opowiada po rosyjsku, już nie dbając o polskie wtręty, o tym, jak przyjechał do Polski tuż po obaleniu komunizmu, jak zobaczył wolną kampanię wyborczą, i o tym, jak go to oszołomiło. Zobaczył tyle plakatów! Tyle kandydatów! A oni ciągle byli częścią ZSRR. – Był jeden kandydat, zdobywał 99 procent głosów i koniec – mówi.

A teraz? Czy na Białorusi jest inaczej? – Tak, panuje demokracja – zapewnia i zarzeka się, że o żadnym nękaniu opozycji nie słyszał.

Anciuk: czas warszawski

Na rozstaju dróg, 10 kilometrów na zachód od miasteczka Głębokie na północnej Białorusi, na kamiennym kopcu stoi Matka Boska, biała, gipsowa, naturalnej wielkości. Za jej plecami, na kilkumetrowym słupie górują sierp i młot, też białe, z blachy. Kiedy skończyły się iwany (Sowieci), Matkę przed sierpem postawili Polacy z inicjatywy Antoniego Jarkowca, ojca Winusia – tego, który przywoził trupy z Afganistanu. Gdy byliśmy u nich na początku lat 90., Antoni (dla

rodziny Anciuk) miał już ponad 90 lat, ale serce na wstążce ciągle jak dzwon. Mówił po polsku, kłął po rosyjsku, był ministrantem w kościele w Głębokiem, i tak przez całe życie. Po kąpiele w bani usiedliśmy w domu, w głównej izbie, gdzie był stół i łóżko, na którym Anciuk sypiał już wówczas sam – żona odeszła pierwsza. Nad łóżkiem wisiał zegar wskazujący czas warszawski, przedwojenny, bo już przed wojną Anciuk zaczął go co rano nakręcać i nie przestawał wskazywać. Winuś nasmażył karasi, jedliśmy, siedząc za stołem, pełno miały ości, Anciuk kłął na nie jak ruski żołnierz.

Umarł kilka lat później, niedługo po tym jak nie wytrzymało serce Winusia.

Wróciliśmy tam w sierpniu 2009. Wszystko się wali, zarosnięte, krzywe. W bani jest ławka, dziurawy piec. Ojciec szkicuje schemat, chce stawić banię na swojej działce na Dolnym Śląsku. Zagłębiliśmy do chaty. Izba Anciuka jest pusta.

Mieczysław: na nas przyjdzie pora

Mieczysław Jaśkiewicz, wiceprezes ZPB Andżeliki Borys na początku lat 80., też – jak Winuś – o mało nie wyładował w Afganistanie. W czasie obowiązkowej służby wojskowej wyróżniał się ciężką i sprawnością. Gdy wrócił do domu, przyszło zaproszenie do szkoły oficerskiej w Riazaniu, gdzie szkolili komandosów. – Chcieli mnie brać bez egzaminów – wspomina. – Pokazałem ojcu, dumny, bo w naszym pułku było 1500 chłopów, a oni mnie wybrali, czyli najlepszy jestem. Ojciec przełożył papierosa z jednego kąta ust w drugi, jak miał w zwyczaju, i mówi: „Pewnie, że najlepszy, my gorszych nie robili”. A potem kazał mi to wyrzucić: „Do Afganistanu cię wysła, a to nie nasza wojna. Na nas przyjdzie pora”.

Rozmawialiśmy w Grodnie 29 stycznia 2010 roku. Tydzień później milicja wtargnęła do Domu Polskiego w Iwieńcu. Jaśkiewicz i inni działacze przewidywali, że to nieuchronne. Gdy zamykamy ten numer „Przekroju”, polski MSZ zapowiada „męskie rozmowy” z Mińskiem, a działacze ZPB przygotowują się do potyczki prawnej zaplanowanej na 15 lutego w Włóczyńcu. Sąd rozstrzygnie, kto jest prawowitym właścicielem Domu Polskiego w Iwieńcu. Choć argumenty prawne są po stronie Sobol, bo to ona, a nie Buraczewski figuruje w rejestrze MSW jako prezes ZPB w Iwieńcu, działacze nie łudzą się, że decyzja sądu będzie dla nich korzystna. – Żyjemy w państwie autorytarnym – mówią. – Tu nie ma niezależnego sądownictwa.

Większość rodziny Mieczysława Jaśkiewicza jest w Polsce. Obie córki w Warszawie – młodsza studiuje, starsza już po studiach. Nie wracają. Pytam, czy i on by nie chciał wyjechać. – A tu kto zostanie? – odpowiada pytaniem, a serce przeży się na wstążce. – Ktoś tu przecież musi zostać. Żeby walczyć o naszą tożsamość.

Anciuk postanowił, że odejdzie w niedzielę. Jak co tydzień służył rano do mszy, potem wrócił do domu, położył się na łóżku pod zegarem i umarł. Około południa czasu warszawskiego.

Współpraca: Joanna Woźniczko-Czeczott

FOT. MACIEJ JARKOWIEC, ALEKSEJ SALEJ



ZMIEŃ SWOJE NAWYKI

Palenie papierosów przestało być dla Ciebie zabawne!

Masz problem z pozbyciem się nałogu!

Zmień palenie na e-palenie...

Dołącz do grona e-palaczy!

Bez dymu, bez ognia i bez stresu ograniczysz liczbę wypalanych papierosów, a może nawet rzucisz palenie!

Sięgnij po nowy produkt ColinsS™ AGE

ColinsS™ AGE

Dwuczęściowy e-papieros ColinsS™ AGE, to nowy wymiar palenia. Ten najbardziej komfortowy model to zestaw dwóch e-papierosów i pakietu kartomizerów. Oznacza to, że z jednego kompletu mogą niezależnie korzystać dwie osoby. Kartomizer gwarantuje Ci najwyższą jakość e-palenia. Jest to wymienny element łączący w sobie zasobnik z e-liquidem oraz atomizer. Dzięki swej budowie jest łatwy w użyciu i daje ogromną satysfakcję. W zestawie jest również ładowarka.

Elegancja i wydajność ColinsS™ PEN II

ColinsS™ PEN II

Długi i elegancki inhalator e-papieros ColinsS™ PEN II, dla najbardziej wymagających. ColinsS™ PEN II daje ogromną satysfakcję e-palenia. Występuje w trzech kolorach: czarnym, białym, wiśniowym. Cały zestaw to 2 baterie, atomizer, wkłady/kartridże i ładowarka. Jeden wkład/kartridż do modelu ColinsS™ PEN II jest odpowiednikiem paczki zwykłych papierosów.

www.COLINSS.com

Zapraszamy do strefy ColinsS™
Twojej strefy wolności!!!

UWAGA!

PRZY ZAKUPIE ZESTAWU COLINSS PEN II DOSTAJESZ PŁYN UZUPEŁNIAJĄCY/E-LIQUID GRATIS - TYLKO NA PODSTAWIE ORYGINALNEGO KUPONU. KUPON ZOSTAWIASZ W PUNKCIE SPRZEDAŻY COLINSS

KUPON





BAŁKANY MICHAŁ KOWALSKI

*Dla Albańczyków
flaga to świętość.
Oczywiście flaga
Albanii, a nie
ta niebieska,
narzucona
przez Europę*

WĘZEL KOSOWSKI

**CODZIENNE ŻYCIE W NIENAWIŚCI ALBO
PODZIAŁ I NOWA WOJNA – PRZED TAKĄ
ALTERNATYWĄ STOI KOSOVO, KTÓRE DWA
LATA TEMU OGŁOSIŁO NIEPODLEGŁOŚĆ**

Uzależniłem się od Kosowa i musiałem tu wrócić – przyznaje Wendelin, oficer policji z Niemiec. Z brodaczem w czarnym służbowym swetrze siedzimy w pubie Route 66 w Mitrowicy, jednym z wielu przejawów miłości Albańczyków do wszystkiego, co amerykańskie. Z głośników syczy się kojący głos Chrisa Isaaka, ze zdjęcia na ścianie uwodzicielsko spogląda James Dean.

Wendelin po raz pierwszy przyjechał do Kosowa pięć lat temu w ramach misji ONZ. Służył

przy granicy z Albanią i Macedonią. Powrócił w grudniu 2008 roku już jako funkcjonariusz EULEX. To cywilna misja Unii Europejskiej wspierająca w Kosowie budowę wieloetnicznego systemu sądów, policji i służb celnych. W imię pojednania i współpracy.

Ale napisać, że trafił do Mitrowicy, to już jak opowiedzieć się po stronie jednych, a przeciwko drugim. Bo tak powiedziałby tylko Albańczyk. Serbowie, którzy nie uznają niepodległości Kosowa, mówią zawsze: Kosowska Mitrowica. Jak w czasach, gdy region należał do Serbii. Jak przed wojną w 1999 roku.

To miasto na północy Kosowa jak soczewka skupia wszystkie problemy pograżającego się w nienawiści państwa, które 17 lutego 2008 roku ogłosiło niepodległość. Teoretycznie rzecz biorąc, Mitrowica w całości należy do Republiki Kosowa, ale płynąca przez miasto rzeka Ibar stała się de facto granicą serbsko-albańską. Wendelin mieszka w hotelu Palace w części albańskiej, a pracuje na drugim brzegu – wśród Serbów, jako doradca komendanta policji.

Marcowe pogromy

– Czasem pośredniczę też między komendami na północy i południu Mitrowicy – opowiada Wendelin. – Na początku było ciężko, bo Serbowie nas nie akceptowali. Ale z czasem udało się ich zjednać. To dzięki temu, że pozostajemy neutralni. Nie jesteśmy misją

polityczną, nie interesuje nas problem państwowości Kosowa.

Ale mieszkańców ten problem obchodzi – i to tak bardzo, że spory raz po raz topią we krwi. Nic dziwnego, że na obu brzegach roi się od miejsc napiętnowanych nienawiścią. Są jak bliźni, które od wielu lat nie chcą się goić.

Choćby cerkiew Świętej Sawy, która stoi w południowej, czyli albańskiej i muzułmańskiej, części miasta. Obok odbudowanej dzięki wsparciu UNESCO świątyni wciąż sterczą ruiny plebanii. Pod oknami worki z piaskiem. Na drugim piętrze – drewniana wieżyczka przykryta siatką maskującą. Stanowisko dla karabinu snajperskiego. Dobry punkt obserwacyjny na ulicę i wznoszące się za płotem albańskie wille. Czy te domy były celem snajpera? A może to z nich ostrzeliwano cerkiew, gdzie przed linczem schronili się Serbowie?

Szczegółów tego zdarzenia nie da się już ustalić. Wiadomo tylko, kiedy miało miejsce – w marcu 2004 roku. A zaczęło się od śmierci trojga dzieci.

Sześciu albańskich chłopców z wioski Caber na północ od Mitrowicy bawiło się nad rzeką Ibar. Przeszli przez most na serbską stronę rzeki. Z pobliskiego domu usłyszeli wyzwiska, potem zobaczyli dwóch Serbów z psem. Dzieci rzuciły się do ucieczki, czterech chłopców skoczyło do rzeki.

Ale Ibar jest głęboki, a nurt silny. 13-letni Fitim wiedział, że jego 9-letni brat Florent nie umie pływać. Dlatego kazał mu mocno trzymać się jego szyi. Nic z tego. Poczul, jak płaczący Florent zsunął się z jego pleców. Gdy Fitim wydostał się na brzeg, długo wołał brata. Ale ze wzburzonych wód Ibaru nikt nie odpowiadał. Nie było też 11-letniego Avniego i 12-letniego Egzona.

Tamto wydarzenie sprowokowało w całym Kosowie zamiesz-



Wendelin, policjant z Niemiec, mediuje w Mitrowicy między Serbami a Albańczykami

ki, tak zwane pogromy marcowe. Albańczycy zniszczyli wtedy cerkiew Świętej Sawy i 15 innych świątyń prawosławnych. Zbezczeszczyli cmentarze. Rozpętał się horror przy właściwie biernej postawie dowództwa KFOR*, które w takich sytuacjach ma rozkaz przede wszystkim zapewnić bezpieczeństwo... własnym żołnierzom. Podczas dwóch dni zginęło co najmniej 28 osób, spłonęło 110 domów.

Zamach na Dolce Vita

Wendelin prowadzi teraz do serbskiej części miasta. Największy z trzech mostów bez przerwy patroluje policja. Od albańskiej strony podjeżdża samochód na kosowskich numerach rejestracyjnych. Kierowca zatrzymuje się, zdejmując tablice i wrzuca je do bagażnika. Dopiero wtedy przejeżdża na serbską stronę.

– W całym Kosowie obowiązują rejestracje z literami KS, ale Serbowie to bojkotują – wyjaśnia Wendelin. – Używają starych

*** KFOR
(z jęz. ang.
Kosovo Force)**
– międzynarodowe
siły działające na
terenie Kosowa pod
auspicjami NATO

serbskich tablic z literami KM albo jeżdżą nieoznakowanymi autami. Dlatego nieliczni Albańczycy, którzy prowadzą interesy na drugim brzegu, zdejmują przed mostem kosowskie tablice.

Przechodzimy na serbską stronę rzeki i siadamy w kawiarni Dolce Vita. Dobrze widać z niej most i pilnującą go wojskową ciężarówkę KFOR. Nagle gaśnie światło. Przerwy w dostawie prądu to w Kosowie codzienność. Ale także – jak niemal wszystko tu – iskra rzucona na beczkę prochu. – Serbowie nie chcą płacić rachunków kosowskiemu koncernowi energetycznemu – opowiada Wendelin. – W maju zeszłego roku kilka wiosek na północ od Mitrowicy odcięto z tego powodu od dostaw prądu. Wybuchły protesty, kilkuset Serbów zablokowało jedną z dróg. Interwenujących policjantów obrzucono kamieniami.

Zresztą sama kawiarnia Dolce Vita też zapisała się w historii kosowskiego konfliktu. W sobotę 26 sierpnia 2006 roku Adem, →

*Ruiny plebanii
przy cerkwi
Świętej Sawy.
Czy stąd strzelał
serbski snajper?*

→ 16-letni Albańczyk, przechodzi przez most do północnej części miasta. W Dolce Vita siedzi 12 osób, większa grupa jest w kawiarnianym ogródku. Adem wolno podchodzi do lokalu, nagle wyciąga granat. Rzuca w kierunku wejścia i ucieka. Rozmowy przerywa brzęk tłuczonego szkła, a po ułamku sekundy huk eksplozji. Słychać jęki rannych.

Kilku Serbów wybiega z kawiarni i ściga zamachowca. Ale dopiero pilnujący mostu kosowscy policjanci zatrzymują chłopaka. Tymczasem pod Dolce Vita zbiera się tłum Serbów. Setki demonstrantów ruszają na most, ale drogę blokują ciężarówki KFOR. Od albańskiej strony zbliża się samochód na kosowskich tablicach. Kierowca usiłuje przebić się przez wzburzony tłum. Ktoś ciska kamieniem, pęka przednia szyba.

Po kilku godzinach demonstranci rozchodzą się do domów. Rannych jest w sumie dziewięć osób – sześcioro Serbów, szkocki policjant i Holenderka w ósmym miesiącu ciąży – które siedziały w Dolce Vita, oraz Albanka z feralnego samochodu. Serbowie tworzą oddziały strażników, którzy do dziś pilnują ich części miasta przed nieproszonymi gośćmi.

Kosowar, potomek Ilirów

Siedziba TV Mitrovica znajduje się przy ulicy Afrim Zhitia, w centrum albańskiej części miasta. Stacja obejmuje zasięgiem całe Kosowo. Zatrudnia 25 pracowników, w tym 8 dziennikarzy. Nadaje tylko po albańsku, chociaż wśród współpracowników są Bośniacy, Turcy, a nawet Serbowie.

Flamur ma 23 lata. Skończył szkołę średnią w Gjiłan i od kilku lat jako operator kamery relacjonuje najważniejsze wydarzenia w obu częściach miasta. Podczas pogromów marcowych w 2004 roku był przy moście na Ibarze, po którego dwóch przeciwnych stronach gromadzili się Albańczycy i Serbowie. Nagle z obu stron zaterkotały karabiny maszynowe. Flamur filmował krew płynącą po chodnikach: – Wiedziałem, że mam mocny materiał. Ale w duszy przeklinałem, że wolalbym go nie mieć.

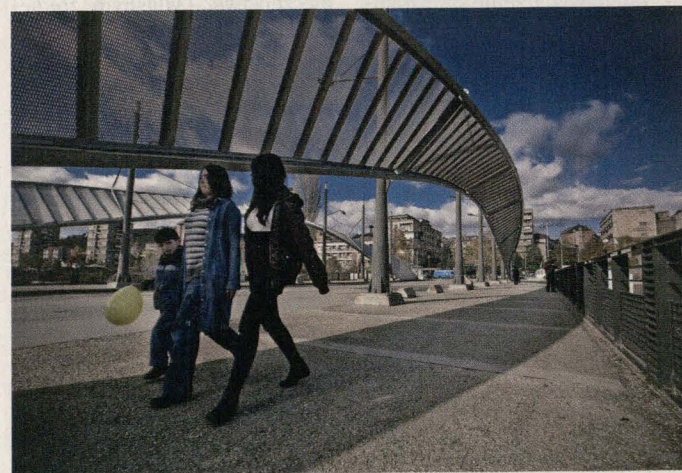
Na co dzień też nie jest spokojnie: – Kiedy u Serbów dzieje się



Wojna narodów to także konflikt podlany religijnym sosem: islam kontra prawosławie

coś ważnego, transport zapewnia nam policja lub KFOR. Samemu lepiej tam się nie zapuszczać. Jeżeli wiedzą, że jesteś Albańczykiem, zbiorą grupę i cię pobiją – ostrzega Flamur i zapewnia, że z kolei Serbowie przechodzą na albańską stronę bez problemu. – My nie mamy zorganizowanych grup, które pilnują mostu. Często spotykam ich w naszych restauracjach i kawiarniach. Nikt nie pyta, skąd są. Tolerujemy serbskie tablice rejestracyjne.

Czy ma wśród Serbów przyjaciół? Nie, ale czasem rozmawia z serbskimi dziennikarzami.



Jeden z trzech mostów nad rzeką Ibar w Mitrovicy: Albańczyków i Serbów jednak dzieli, a nie łączy

Czy uważa się za Albańczyka, czy Kosowara? – Oczywiście, że jestem Kosowarem, bo mieszkam w Kosowie. No tak, ale Kosowo to przecież Albania. Jestem więc Albańczykiem.

Flamur zaprasza do jednego z pubów na piwo Peja. Jak zapewnia – najlepsze na świecie. Przy okazji wyjaśnia, dlaczego Kosowo powinno być albańskie. Zresztą nie tylko Kosowo: – Jesteśmy potomkami Ilirów, którzy zamieszkivali Bałkany na długo przed Słowianami. Istniała kiedyś Wielka Albania, która obejmowała Kosowo, część dzisiejszej Ser-

bii, Czarnogóry, Macedonii i Grecji. Te wszystkie państwa okupują teraz nasze ziemie. My nigdy nikogo nie okupowaliśmy.

Pyta, czy wiemy, co znaczy słowo „flamur”. Flaga. A flaga – mówi – jest dla Albańczyków święta. W Kosowie walczyli o własne państwo, wciąż mając przed oczyma dwugłowego czarnego orła na czerwonym tle. Nowy sztandar, narzucony przez organizację międzynarodową, przedstawiający zarys Kosowa z sześcioma gwiazdami na niebieskim tle jest im zupełnie obojętny. Na kartce Flamur zapisuje jeszcze słowa narodowego hymnu – po albańsku i angielsku: „Wokół flagi zjednoczeni, z jednym życzeniem i jednym celem; wszyscy na nią przysięgamy, by złożyć śluby dla zbawienia”.

Potem Flamur zabiera nas do Trepczy. To położony pod miastem kompleks obejmujący kilka kopalń cynku, hutę ołowiu i fabrykę akumulatorów. Czasy świetności przeżywał w latach 70. ubiegłego wieku jako największy zakład w Jugosławii i jeden z największych w Europie. Trepcza zatrudniała niegdyś ponad 23 tysiące pracowników to dziś industrialny grobowiec.

– No i polityczny kłopot – mówi Flamur, spoglądając na cmen-

tarzysko szybów górniczych oraz opuszczonych hal fabrycznych. Nowy zarząd Trepczy opracował wprawdzie plan naprawy, ale rząd nie chce prywatyzować kompleksu. Zresztą kto chciałby zainwestować w tak niespokojnym miejscu?

Problem Trepczy to chyba jedyna rzecz, która łączy Serbów i Albańczyków. Koncern zatrudnia obecnie kilkaset osób, które pracują w koszmarnych warunkach za 150 euro miesięcznie. Pozostali pracownicy mieszkający na osiedlach robotniczych po obu stronach rzeki żyją z zapomogi. Po stronie albańskiej wynosi ona 18 euro miesięcznie – dwa razy mniej niż średnia pensja.

Marchewka z Belgradu

Zwracamy ich uwagę, włączając się po serbskiej części Kosowskiej Mitrovicy. Stoją pod blokiem i piją piwo Jelen z plastikowej dwulitrowej butelki.

– Właśnie mówiłem Miloszowi, że byłoby fajnie, gdybyście do nas podeszli – śmieje się Lazar, wysoki 21-latek w okularach z długimi blond włosami. – Coś by się wreszcie zaczęło dziać. No i przelałabym się monotonię.

Pochodzi z Kosowskiej Mitrovicy, a Milosz, który poszedł właśnie po następne piwo, jest

z Niszu. Obaj studiują anglistykę na tutejszym uniwersytecie, który powstał po odłączeniu się serbskich wydziałów od przejętego przez Albańczyków Uniwersytetu w Prisztinie. Co będą robić po studiach?

– Z pracą jest krucho. Jedyna szansa to zatrudnić się jako tłumacz w KFOR. Płacą nawet tysiąc euro miesięcznie. Gdybyśmy wyładowali, ucząc w szkole, zarabialibyśmy jakieś 400 euro – mówi Lazar.

To i tak nieźle, bo średnia płaca w północnej części miasta wynosi około 100 euro, przy czym 60 procent sumy wypłaca serbski rząd. W północnym Kosowie finansuje także opiekę zdrowotną i edukację. Pracownicy tutejszych szpitali i szkół dostają 200 procent zarobków kolegów w centralnej Serbii. Belgrad nie szczędzi środków, by zachęcić rodaków takich jak Lazar i Milosz do pozostania w Kosowie.

Jak ich rówieśnicy spędzają wolny czas? Z butelką piwa pod blokiem. – Co innego można tu robić? – zastanawia się Lazar. Na drugi brzeg się nie zapuszczają, bo nie ma potrzeby. Z Albańczykami nie utrzymują żadnych kontaktów, ale nie są do nich wrogo nastawieni. Rodzice Lazara mają nawet albańskich zna-

jomych. Dla niego problemem nie są Albańczycy, tylko NATO i Amerykanie.

– Stworzyli sobie w Kosowie największą bazę wojskową w Europie – Camp Bondsteel pod Uroševacem. Są na specjalnych prawach. Mają interes w tym, żeby utrzymać tu swoich żołnierzy. Dlatego chcą, żeby sytuacja w Kosowie jak najdłużej była niestabilna – twierdzi Lazar.

Strzały z wieżowców

Tego wtorkowego popołudnia w przedostatni dzień 2008 roku Wendelin nie zapomni. Jak niemal wszystkie zamieszki w Mitrovicy zaczęło się od mostu.

Na serbską stronę przechodzi dwóch Albańczyków. Kilkadziesiąt minut później wbijają nóż w plecy 16-letniego Nikoli. Wieść o zdarzeniu szybko się rozchodzi. Serbowie wychodzą na ulice, podpalają albańskie sklepy i demolują samochody z kosowskimi tablicami. Znowu słychać strzały. Kosowska policja aresztuje nożowników, gdy próbują uciec przez most na albańską stronę. Ich ofiara w stanie ciężkim trafia do szpitala.

Tymczasem wokół mostu gromadzą się setki demonstrujących Serbów. Zamieszki rozprzestrzeniają się na zachód, w stro-

Flamur wspomina Wielką Albanie obejmującą część Grecji, Czarnogóry, Serbii, Macedonii i całe Kosowo

nę trzech wysokich bloków nazywanych Tri Solitera (Trzy Wieżowce). Znajdującą się w ich sąsiedztwie kładkę dla pieszych próbuje sforsować kilkudziesięciu Albańczyków. Zatrzymują ich sami Serbowie. Z wieżowców padają strzały z broni automatycznej.

Wendelin jest wśród policjantów przy moście. – Czulem, że sytuacja wymyka się spod kontroli – wspomina. – Zaczęłam się bać. Krzyknąłem do kolegi: Gdzie, do cholery, jest KFOR?

W tym samym momencie nad miastem pojawia się wojskowy śmigłowiec, kilka minut później podjeżdżają ciężarówki. Żołnierze zamykają most i blokują drogi dojazdowe do wieżowców. KFOR wzywa następne posiłki. Późnym wieczorem sytuację udaje się wreszcie opanować. To cud, ale nikt oprócz ranionego nożem 16-lataka nie odnosi poważniejszych obrażeń.

Wendelin: – Podział Kosowa byłby najlepszym rozwiązaniem. Ale to moje osobiste zdanie. Jako funkcjonariusz EULEX nie powinienem tego mówić. Jednak siły międzynarodowe nigdy do tego nie dopuszczają.

Lazar: – Północne Kosowo nigdy nie uzna zwierzchności rządu w Prisztinie. Albo będziemy częścią Serbii, albo powstanie nowa Republika Serbska. Jak w Bośni.

Flamur: – Kosowo nie może się podzielić. Nie ma takiej możliwości. Jeżeli Serbowie będą chcieli oderwać północne Kosowo, wybuchnie kolejna wojna. □



Kosowski kociot między Serbią a Albanie

NEORELIGIE RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

Bóg utkwiał w szczegółach

Religia bierze rozbrat z opium i masami.
Liczy się fun i znajomi. Nawet wierzyć nie trzeba

Rycerka Jedi

Kampania na rzecz wpisania heavy metalu w poczet religii? – Najlepsze pomysły rodzą się w pubie nad kuflem piwa – wyjaśnia Alexander Milas, naczelny brytyjskiego magazynu muzycznego „Metal Hammer”.

Pomysł jest prosty. Za rok w Wielkiej Brytanii rusza przeprowadzany co 10 lat spis powszechny. Niech fani cięższego grania wpiszą heavy metal do rubryki „Wyznanie”, a będzie śmiesznie. Śmieszność wystarczy. – Nie potrzebujemy przecież oficjalnego potwierdzenia istnienia heavy metalu – zastrzega Milas.

Tyle że to już było. Przed poprzednim censusem udało się w ten sam sposób zmobilizować 390 tysięcy uzależnionych od „Gwiezdnych wojen”. Jak jeden R2D2 w rubrykę „Wyznanie” posłusznie wpisali: „rycerz Jedi”.

Czy heavymetalizm będzie równie popularny? Pod kampanią „Metal Hammera” na Facebooku podpisało się w ciągu kilku dni 10 tysięcy ludzi. Nikt jednak nie wie, jak głosy z Facebooka przekładają się na spis powszechny.

Wiccanki nic nie zdziwi

Nie ma nic złego w tym, że metalowcy chcą mieć własną religię – twierdzi w rozmowie z „Przekrojem” Barbara J. Davis, religioznawca z Uniwersytetu Concordia w Montrealu. – Każdy może mieć swoją, można ją zbudować wokół wszystkiego. Religia nie potrzebuje żadnych bogów.

– A czego potrzebuje? – dociekam.
– Czegoś, co łączy jej wyznawców.
– Czy religia, w której wyznawców łączy muzyka, nie wydaje się pani dziwna?
– Dziwna? Jeśli ktoś jest wiccancinem, żadna religia go nie zdziwi.

Wicca to pogańskie czary, wiemy i wiedźmini. Wydawałoby się, że dziś już nikt nie wierzy w gusła, o których można poczytać w powieściach fantasy. A jednak. Wika to podobno jedna z najprężniej rozwijających się nowych religii. 300 tysięcy wyznawców w samych Stanach Zjednoczonych, a jej szeregi ciągle rosną. Te tysiące to nie tylko postpotterowe nastolatki, ale także wykładowcy (jak Davis) czy pisarki, jak Patti Wigington, która para się czarami od 1987 roku. „Miałam wtedy 19 lat i nie wiedziałam, jak potoczyć się moje życie” – pisze na swojej stronie internetowej. A na e-mail, czy wierzy w to, co robi, odpowiada: „Tu nie chodzi o wiarę, lecz o styl życia. W tym sensie nie ma większej różnicy między uprawianiem czarów a graniem muzyki”.

Milasowi i jego kolegom trzeba jednak oddać sprawiedliwość. Ich pomysł – oryginalny czy nie – jest tylko żartem. Jeśli ktoś będzie chciał poważnie potraktować heavy metal jako religię, to jego problem. Kłopot w tym, że wielu (jak Davis) potraktuje. Trzeba mieć szacunek do religii, ale jak go z siebie wykrzesać, jeśli nie można odróżnić religii od jej parodii?

OK, Kościoła Google’a nikt nie bierze na poważnie. Ale co na przykład z doktryną dyskordian? Religia stworzona przez Grega Hilla i Kerry’ego Thornleya to mieszanina mitów greckich i buddyzmu zen. Głosi, że wszystko jest Chaosem z wyjątkiem jednego małego okruchu Ładu wrzuconego w ów Chaos tylko po to, żeby jeszcze bardziej pomieszać nam w głowach. Żart? Nie żart? No dobrze, dyskordianie uważają się za irreligijną dyzorganizację non profet. To nie może być poważne.

A Towarzystwo Etereusza? Założył je londyński taksówkarz George King, po tym jak w 1954 roku skontaktował się z pozaziemską

inteligencją (owym Etereuszem). Inteligencja oświadczyła, że reprezentuje Międzyplanetarny Parlament. Towarzystwo Etereusza naucza, że nie ma złych UFO, są tylko UFO niedostatecznie dobrze lobbowane, a lobbowanie nawala, bo cywilizacjom pozaziemskim jeszcze nie zależy na ziemskiej renomie. Jesteśmy kiepskim targetem.

No nie, to nie może być serio. A jednak... – Mistrz King też w to na początku nie wierzył – przekonuje mnie Noemi Perkin z londyńskiego oddziału Towarzystwa Etereusza. – Jak każdy normalny człowiek miał wątpliwości. Rozwiał mu je dopiero znajomy jogin, który wszedł do jego pokoju przez zamknięte drzwi i zapewnił, że przesłanie Etereusza jest jak najbardziej wiarygodne.

Perkin zaprasza na stronę towarzystwa. Tam każdy znajdzie odpowiedź na nurtujące go pytania. I odpowiednią dokumentację. Na przykład zakaz jawnego lądowania UFO wynika jasno z oświadczenia Kosmicznego Mistrza z planety Mars w Sektorze 6. Perkin nie ma cie-

nia wątpliwości, że w Sektorze 6 ktoś rzeczywiście wydał taką instrukcję. – Mistrz King umiał osiągać permanentny stan kundalini – wyjaśnia. – Nawiązywał dzięki temu łączność z innymi wymiarami. Stąd wiemy, że Mistrz Jezus przybył do nas z Wenus, a Mistrz Kriszna z Saturna.

Dla Perkin George King nie był taksówkarzem. Był joginem. W karmajodze kundalini to taka moc, która pozwala osiągać najwyższe poziomy duchowości. – Wielu było takich, którzy w to nie wierzyli, a teraz są z nami – ekscytuje się Perkin. – Towarzystwo rozwija się prężnie i ma swoje ośrodki w Europie, USA, Afryce i Nowej Zelandii. Stajemy się ważną religią. – Religia? Najwyżej w znaczeniu wspólnoty ludzi, których łączą wspólne przekonania – kwituje dominikanin, ojciec Tomasz Alexiewicz.

Psychowość zamiast duchowości

Ojciec Alexiewicza nie dziwi, że ktoś chce zrobić religię z heavy metalu. – To coraz częściej spotykane praktyki – wyjaśnia. – Dziś w religii nie liczy się sacrum. Duchowość została zastąpiona przez „psychowość”. Są tylko emocje. Moje emocje.

Czasem wiele, może nawet nieskończenie wiele emocji. Kościół Subgeniusza to tyśiące wierzeń zebranych w jedną metawiarę. UFO, taoizm, buddyzm, Hare Kriszna czy islam (z tej religii zapożyczono sposób rozwiązywania małżeństw przez mężczyzn). W Kościele Subgeniusza śpiewa się mantry, w których Om zostało zastąpione Larrym Kędzie-



Towarzystwo Etereusza. Widać tylko towarzystwo, bo Etereusz się ukrywa. **Ale kosmos**



Chłopaki z kapeli **Gorgoroth**. I oni też zmierzają do Absolutu?

rzawym. Na szczęście ruch ten nie aspiruje do miana religii.

Nie mniej zapożyczeń ma Eckankar – założony w 1965 roku przez Paula Twitchella ruch Wspólników w Dziale Bożym. Twitchell podzielił świat na 12 poziomów (od ziemskiego do boskiego), stworzył boga imieniem Sugmada i ustalił, że celem istnienia człowieka jest doświadczenie światła i dźwięku Sugmada. Podobnie jak w Kościele Subgeniusza w Eckankar śpiewa się mantry. Z tą różnicą jednak, że nie ma w nich miejsca na żarty. Eckieści wierzą w 12 światów i nie zawahają się ich użyć.

Dla wszystkich ten sam słoń

Noemi Perkin rozumie mnogość religii. – Najłatwiej ją wytłumaczyć na przykładzie słonia i pięciorga niewidomych dzieci, którym kazano go dotknąć, a potem o tym opowiedzieć. Każde z nich będzie miało inne wrażenia, ale przecież wiemy, że wszystkie opowiadają o tym samym zwierzęciu. Tak samo jest z religią. Wszystkie opowiadają o tym samym Bogu – przekonuje. – Czyli nie ma złych religii? – pytam. – Nie ma. Każda zmierza do Absolutu, a On jest przecież dobry.

Ruch Kreatywności został założony w 1973 roku przez Bena Klassena, Ukraińca, który wyemigrował na Florydę. Klassen miał prostą receptę na Absolut: supremacja białych i eksterminacja czarnuchów (tak się wyrażał). Niestety, była to religia jak najbardziej serio. Klassen

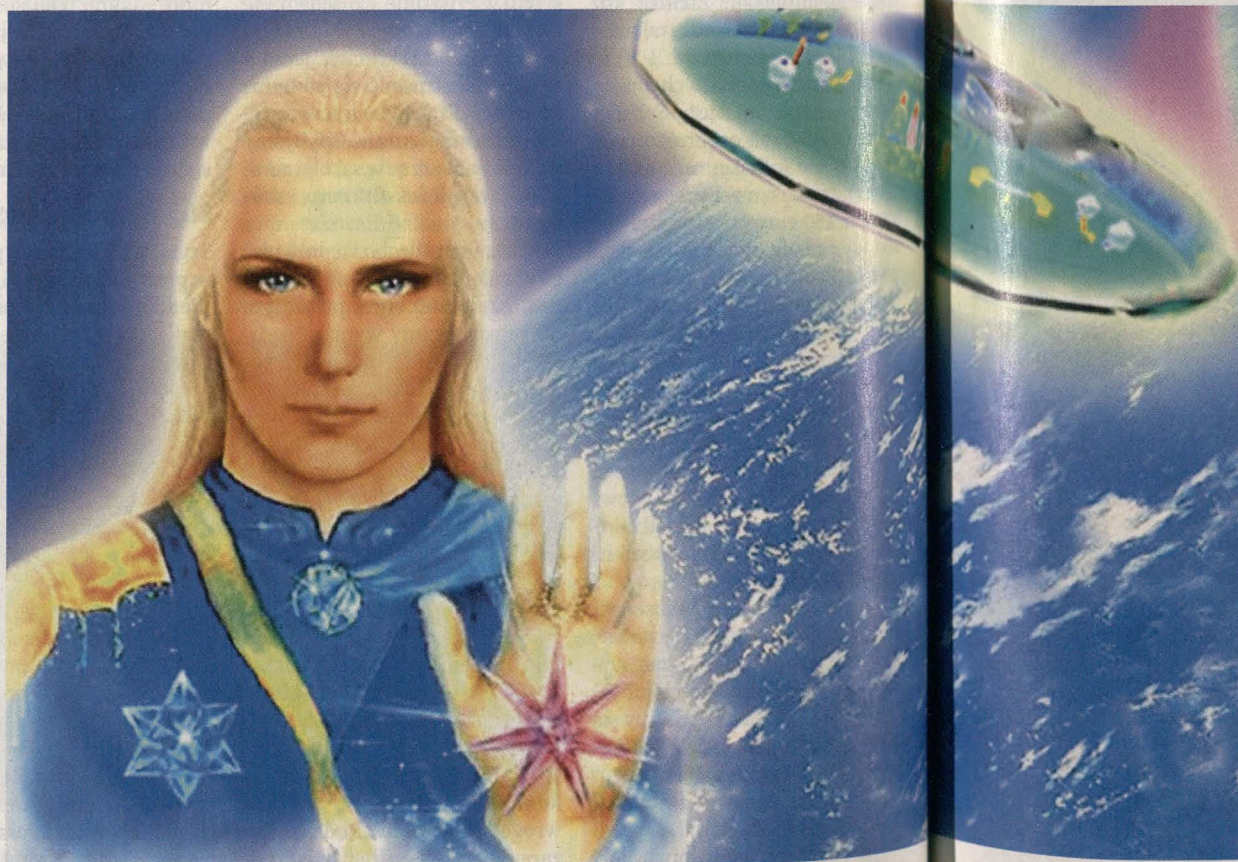
skończył jednak jak przedstawiciel zupełnie innego wyznania: Kościoła Eutanazji (KE). Popełnił wraz z żoną samobójstwo przez przedawkowanie środków nasennych. Założyciel KE Chris Korda byłby z niego dumny – w końcu naczelną dewizą jego organizacji było hasło: „Zbaw planetę, zabij się!”. Propagował wszystko, co ograniczało populację: kanibalizm, samobójstwa, aborcje i sodomie. Jeśli są na świecie Kościoły bardziej wulgarne od tego, to jeszcze się nie ujawniły.

– Jeszcze sto lat temu wszystko było prostsze – wyjaśnia Shira Gabriel, psycholożka z Uniwersytetu Buffalo w stanie Nowy Jork. – To geografia warunkowała religię. Gdyby T.D. Jakes (amerykański ewangelista) urodził się w Arabii Saudyjskiej, zapewne promowałby islam. Gdyby Abu Hamza (radikalny imam jednego z londyńskich meczetów) urodził się w Irlandii, jego fundamentalizm byłby katolicki. A dziś? Jest coraz więcej miejsc na świecie, w których to, w co wierzysz, zależy od tego, na jakiej ulicy mieszkasz i w jakiej firmie pracujesz.

Jednak Shiry Gabriel ta różnorodność wcale nie martwi. – Liczy się efekt, a przecież chodzi o to, by religia pomagała. Jeśli Wika sprawa, że lepiej się czujesz, to czy nie o to właśnie chodzi?

– Nie rozumiem takiego podejścia – mówi ojciec Alexiewicz. – W sprawach wiary nie lubię dzielić włosa na czworo. Gdy się za dużo rozważa, można się pogubić. □

Wygląda jak Legolas ze stygmatem, ale to istota niebiańska – produkt czeskiej mistyki spod znaku Ludzi z Kosmosu



KOMPENDIUM WIEDZY O WIERZE, CZYLI BŁYŚNIJ W TOWARZYSTWIE

● Na świecie istnieje około 20 wielkich ruchów religijnych.
● Największe to: chrześcijaństwo (2 miliardy wiernych i spada), islam (1,2 miliarda i rośnie) oraz hinduizm (prawie miliard i trzyma poziom).

● Religie dzielą się na wyznania (jest ich blisko 10 tysięcy).
● Wyznania dzielą się na odłamy (które mogą podlegać jeszcze głębszemu podziałowi).
● W chrześcijaństwie występują 34 tysiące odłamów, sekt

i samozwańczych Kościołów (tylko w USA jest ich 4684).
● Ci, którzy nie wierzą, też zostali zakwalifikowani jako przedstawiciele ruchu religijnego (jako niewierzący).
● Niewierzący zostali

podzieleni na wyznania (widocznie można nie wierzyć na różne sposoby).
● Niewierzący dzielą się na przykład na przedstawicieli obrządku ateistycznego lub niewierzących obrządku świeckiego.



SYLWETKA

W tym tygodniu walczą:
EWA WANAT O SVOJE RADIO – S. 32,
JARON LANIER Z INTERNETEM
– S. 30, NAJSZTUB Z NIEZROZUMIA-
ŁYM SŁOWNICTWEM TYMAŃSKIEGO
– PONIŻEJ

Najsztub
pyta



Rozmowa odbyła się 5 lutego 2010 roku w Warszawie

EGONALNY

Zanim pokolyszesz się w ramionach ukochanego lub ukochanej w wolnym rytmie najnowszej płyty **Tymona Tymańskiego**, przeczytaj, co buzuje w jej autorze. I jak się twoja miłość skończy

A może pan jest polskim Bruce'em Springsteenem?

– I to pytanie jest charakterystyczne dla podziemnego kraju, w którym wszystko przypisuje się większym zjawiskom z Zachodu! Nie zgadzam się na to...

Mówię „Bruce Springsteen” dlatego, że panu też chyba o coś chodzi.

– Jest pan pewien? No tak, ale Bruce jest trochę bardziej...

Autentyczny?

– *Working class*. Ja jestem pół parweniuszem, pół ziemianinem – mama jest ze wsi spod Augustowa, a ojciec z rodziny ziemiańskiej z okolic Wyżyny Nowogrodzkiej, więc mam korzenie przemieszane. Co się często w Polsce przydaje, bo potrafię przemówić wysokim językiem i znienacka, z knajacka pier... w stół. A czasami muszę, bo wierzę w swoją misję.

Czym jest ta misja? Tak w krótkich, ziemiańskich słowach.

– 20 lat temu objawiła się nam Polska wolna, demokratyczna, ale pokryta straszliwym ugorem... Bo jeśli od prawie 200 lat nie było tu społecznej zgody na inność, odmienność wyznaniową... Wyróżniło arystokratyczne i inteligentne elity, przegnano i zastraszone Żydów... Przez lata zakazywano mówienia prawdy... I teraz ktoś o nazwisku Lepper, Twarożek czy Zagryź idzie do Sejmu i to oznacza spore opóźnienie w eurorozwoju. Po 20 latach pracy w Polsce, jeżdżenia samochodem pomiędzy klubami i pisanie felietonów i recenzji do gazet doszedłem do wniosku, że ksenofobia i homofobia są wynikiem wytresowania à la „homogeniczny”, „katolicki” naród, natomiast marazm, stagnacja i ogólny brak „kumacji” wynikają z braków w edukacji. Jeżeli zastanawiamy się nad tym, czemu w Polsce ludzie są

mało kreatywni, boją się wyskoczyć z czymś nowym i zrynąć ze świata, to odpowiedź jest prosta. Jeżeli uzmysłowimy sobie, że w Niemczech czy Holandii dzieciaki uczą się od piątego roku życia grać na gitarze czy na harmonijce ustnej, jeżeli w Finlandii podręcznik do nauki muzyki w liceum opiewa osiągnięcia Charlesa Ivesa, Coltrane'a, Aylera czy beatlesów, to u nas możemy mówić o braku edukacji muzycznej w ogóle...

Edukacji językowej wymaga pana najnowsza płyta. Dlaczego „Bigos Heart” nie jest po polsku?

– Mam teorię, że życie ludzkie wpisuje się w kontekst rozerwania, swoistego szpagatu pomiędzy ekstremami. W moim przypadku to chęć bycia prostym i skomplikowanym zarazem.

Niech pan opowie po polsku, o czym jest ta ostatnia płyta.

– O związkach, o miłości i jej rozkładzie. Język angielski oferuje trochę łatwiejszy warsztat pisanie tekstu piosenkowego. To kwestia prozodii i rymów męskich.

Co to jest prozodia?

– Prozodia to metryczność języka w wierszu albo piosence. Język angielski lepiej brzmi w piosence. I „Hey Baby, How's Your Shit” nie brzmi tak banalnie jak „Hej, dziewczyno, jak się masz”. Nasz język jest wielosylabowy, skomplikowany prozodycznie, inaczej się wije i układa w wierszu. Dlatego ja się trochę ukryłem za tym angielskim. Ta płyta to też krok do moizacyzacji mojej twórczości.

Nie rozumiem.

– Jak mnie odkopią... Bo czuję, że jak będę miał lat 80, to przyjedzie do nas taka specjalna delegacja z Wendersem na czele i wtedy nas, dziadków – Brylewskiego, Waglewskie-

go, Janerkę, mnie i jeszcze paru innych kolegów – odkopią, odświeżą... Postawią przed kamerą i zrobią o nas dokument à la „Buena Vista Social Club”... O zapomnianym szczepie słowiańskich muzyków rockandrollowych.

To wtedy będę miał gotowy repertuar po angielsku.

– Dokładnie.

A przy okazji śpiewa pan na tej płycie jakieś dwa-trzy wersy ważne i z sensem?

– Oczywiście. Tę płytę spowija duch moich doświadczeń buddyjskich, więc jest sporo o przemijaniu i nietrwałości, tyle że nie wprost. Jedna z lepszych piosenek – „Pete Best Was Good Enough” – traktuje o pierwszym perkusiście zespołu The Beatles.

Czyli?

– „Pete Best był wystarczająco dobry”. Sam pan widzi, co z tym polskim nie tak. Mój starszy syn, 18-letni Lukas, jest wielkim fanem beatlesów. Lukas ma w Düsseldorfie zespół, który nazywa się The Power Outlet. Chłopcy mają talent. Ćwiczą rzeczy z lat 50., 60. aż do współczesności. Presleya, Berry'ego, Robinsona, Charlesa, beatlesów, clashów itd. Młody kiedyś mi się zwierzył, że woli Pete'a Besta niż Ringo Starę, który go zastąpił. A Pete Best został odsunięty od zespołu bez podania jasnej przyczyny... Chłopcy poprosili menagera Epsteina, żeby wywalił Pete'a. Do dziś McCartney jest na bakier z tym tematem, twierdząc, że Best „nie był wystarczająco dobry”. Prawda była taka, że Pete miał swoją bajkę, trzymał się na uboczu, nie chciał grzywkę jak reszta zespołu, był z bogatego domu... Ba, był najprzystojniejszy... Ale czy nie był wystarczająco dobry? Best odchorował rozstanie z beatlesami, wykluczenie go z przygody życia. Przeżył depresję i próbę →

→ samobójczą. Więc byłoby fajnie, gdyby Paul stwierdził jasno: „Po prostu byliśmy ch... i tyle”. Dlatego – jako wieloletni fan beatlesów, w imieniu Lukasa, który zagrał w tym numerze na perkusji, bardzo stylowo zresztą – postanowiłem tę sytuację odkręcić. Jako mediator, w ramach swoistej terapii rekonyliacyjnej. I piosenka mówi o tym, że Pete był wystarczająco dobry i był w ogóle w porządku... I dla nas zawsze pozostanie jednym z beatlesów.

A co z ugiem?

– No właśnie... Powstaje pytanie, czy powinniśmy się cieszyć z tego, że jesteśmy wolni, czy płakać nad tym, że jesteśmy w d...?

Powinniśmy się cieszyć z tego, że jesteśmy wolni, i ewentualnie skonfrontować z faktem, że jesteśmy głupi.

– No właśnie. W miarę bez narzekania. Musimy zakasać rękawy i zabrać się do tego gnojnego polskiego pola.

To czemu pan nie jest nauczycielem muzyki?

– Mam problem ze szkołą. Moi rodzice byli nauczycielami, więc znam niedomaganie tego systemu na wylot. Z drugiej strony Parker, Hendrix, Lennon i Cobain to kompletne nieuki i intuicjoniści. Zatem wybrałem zieloną trawę.

Może pan czyta te biografie, żeby wyczytać usprawiedliwienia dla różnych swoich zachowań?

– Na to by wyglądało. Niewątpliwie jestem oszołomem. Artystycznym rewolucjonistą, który uważa, że rewolucja jest pomyłką, bo przecież nie można ludzi przymusić do wolności, edukacji czy oświecenia za pomocą karabinów. Ale z drugiej strony jako zdecydowany liberal chętnie bym za mordę chwycił.

Kiedy?

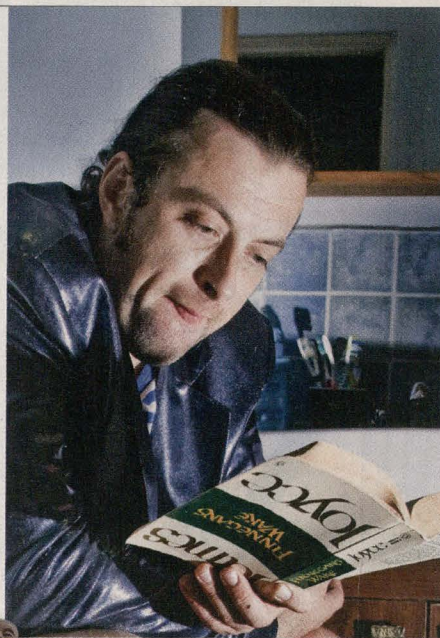
– Kiedy widzę, że liberalizm nie skutkuje.

Kiedy?

– Na stadionach chociażby. Albo kiedy brakuje w naszej polityce ludzi o czystych rękach i małym ego. Bardzo boleję nad tym, że w Polsce mamy do czynienia z kopiami postkomunistycznych, postubeckich monopolii, które przetrwały wszędzie – czy to będzie ZAiKS czy PZPN.

Kaczyńscy mieli czyste ręce.

– Ostatnio moja koleżanka powiedziała, że mam coś z Jarka Kaczyńskiego. Że mam podobnie rozbudowaną teorię spiskową i też potrafię być dowcipny. Tylko że on ponoć ma gorszy PR, cha, cha! Możliwe, że oni są sympatycznymi lewakami, tylko w ferworze dyskusji, na politycznych psychotopach zapomnieli, że chodziło o wypalenie komunizmu i ubecji! Brakuje mi u nas liberałów – radykałów, którzy potrafią postawić na swoim. Robisz burdę na stadionie, bijesz kogoś – 10 tysięcy złotych kary! Recydywa? Idziesz budować autostrady. Ja wiem, że to brzmi strasznie, ale jeśli jakiś pier... naziol bije czarnego albo Wietnam-



Ryszard „Tymon” Tymański,

41 lat, gdańszczanin, wszechstronny muzyk i kompozytor, jeden z animatorów sceny yassowej (i twórcą samego terminu „yass” oznaczającego swoisty bunt przeciwko jazzowemu środowisku w Polsce). Jak sam mówi, „obecnie gra, śpiewa, tańczy, popierduje i stepuje na scenie niczym jakucka pacynka”. Założyciel utworzonej pod koniec lat 80., a niedawno reaktywowanej grupy Miłość, później wokalista i basista Kur, z którymi nagrał między innymi słynną płytę „P.O.L.O.V.I.R.U.S.”. Obecnie jako gitarzysta prowadzi formację Tymański Yass Ensemble oraz Tymon & the Transistors. Tworzy muzykę teatralną i filmową („Sztos”, „Wesele”). W latach 2006–2009 w telewizyjnej Jedyńce prowadził program „Łossskot”. Jest jednym z właścicieli wytwórni Biedro Records, słynny z montypythonowskiego poczucia humoru i słabości do buddyzmu zen.

Ma dwóch synów i twierdzi, że „znowu jest szczęśliwy”.

kę – czasem ludzi mieszkających tu od dziecka i mówiących po polsku lepiej od tego jełopa – może będzie bardziej przydatny społecznie, budując autostrady dla Polski... Może to brzmi strasznie, ale tak myślę.

Strasznie naiwnie w tym sensie, że technologia budowy autostrad wymaga już dzisiaj mało fizycznej siły, więcej umiejętności obsługi skomplikowanych maszyn.

– Coś by się zawsze znalazło... Można na przykład lasy posprzątać. Koleguję się z Donaldem Tuskiem, bardzo mu zawsze kibicowałem, bo to jest dobry chłop... Ale jak mu idzie, to już inna sprawa. Wszyscy mielibyśmy kłopoty, gdybyśmy byli u władzy, jednak wkurzają mnie takie sprawy jak kłótnia à propos koloru krzesełek na stadionie Baltic Arena pomiędzy premierem Tuskiem a prezydentem Gdańska Adamowiczem. Czy krzesełka mają być bursztynowe, czy też białe-zielone?

Jakie chciał Tusk?

– Białe-zielone. A co z poważniejszą kwestią, jak dojechać do tego stadionu? I jak dojechać gdziekolwiek, skoro z planowego tysiąca kilometrów autostrady zbudowano dotąd niecałe dwieście... Pewnie Tusk robi, co może, i... na co mu partia pozwala. W każdej partii jedna trzecia to idealisci, jedna trzecia cwaniacy i konformiści, a jedna trzecia to mafiosi.

A matoly?

– No tak, więc podzielmy ich na cztery części. Więc Donald Tusk nie ma łatwo. Chętnie bym został jego doradcą.

I co by pan mu doradził?

– Przede wszystkim dużo dystansu i jaja. Oglądalibyśmy sporo komedii.

Francuskich czy romantycznych amerykańskich?

– Komedii w klimacie Borata, które powodują, że puszczają ci zwieracze, że przestajesz się ciśnieniować. Uważam, że trzeba mieć sporo dystansu do siebie i do tego, co się robi.

Nie wiem, czy Polacy chcieliby zdystansowanego premiera...

– Wiadomo, że nikt takiej pracy idealnie nie wykona. Wszyscy – nawet wielki Michnik – umazali się lekko tą breją, którą nazywam polskim gównem. Czyścimy i czyścimy tę stajnię Augiasza i końca tego czyszczenia nie widać. A może nie czyścimy, tylko brudzimy? Ja to robię po swojemu, dosadnie, obcesowo i grubiańsko. Ale z drugiej strony wk... mnie to, że byle tłuk, faszysta czy kibol może tu każdego zastraszyć, a my, liberałowie i inteligenci, musimy mówić językiem układnym i zrównoważonym. Stąd ten cały raban.

I o tym będzie pański film „Polskie gówno”?

– Mniej więcej. To film o zespole nieudaczników, który podróżuje po Polsce. Mają proste marzenia, że zajdą na szczyt, będą znani i szanowani. Mają fajne teksty, fajną muzykę, są ambitni, idealistycznie nastawieni do życia, tylko mają pewne wady, które od początku eliminują ich jako przyszłych gwiazdorów. Sporym minusem jest zatrudnienie Czesława Skandala, byłego komornika z Tczewa, w roli ich menago. Skandal grany w filmie przez Grzesia Halamę cały czas robi ich na kasę, ale nie jest zły, tylko uwikłany – jest seksoholikiem i hazardzistą, poza tym nie zna się na alternatywnej muzyce itd., itp. Opisuję złośliwie i z dystansu swoje perypetie na ścieżce polskiego muzykowania... Anegdoty, które przydarzyły się kolegom – Koniowi, Skibie, Janiszewskiemu – i innym, a przy okazji opisuję ten cały bajzel.

Kiedy możemy zobaczyć ten film?

– Do końca wakacji powinniśmy skończyć zdjęcia. W tym wypadku film mógłby się pojawić w kinach koło jesieni. Brakuje nam kilkuset tysięcy, żeby z rozmachem skończyć sekwencje paramusicalowe. Ostatnio zaczęliśmy dogadywać się z Wojtkiem Smarzewskim i Filmitem, więc jest szansa, że to niebawem skończymy, a skutek będzie więcej niż oplaka-

ny. Smarzewski jako script doctor dał mi teraz spore zadanie bojowe – siedzę w domu przed kompem i całymi dniami poprawiam scenariusz. Cieszę się z tego filmu – uczciwym pomysłem wydaje mi się to, że będzie to swego rodzaju alternatywne forum społeczne.

Nie rozumiem.

– Zaprosiłem do filmu wiele osób, które na sposób zarówno poważny, jak i sowizdrzałski wypowiadają się na temat swoich doświadczeń z rodzimym szolbizem. Rzeczeni Końko, Skiba i Janiszewski... Zespoły pokroju Mitch & Mitch, Dick4Dick, Lipali, Kobiety czy Pink Freud... Ale pojawiają się też Wiśniewski i Rodowicz. Natomiast Kombi – w filmie Zombi – ma tę nieszczęśliwą rolę, że ich tro-

REKLAMA

NORTH CARDIO+
Suplement diety dla mężczyzn 35+

TWOJE SERCE W NAJLEPSZEJ FORMIE

- > Wspomaga mięsień sercowy
- > Reguluje poziom cholesterolu

Preparat dostępny w dobrych aptekach

chę w moim musicalu sparodiowałem, ale... Są to sprawy osobiste. Zostałem zmolestowany przez Kombi na mym pierwszym koncercie w 1979 roku, kiedy grali przed Eruption... Odtąd gwałcili mnie regularnie – przez uszy – będąc ulubieńcami radia.

Więc niech gwałt się gwałtem odciska.

– Dokładnie, oko za oko, ząb za ząb. Teraz ja ich trochę pogwałcę i na nich zarobię, a potem postawię im wódkę w SPATiF-ie, jeśli się na mnie do szczytu nie obrażą. Ale, ogólnie rzecz ujmując, mój musical nie będzie krwistym rozrachunkiem... Będzie to raczej film o przyjaźni, lojalności, miłości do muzyki.

Swoje pieniądze pan na ten film wydaje?

– Tak, razem z Grzesiem Jankowskim większość robiliśmy za swoje pieniądze. Bar-

dzo pomogli nam Tomek Kronenberg i Kosma Walicki – ludzie, którzy pracowali przy „Łossskocie”. Pierwszym impulsem do zrobienia filmu była moja prywatna kruczata, ale teraz opadają emocje, zaczynam widzieć, że film się robi śmieszny i poważny, mądry i głęboki... Nie oszczędzam nikogo łącznie ze sobą samym. Opisuję siebie jako kogoś, kto się ciągle miota, ale miewa też swoje nanooświecenia.

Co było pańskim oświeceniem?

– Mnie cały czas oświeca życie. Oświecają mnie moje dzieci, którym zawdzięczam powrót do dzieciństwa – jako ich partner i przyjaciel. Oświecają mnie kobiety, które mnie rzucają... I które ja rzucam. Które mi mówią,

nowagi, chcąc się podzielić nadmiarem i deficytem, bo obydwie cechy mają swoje pozytywne strony. Medytacja pozwala złapać balans. Czuje, że do dzisiaj działa na mnie ten potencjał, który wysiedzialem przez lata 90.

A panu zen daje nadzieję na co?

– Na pogodzenie ze światem. Na zrozumienie, że ja i świat to jedno, że nie jesteśmy czymś odrębnym.

Czy zen nie odbiera panu tego pędu, który musi mieć rockowy frontman?

– Wydaje mi się, że z tego powodu moja praktyka zen jest mocno po lebkach. Nie wchodziłem w nią na sto procent, ponieważ potrzebuje ego na scenie. Moja nauczycielka zen powiedziała mi kiedyś: będziesz mógł używać

ego na scenie, bo scena potrzebuje kogoś, kto błyszczy. Ale schodząc ze sceny, możesz zniknąć. I to właśnie staram się robić. Lepiej lub gorzej. Jeżeli uznamy, że ego istnieje, ale jest jakimś uwarunkowanym układem atomów, które manifestują się w postaciach Piotra czy Tymona, naszych bliskich i dalekich, to możemy tego ego używać – jeśli rozumiemy jego tymczasowość i uwarunkowanie. I to jest uczciwsze niż poszukiwanie szczęścia. Bo kto powiedział, że człowiek ma być szczęśliwy?

Ja nawet nie wiem, co to znaczy.

– Wierzę w sens ludzkiej wędrówki, tyle że sensem nie jest szczęście, sensem jest rozwój i mądrość oraz puszczenie tego, do czego się przywiązałeś – nawet rozwojowi i mądrości.

FUTURYŚCI MARIUSZ HERMA

Prorok wypadu z sieci

Apatia, przeciętniactwo i cyfrowe niewolnictwo – do tego prowadzi nas kolektywizm Internetu – ostrzega **Jaron Lanier**, ojciec chrzestny wirtualnej rzeczywistości

Piraci to twoi przyjaciele – w roku narodzin Napstera ta dewiza brzmiała nawet bardziej prowokacyjnie niż dziś. W 1999 roku pod takim właśnie hasłem Jaron Lanier kierował do muzyków swój prointernetowy manifest. Radził w nim, by zamiast zżymać się na globalną sieć, otworzyli się na jej dobrodziejstwa. Podczas gdy przemysł fonograficzny ogarniała antysieciowa panika, dla każdego technologicznego geeka (czyli fanatyka nowinek technologicznych) entuzjazm Laniera był oczywisty. To wszak ojciec wirtualnej rzeczywistości, prorok Web 2.0, adwokat internetowych piratów. Teraz jego wielbicielę przecierają oczy ze zdumienia, bo w swojej nowej książce Jaron Lanier wyznaje: „Zbłądziłem”.

Od Colemana do Spielberga

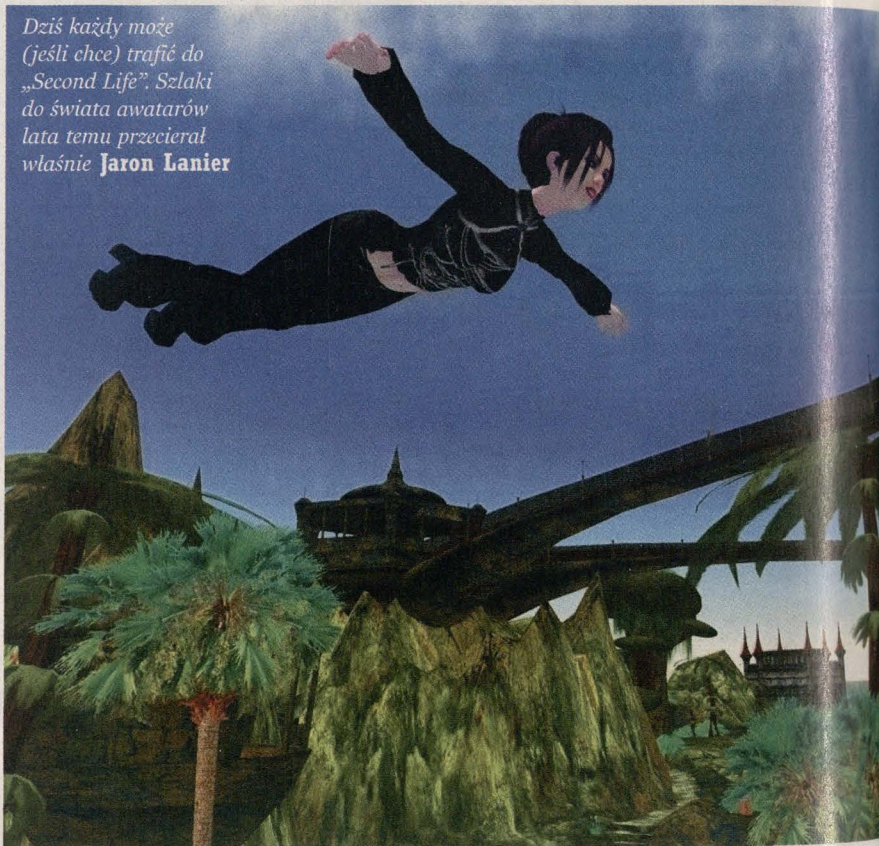
Urodzony 50 lat temu w Nowym Jorku Lanier nie tylko stworzył pojęcie „wirtualna rzeczywistość”, ale też od początku lat 80. sam budował jej potęgę. Założone przez niego VPL Research było pierwszą firmą zarabiającą na wirtualu. W czarnych goglach (nie mylić z Google) i rękawiczkach z kabelkami tworzył pionierskie symulatory 3D i szukał interfejsu, który pogodziłby komputery z medycyną. Pod koniec dekady miał już gotowy zarys świata, w którym naukowcy spotykali się za pośrednictwem swoich cyfrowych wcieleń – awatarów. Niby nic wielkiego, ale zwykłym zjadaczom chleba taką możliwość dała dopiero w 2003 roku gra „Second Life”.

Lanier był pierwszy i wykorzystał to. Do VPL zgłaszali się chirurdzy marzący o operacjach na odległość, producenci filmowi, projektanci samochodów i architektki. Nic dziwnego, że na dorobek firmy położył się informatyczny gigant Sun Microsystems, w 1999 roku odkupując od niej wszystkie patenty związane z wirtualną rzeczywistością i grafiką 3D.

Sam Lanier był już wówczas rozchwytywanym doradcą, więc mógł sobie pozwolić na taki manewr. Zwłaszcza że równolegle realizował się jako artysta – a jakże – wszechstronny. O ile karierę malarzką rozpoczął dość późno, a pierwszych poważnych wystaw doznał dopiero kilka lat temu, o tyle jako kompozytor i wykonawca dał się poznać już w latach 70*.

Z wykształcenia pianista, z wyboru pasjonat instrumentów azjatyckich, koncertował między innymi z Ornette'em Colemanem, Philipem Glassem czy Terrym Rileym – legendami awangardy, do której sam jest zaliczany.

Dziś każdy może (jeśli chce) trafić do „Second Life”. Szlaki do świata awatarów lata temu przecierał właśnie **Jaron Lanier**



W latach 80. próbował swoich sił jako programista wideogier. Napisał dwie – na Commodore 64 oraz Atari 800. W kolejnej dekadzie zainteresował się filmem. Początkowo tworzył ścieżki dźwiękowe, ale w 2001 roku doradzał już – jako futurolog – Stevenowi Spielbergowi na planie filmu „Raport mniejszości”.

Pułapka sieciowego kolektywizmu

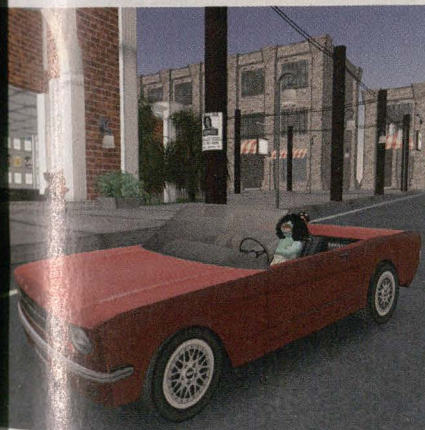
Pasje Laniera w połączeniu z jego osobliwym wizerunkiem – długie na metr dredy, postrzępiona broda, barwne ciuchy i nonszalancki styl bycia – uchroniły go przed zaliczeniem do grona genialnych nudziarzy w rodzaju Billa Gatesa. Nie był też bohaterem mediów jak Steve Jobs, bo niezbyt składny sposób mówienia oraz otyłość nie pomogły mu zaprzężyć się z kamerami. Chętnie za to wdawał się w internetowe dysputy, więc dla sieciowej społeczności zawsze był swojakiem. A autorytet? Wystarczyło, że z biegiem lat potwierdzały się jego teorie dotyczące przyszłości komunikacji: amatorskie strony internetowe przera-

dzały się w potężne serwisy (co przewidywał już na początku lat 90.), zamiast w kampusach naukowcy i studenci gromadzili się na forach, a w 2001 roku powstała Wikipedia, pierwsze wielkie dzieło hołubionego przez Laniera sieciowego kolektywizmu. W 2005 roku magazyn „Foreign Policy” umieścił Laniera w zestawieniu 100 czołowych intelektualistów świata (wybierali czytelnicy), a „Encyklopedia Britannica” – na liście 300 wynalazców wszech czasów. Doczekał się nawet swojej podobizny na znaczkach wyspiarskiego państwa Palau.

„Ewolucja Internetu aż do przełomu wieków była fascynująca. Rzesze użytkowników decydowały się współtworzyć sieć. Oto budziliśmy się z koszmaru XX wieku, w którym bierny człowiek wylegiwał się na kanapie przed ekranem telewizora. Jednak ostatnio Internet zaczął nabierać bardzo nieprzyjemnych cech” – tak Lanier rozpoczynał w 2006 roku eseje „Iluzje kapitalizmu i Internetu”, pierwszy wyraźny sygnał, że na jego przekonaniach zaczęły pojawiać się rysy. „Świetnie opłacani

sieciowi eksperci – pisał dalej – do których sam należałem, zbyt długo mogli bezkrytycznie realizować swoje wizje i obiecywać złote góry. To nie może trwać wiecznie. Wystarczy jeden wypadek, dajmy na to kłopoty Google’a, i całe to mędrkowanie weźmie w łeb”.

To wtedy zaczął pracować nad wydaną właśnie książką „You Are Not a Gadget” („Nie jesteś gadżetem”). Przybrała ona kształt spisu grzechów głównych Internetu i garści ostrze-



To, co obecnie robimy z siecią, przypomina grzebanie w śmieciach w poszukiwaniu wartościowych odpadków

JARON LANIER

zeń na najbliższe lata. Lament 50-letniego naukowca brzmi dość apokaliptycznie – co sam przyznaje we wstępie – tyle że w przeszłości jego czarne wizje znajdowały potwierdzenie w faktach. Na kilka miesięcy przed upadkiem Lehman Brothers, który pociągnął za sobą lawinę bankructw w sektorze bankowym, Lanier publicznie rozważał możliwość wystąpienia takiej katastrofy. Dlatego nawet największym entuzjastom Web 2.0. jego nowy manifest trudno było zbyć ironicznym uśmiechem. – Hołubiony przez internautów kolektywizm w istocie prowadzi nas do przeciętniactwa

i nudnych kompromisów. Kluczowe innowacje zawsze opierały się na pracy jednostek – twierdzi Lanier. W swojej książce atakuje anonimowość, ale nie tylko za to, że prowokuje agresję w sieci. Bardziej boli go oderwanie twórców od efektów ich pracy. Treści raz wpuszczone w sieć krążą bezpańsko w jej krwiobieg, służąc każdemu, kto tylko zechce z nich skorzystać. Ale czy przywłaszczanie i recykling nie są fundamentami kultury? „Ludzie często powołują się tu na hip-hop – pisze. – A mnie się marzy, aby Web 2.0. była bliższa hip-hopowi. Bo wyobraź sobie, że nie wiesz, kto rapuje. Znasz może pseudonim, ale nie masz pojęcia, kto za nim stoi. A osobowość? A historia życia? Czy to jeszcze kultura? W hip-hopie chodzi o ludzi”.

Cyfrowi niewolnicy

Przykłady zbiorowej anonimowej wspaniałości ze wskazaniem na Wikipedię Jaron Lanier oczywiście docenia. Przekonuje jednak, że „otwarta kultura” i hasło „informacja chce być wolna”, które sam niegdyś wypisywał na forach, zaowocowały destrukcyjnym kontraktem społecznym. „Kultura zamarzała, zanim otworzyły się wrota cyfrowego świata. To, co obecnie robimy, przypomina grzebanie w śmieciach w poszukiwaniu wartościowych odpadków” – mówi bez ogródek.

Według niego kreatywne jednostki to nowi cyfrowi niewolnicy. A ich panami są Google czy YouTube. „Gdyby ta patologiczna sytuacja jeszcze jakoś posuwała nas do przodu” – żali się Lanier. Tymczasem wirtualna rzeczywistość staje się skansenem wynalazków sprzed dekad, czego przykładem jest hegemonia systemu Windows. Przesławienie się na coś lepszego wymagałoby wysiłku, którego ludzie nie są w stanie podjąć.

„Z biznesowego punktu widzenia jedyną szansą portali społecznościowych jest wynalezienie magicznej formuły, która permanentnie naruszenie prywatności, a nawet godności człowieka, uczyni akceptowalnym” – pisze Lanier i podaje przykład Facebooka, który coraz dalej ingeruje w prywatność użytkowników przy ich cichej akceptacji. Bo nie mają innego wyboru. – Dla naszych studentów obecność w Facebooku to ewolucyjna konieczność. Bez niego ominą ich wszystkie imprezy, przegapią szansę na seks, nie będą mieć dzieci, a ich geny wyginą – śmieje się Ross Anderson, profesor informatyki na Uniwersytecie Cambridge.

Co do innych obserwacji Laniera, na przykład tego, że Internet zmusza muzyków do rozdawania owoców ich pracy za darmo, Anderson ma więcej wątpliwości:

★ Jego dziełem jest utwór „Canons for Wrocław” napisany na obchody tysiąclecia Wrocławia

– Muzycy zawsze więcej zarabiali na koncertach, dlatego pozwalali wytwórciom trzymać łapę na prawach do nagrań. W zamian otrzymywali szansę na sławę. Wytwórnie nie są nikomu potrzebne, odkąd Arctic Monkeys zdobyli rozgłos dzięki sieci – mówi w rozmowie z „Przekrojem”. – Technologia przesunęła akcenty w łańcuchu dystrybucji. Porównajmy to do rozkwitu tanich linii lotniczych: skorzystali i pasażerowie, i producenci samolotów. Tylko staromodnym molochom strach zajął w oczy. Ani konstruktorzy, ani konsumenci nie mają jednak czym się martwić.

Również Chris Anderson, redaktor naczelnego magazynu technologicznego „Wired”, uważa, że tym razem Lanier przesadził – wszak internetowa „darmowość” opiera się nie tyle na niewolnictwie, ile na wymianie darów. Co otrzymuje twórca, rozdając owoce swojej pracy? – Twoją uwagę oraz własną reputację. To są właściwe waluty wirtualnej gospodarki – wyjaśnia nam Anderson.

Najdosadniej sądy naukowca komentują oczywiście internauci: „Ta książka to płacz spanikowanego gościa, który nagle odkrył, że na awangardzie nie zarobi, a rachunki za opiekę medyczną są coraz większe, i z mety wrzucił wszystkich do worka z napisem »grabieżczy«” – stwierdził jeden z nich. – Biję na alarm, gdyż wymaga tego zwykła odpowiedzialność – tłumaczy Lanier. – Pionierzy technologii mają obowiązek mówić o problemach, które dostrzegają w ledwie widocznych trendach. I dodaje, że jeśli czas udowodni mu brak racji, będzie zbyt szczęśliwy, by przejmować się ludźmi wytykającymi go palcami z miną „a nie mówiłem”. Oby ten jeden raz prorok rzeczywiście się mylił. □

RADIO VOX FM Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 16 lutego o godz. 20.00

A oto nasz bohater we własnej osobie: wizjoner, malarz, pianista, pesymista



PANI REDAKTOR IDZIE NA WOJNĘ

Ekscentryczna i prowokacyjna. Taka jest **Ewa Wanat**, szefowa TOK FM. I takie jest jej radio, którego teraz nie zawaha się bronić nawet przed sądem

ALEŻ TEN KRAJ TO CIEMNOGRÓD! – POWIEDZIAŁBY ktoś, kto miałby wyrobić sobie zdanie o Polsce, słuchając wyłącznie radia TOK FM. – Bo my wciąż jesteśmy ciemnogradem – potwierdza Ewa Wanat, 47-letnia szefowa rozgłośni. Przyznaje, że jej radio nie jest obiektywne. Ale zastrzega też, że stacja nie ma szczególnej misji. – Odbiorcy to nie masa, którą można ulepić – tłumaczy. – Poza tym nasze radio jest adresowane do ludzi w wieku od 30 do 60 lat, a ci światopogląd już dawno sobie wyrobili.

Kwiatki do kozucha

Radio znane jest z liberalnych sympatii i na pewno daleko mu do politycznej prawicy. Hasła dominujące na antenie to obecnie: „Więcej praw dla kobiet”, „Precz z cenzurą” i „Tolerancja dla mniejszości”. Czy w wolnym od ponad 20 lat kraju nie ma innych tematów? – Najwyraźniej nie słucha pan radia przez cały dzień – ripostuje Wanat. – Wcale nie jest tak, że więcej programów poświęcamy mniejszościom lub swobodom obywatelskim niż tematom gospodarczym i politycznym. Ostatnio po kilkanaście godzin transmitowaliśmy zeznania przed komisją hazardową.

Ale to właśnie TOK FM trzy miesiące temu zorganizowało (co w wielu mediach byłoby nie do pomyślenia) akcję zbierania w redakcji podpisów słuchaczy pod projektem ustawy parytetowej. Ewa Wanat wprost przyznaje, że do pracy na antenie przyjmuje osoby, które mają podobne do jej spojrzenie na świat. Pięć lat temu wyrzuciła z radia Rafała Ziemkiewicza, jedynego wtedy prawicowego dziennikarza w TOK FM.

– Rafał był w sporze prawnym z Adamem Michnikiem i wykorzystał antenę do prywatnych celów – wyjaśnia Wanat.

– Zaproponowała mi dalsze prowadzenie audycji, pod warunkiem że więcej o Michniku mówić nie będę. Oczywiście odrzuciłem tę propozycję – wspomina Ziemkiewicz.

– Nie pamiętam – odpowiada szefowa TOK FM. – Ale skoro Rafał tak mówi, to na pewno prawda. Rafał nigdy nie kłamie.



W programie „Kochaj się długo i zdrowo” Ewa Wanat i seksuolog Andrzej Depko **mocno świntuszą**, dlatego wyznania telefonujących słuchaczy są tak szczere

Obecnie jedynym kojarzonym z prawicą publicystą, który prowadzi audycje w TOK FM, jest Igor Janke. – Czasami jadą po bandzie bardziej niż „Gazeta Wyborcza” – ocenia. – Śmieszy mnie, że choć PiS nie rządzi już ponad dwa lata, w TOK FM ciągle wszyscy się nim zajmują i opowiadają, jaki ten Kaczyński jest zły. Ja w swoich dwóch godzinach mam pełną wolność i nikt mi nic nie narzuca. Choć wiem, że jestem tylko kwiatkiem u kozucha.

Czekając na bitwę

– Potrafi naprawdę podrapać – ostrzegali mnie Lech Marczak, jej przyjaciel.

– Ludzie boją się Ewy, jest nieznośna – wtórowała Katarzyna Klebba, skrzypaczka, z którą Wanat często się spotykała, gdy mieszkała w rodzinnym Poznaniu.

Wielu znajomych ocenia – to kobieta ekscentryczna, nieobliczalna, ale odważna. To dlatego o TOK FM lada dzień może być naprawdę głośno. Ewa Wanat rozważa bowiem wytoczenie Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji (a konkretnie Skarbowi Państwa) procesu o nękanie jej

rozgłośni. Powodem jest niedawna zapowiedź Witolda Kołodziejskiego, szefa KRRiT, że radio zostanie ukarane za słowa wypowiedziane przez goszczącego na antenie Andrzeja Czeczota. Rysownik w programie o cenzurze mówił, że lekarstwem na spadek powołań kapłańskich mogłaby być uchwała Kongregacji Nauki Wiary stanowiąca: „Stosunek kapłana z ministrantem nie jest śmiertelnym grzechem pedofilii godnym potępienia, ale pierwszym stopniem święceń kapłańskich”.

Byłoby to już szóste w ciągu ostatnich pięciu lat upomnienie dla Radia TOK FM. Prawnicy podsunęli więc Ewie Wanat paragrafy, które dają szansę na wytoczenie procesu – naruszenie dobrego imienia stacji oraz dwa artykuły konstytucji: prawo do swobodnego prowadzenia działalności gospodarczej i prawo do swobody wypowiedzi. – Czekamy na decyzję przewodniczącego KRRiT – mówi Wanat, jakby już usadowiła się we frontowym okopie.

Witold Kołodziejski nie chciał z nami rozmawiać. Przez sekretarkę przekazał jedynie, że Rada zajmie się sprawą →



Szefowa TOK FM twierdzi, że z wiekiem **przestaje postrzegać świat** wyłącznie w czarno-białych barwach

→ w połowie lutego. Gdyby Wanat udało się wygrać tę wojnę, byłby to kluczowy argument w debacie o likwidacji KRRiT.

Teatr zamiast uniwersytetu

Szefowa TOK FM pochodzi z domu, w którym mówiło się niemal wyłącznie o teatrze. Matka, choć ma już 78 lat, wciąż występuje na dwóch poznańskich scenach. Ojciec był wieloletnim redaktorem naczelnym miesięcznika „Teatr”. Ewa studiowała polonistykę oraz wiedzę o teatrze, ale studiów nie skończyła.

W wieku 21 lat została dzieckiem Teatru Ósmego Dnia. – Tak nazywałem młodzież, która statystowała i pomagała przy plenerowych występach – wyjaśnia Lech Raczak, współtwórca teatru, obecnie dyrektor artystyczny festiwalu Malta.

– Pierwszy ich spektakl zobaczyłam na strajku studenckim w 1981 roku. To było obezwładniające doświadczenie – wspomina Wanat. – Im nie chodziło o to, by dobrze zinterpretować tekst lub dać widzom estetyczne przeżycia, ale o głębokie sprawy dotyczące wolności i docierania do prawdy. Wszystko tam było autentyczne, namacalne.

Działalność Teatru Ósmego Dnia, najważniejszego niezależnego projektu artystycznego późnego PRL-u, porównuje się często do uniwersytetu. – Dzięki tym ludziom brałam udział w spotkaniach na przykład z Elżbietą Morawiec, historykiem teatru. Albo z Jerzym Illgiem, wówczas hipisem, a dziś szefem wydawnictwa Znak, znawcą literatury Hermanna Hessego. Trafiłam też na imprezę towarzyską do Jacka Kuroń. Dla mnie ten uniwersytet był ważniejszy niż dwa prawdziwe, które porzuciłam – wspomina Wanat. – Właśnie w Ósemkach poczułam smak wolności. Zrozumiałam, że może być ona najsilniejszym imperatywem do funkcjonowania w świecie.

„Tu nie może mnie zabraknąć”

W 1985 roku Ewa Wanat pojechała do znajomych do Monachium – w Niemczech chciała zarobić na zwrot pożyczki zaciągniętej na wyjazd do Włoch, gdzie występował Teatr Ósmego Dnia. Poznała Manfreda, członka nielegalnej w RFN

partii komunistycznej. – To było dla mnie egzotyczne doświadczenie – mówi. – Manfred był informatykiem i uprawiał krytykę kapitalizmu, podczas gdy ja tym kapitalizmem byłam zachłyśnięta.

Rozwiedli się po dwóch i pół roku małżeństwa, po czym Manfred doniósł na nią w urzędzie imigracyjnym. Twierdził, że Ewa wyszła za niego tylko dla niemieckich papierów. – Wzięłam adwokata i walczyłam w urzędach. W końcu dostałam wizę studencką – wspomina Wanat.

Do Polski wracać nie chciała. Ale gdy pod koniec 1989 roku w Rumunii wykonano egzekucję na Nicolae Ceaușescu, uświadomiła sobie, że komunizm napraw-

Wrażliwość Ewy Wanat dawała gwarancję, że radio nie będzie bezpłatne

JERZY BACZYŃSKI

dę upadł. – Uwierzyłam, że w Polsce stanie się coś nowego i nie może mnie tu zabraknąć – opowiada Wanat.

Wróciła do Poznania: – Zadzwoniła do mnie Danka Woźnicka, dziś dziennikarka Radia ZET. Powiedziała: „Zakładamy Radio Solidarność, chodź do nas”. Ja jej na to: „Ale ja się nie znam na dziennikarstwie”. „Tu nikt się nie zna” – dostałam odpowiedź.

W Radiu Solidarność nauczyła się dziennikarstwa. Po kilku latach przeniosła się do TVP Poznań. Z ukrytym mikrofonem nagrywała gangsterów, którzy na poznańskim rynku wymuszali od restauratorów haracze. Po jej akcji doszło do pierwszych spotkań i uzgodnień policji z właścicielami knajp, a także do zamachu bombowego na lokalny oddział „Gazety Wyborczej”, we współpracy z którą powstawał materiał o haraczach.

W 1994 roku przygotowywała (z Maciejem Gorzelińskim, wówczas dziennikarzem Radia S) prowokację dziennikarską, która miała dowiedzieć, że policji nie zależy na tropieniu złodziei samochodów, bo funkcjonariusze współpracują z bandytami. – Jeździliśmy mercedesem wyposażeni w mikrofony bezprzewodowe. Zawiadomiliśmy policję o kradzieży auta. Przez półtorej godziny krążyliśmy tym mercedesem po Poznaniu i żaden policjant nas nie zatrzymał. Dopiero gdy jeździliśmy ponad setką po mieście z wyłączonymi światłami, piąty z kolei patrol się nami zainteresował – opowiada Wanat. – Trafiłam do aresztu, z którego wyszłam po interwencji dyrektora TVP Poznań u przebywającego akurat w mieście Leszka Millera, wtedy ministra pracy w rządzie SLD.

Z telewizji odeszła, gdy w 1998 roku w centrali pojawiła się ekipa Roberta Kwiatkowskiego. – Wcześniej miałam mnóstwo zleceń. Teraz okazałam się zupełnie niepotrzebna – twierdzi Wanat. Potem wielokrotnie zmieniała redakcję. – Przez długi czas jej się nie układało – mówi Lech Raczak. – Gdy była w desperacji, zatrudniłem ją przy produkcji dwóch spektakli teatralnych. Nie zdobyła wielkich pieniędzy od sponsorów, nie zorganizowała imponującego cyklu przedstawień. Nie mogę więc powiedzieć, że była najlepszą producentką, jaką poznałem – wspomina Raczak. – Ale braki profesjonalne nadrabialiśmy dobrą znajomością.

Bez jazgotu

W 2003 roku Ewa Wanat stanęła do konkursu na szefa Radia TOK FM. – Nie zgłosili się do nas rewelacyjni menedżerowie z wielkim doświadczeniem, bo stacja miała bardzo niską słuchalność – mówi Bartosz Hojka, szef Grupy Radiowej Agory, który uczestniczył w przesłuchaniach kandydatów. – Ale Ewa ujęła nas determinacją i pomyśłem na rozgłośnie. Jej radio miało być właśnie takie, jakie robi do dziś: poważne, w którym dziennikarze nie tylko



informują, ale przede wszystkim interpretują wydarzenia. Siłą stacji miało być też to, że nie zaprasza do porannych programów dwóch walecznych postaci z przeciwnych frontów politycznych, po czym słucha ich jazgotu. I to się udało – podkreśla Hojka.

Jerzy Baczyński, prezes Spółdzielni Pracy „Polityka”, jednego z właścicieli stacji, mówi, że przy rekrutacji znaczenie miały poglądy Ewy. – Jest osobą o wrażliwości liberalno-lewicowej. Trochę alternatywną. To ma swój wdzięk i dawało gwarancję, że radio nie będzie bezpłatne.

TOK FM przed przyjściem do niego Ewy Wanat nawiązywało formułę do amerykańskich stacji „mówionych”, w których ton audycjom nadają telefonujący słuchacze, a prowadzący podsycają kontrowersje. Gwiazdą stacji był wtedy Waldemar Ogiński wykrzykujący patriotyczne tezy i nazywający siebie Pierwszym Błaznem III RP.

Wanat postawiła na osoby nieznane, za to potrafiące dyskutować. Słuchalność poszła w górę. Pięć lat temu TOK FM miało 130 tysięcy słuchaczy, dziś – już ponad pół miliona.

W 2005 roku Agora SA i Spółdzielnia Pracy „Polityka” – dotąd dwoje z trzech właścicieli stacji – wykupiły udziały brytyjskiej firmy inwestycyjnej, dzieląc się odpowiednio 66 i 34 procentami udziałów.

Przeciw dulszczyźnie

Jaką szefową jest Ewa Wanat? – Gdy czasem na antenie zapadała cisza, wpadała do reżyserki i krzyczała: „Dlaczego nic z tą awarią nie robicie?”, podczas gdy wszyscy zajmowali się właśnie jej usuwaniem – mówi Anna Golas, były opiekun anteny w TOK FM. – Bywało też – dodaje – że dzwoniła z urlopu trzy razy w ciągu godziny, by podzielić się opinią na temat emitowanego programu. Mówiła: „Ale fantastyczna audycja” albo: „Co on za głupoty wygaduje”, albo: „Dla czegoś spóźnił się o minutę serwis?”.

W całej Polsce głośno o Ewie Wanat zrobiło się trzy lata temu. Na łamach „Gazety Wybor-

czej” wyznała, że gdy miała 13 lat, molestował ją seksualnie dziadek – ojciec jej ojczyma. Uderzyła we własną rodzinę. Oskarżyła osobę nieżyjącą od wielu lat. – To nie jest moja rodzina, nie utrzymuję z nią kontaktu – oponuje Wanat. – Do wdowy po nim wysłałam przed publikacją list, a ona go nawet nie otworzyła. Wiem, bo powiedziała mi to jej synowa, która zareagowała histerycznie: „Po co ja to ujawniam, to pranie brudów”. Takie małomiasteczkowe, dulskie argumenty. Po wielu listach od kobiet, które miały podobne doświadczenia, wiem, że moja decyzja była dobra.

Jedna z takich kobiet założyła w Poznaniu grupę wsparcia dla dorosłych ofiar molestowania, inna – psycholog – zaczęła się specjalizować w problematyce seksualnej przemocy. Sama Wanat po aresztowaniu Romana Polańskiego oburzała się, że wiele znanych osób broni oskarżonego w USA o pedofilię reżysera.

– Ewa jest człowiekiem podatnym na różne idee – twierdzi Andrzej Maszowski, jej przyjaciel, pracownik Centrum Kultury „Zamek”. – Ale gdy pochłonę ją jakaś prawda, wchodzi w nią całkowicie i ortodoksyjnie. Na przykład działając w podziemiu, uważała, że osoba należąca do PZPR nie może być jednocześnie przyzwoitym człowiekiem. Dziś myśli inaczej. Potrafi wsłuchiwać się w poglądy innych, ma więcej empatii – ocenia Maszowski.

– To prawda, że się zmieniłam. Ale przecież im człowiek starszy, tym łatwiej zauważa, że świat jest skomplikowany. Staję się mniej radykalna, dojrzejem – wyjaśnia Wanat. Ale znajomi zapewniają, że wciąż jest tak szalona jak w czasach młodości, gdy z grupą znajomych siedziała na tratwie, która odpłynęła na środek jeziora.

Wanat zastępuje drogę policjantom, którzy przyszli po nagranie audycji z Markiem Raczowskim – rysownik w 2006 roku stwierdził, że wetknął 60 malutkich polskich flag w psie kupy

– Była już noc. Ewa rozebrała się do naga, skoczyła do wody i przepchnęła tratwę do brzegu – opowiada Anna Świątkowska.

Możemy pospółkować

„Kochaj się długo i zdrowo” – tę audycję na antenie TOK FM Wanat prowadzi z doktorem Andrzejem Depką. Seksuolog wchodzi do studia na pięć minut przed rozpoczęciem programu. – Możemy pospółkować – rzuca spragniony do Karoliny, wydawcy programu, patrząc pożądlwie na jej szklankę coli. Redaktor Wanat podnosi z biurka indyjski batik. Twierdzi, że narysowany na materiale nagi mężczyzna to voyerysta, bo – co widać – podnieca go patrzeć na dwie kobiety leżące w pozycji 6/9. Doktor Depko zaprzecza. Uważa, że to fetyszysta, bo wtula się w prześcieradło tak, jakby wąchał pościel. Rozmowa pomaga wejść w lekkie nastrój, w jakim prowadzony jest jedyny w polskich mediach program o seksie.

Choć Ewa Wanat raz staje po stronie tych, którzy preferują zachowania uważane za normalne, a innym razem wspiera seksualnych dziwaków (którym wyjaśnia, że wcale dziwakami nie są), to audycja nie przełamuje tabu. Wszystko, o czym mowa, łatwo znaleźć w popularnych książkach lub w Internecie. Różnica jest jedna: „Kochaj się długo i zdrowo” nadawane jest na żywo. Nie brakuje intymnych wyznań telefonujących radiosłuchaczy, są spontaniczne komentarze seksuologa. Autentyczność przesądza o fenomenie tego programu emitowanego od ponad pięciu lat.

Ale sama Wanat nie opowiada na antenie o swym życiu intymnym. Lech Raczak: – Gdy kiedyś jechałem z nią jej autem, wyznała: „Lubię, gdy samochód jest starszy od mojego aktualnego naczelnego”.

Dziś Wanat zapewnia, że zamięłowanie do młodszych mężczyzn już jej przeszło. – Wieloma zajęciami szybko się nudzę – dodaje. Czy znuży ją kierowanie Radiem TOK FM? W połowie 2009 roku założyła w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu bistro z kanapkami – do spółki z Kryśtanem Legierskim, właścicielem zamkniętego przez władze Warszawy w atmosferze skandalu klubu Le Madame.

Bizneswoman. Czy to jej nowe wcielenie? Ewa Wanat zaprzecza. Twierdzi, że w radiu wciąż czuje się dobrze. I co stałoby się z TOK FM, gdyby jej zabrakło? Na pewno wielu prawniczych polityków i publicystów odetchnęłoby z ulgą. □

NAJPOPULARNIEJSI DZIENNIKARZE PROWADZĄCY PROGRAMY PUBLICYSTYCZNE W RADIU TOK FM



Tadeusz Mosz,
autor programu
„Ekonomia, kapitał,
gospodarka”.
Spora dawka
czystego liberalizmu
od samego rana



Kuba Janiszewski
w reakcji na
nietolerancyjne
poglądy gościa,
dyrektora szkoły,
ujawnił na antenie,
że jest gejem



Dominika Wielowieyska
z „Gazety
Wyborczej”
rozmawia w środy
z politykami
i publicystami



Janina Paradowska
z tygodnika
„Polityka”
już o świecie
w poniedziałek
wymaga od gości
pełnego skupienia



Igor Janke,
jeden z prawniczych
publicystów rozgłośnie.
Zapewnia, że
w radiu cieszy się
wolnością i nikt mu
nie narzuca



Grzegorz Chłosta
podobnie jak Wanat
przyjechał
z Poznania.
W TOK FM prowadzi
popołudniowe
rozmowy



Anna Laszuk
odpowiada za
przedpołudniową
publicystykę. Jej
konik to mniejszości
seksualne i prawa
kobiet

TECZKI

Bliżej! Wolniej! Krócej!

Wywołują salwy śmiechu, okupują ostatnie miejsca, ale też przypominają smutną prawdę – jesteśmy daleko od idei mówiącej, że w igrzyskach liczy się sam udział. Przedstawiamy zawodników, którzy przeszli do historii jako prawdziwi amatorzy sportu

Jamajscy bobsleści

Przez lata budzili uśmiech politowania na twarzach innych zawodników, pod koniec kariery zaczęli być groźni dla najlepszych

ICH KARIERA BYŁA GOTOWYM SCENARIUSZEM, z czego skorzystali twórcy „Cool Runnings”. Film przedstawiał Devona Harrisa, Dudleya Stokesa, Michaela White’a oraz Samuela Claytona jako ofiary losu, które zamarzyły o tym, by zdobyć olimpijski medal. Jakże reżyser się pomylił – Jamajczycy w swoich trzecich igrzyskach, w 1994 roku, zajęli 14. miejsce. Słabo? Polacy, Włosi i Amerykanie byli od nich gorsi.

Kwame Nkrumah-Acheampong

Jego pseudonim to „Śnieżny Leopard”. W Vancouver będzie reprezentował Ghanę

URODZONY W SZKOCKIM GLASGOW KWAME JUŻ JEST bohaterem narodowym Ghany, bo żaden z jego rodaków nigdy wcześniej nie wziął udziału w zimowych igrzyskach olimpijskich. W slalomie gigancie sukcesu zapewne nie odniesie, jednak sprawi, że przez chwilę o Ghanie będą mówić wszyscy. Ale czy nie po to właśnie niektóre państwa wydają na sport miliardy dolarów?

Korath Wright

Snowboard na wyspach Bahama? Ależ oczywiście! Dla chcącego nic trudnego

STATYSTYKI NIE SĄ DLA KORATHA ŁASKAWE – ILE STARTÓW, TYLE OSTATNICH miejsc. Ale dla snowboardzisty z Bahamów to nie przeszkoda. W wymagającej akrobatycznych umiejętności konkurencji (half-pipe) w każdych zawodach stara się poprawiać swoje umiejętności. Niestety, nie zrealizuje swojego największego pragnienia (to złoty medal w Vancouver, o czym napisał na stronie internetowej). Wiemy już, że odpadł w eliminacjach. Jednak i tak ewolucji, które potrafi wykonywać, pozazdrościć mu może każdy, kto choć trochę jeździ na desce.

Faisal Faisal

Reprezentuje Irak w skeletonie, mimo że w jego kraju mało kto słyszał o tej dyscyplinie sportu. Marzy o starcie w igrzyskach. Za cztery lata chce pojechać do Soczi

FAISAL O MAŁY WŁOS NIE ZOSTAŁ skoczkim narciarskim. Po kilku pierwszych zajęciach trenerzy powiedzieli mu bez ogródek – dalsze skakanie zakończy się dla niego utratą zdrowia lub życia. Nie odpuścił

jednak, wbrew wszystkim przeciwnościom losu postawił na równie niebezpieczny skeleton (zjazd na ciężkich, lecz szybkich jednoosobowych sankach). Specjaliści twierdzą, że po kilku latach treningów ma szansę powtórzyć sukces jamajskich bobsleistów.

Eddie „The Eagle” Edwards

Dostawał większe owacje od mistrzów. Skakał w podartym kostiumie i niemożliwych okularach. Zawsze bardzo krótko

TO MOGŁO SIĘ WYDARZYĆ TYLKO w czasach, kiedy w olimpijskich konkursach skoków startowali wszyscy, którzy chcieli, bo przed zawodami nie przeprowadzano

eliminacji. Do historii „Orzeł” przeszedł 13 lutego 1988 roku w Calgary. Jako pierwszy brytyjski skoczek wziął udział w igrzyskach. Odległość, jaką uzyskał (73,5 metra), do dziś jest oficjalnym rekordem jego kraju. Przez kilka lat po starcie w Calgary Eddie zarabiał ogromne pieniądze jako celebryta zapraszany dla hecy na imprezy okolicznościowe. Teraz pracuje jako ceniony... tynkarz.

SZCZERY DO BÓLU

JAK UPODOBANIE DO DOMINUJĄCYCH KOBIET I TROSKA O WYCHODKI POTRAFIA UNIEŚMIERTELNIC NAZWISKO



Olga Woźniak

Arsenal świętych niosących nam pocieszenie w trudnych chwilach jest imponujący. Kto jednak zna patronów zupełnie cywilnych? Świeckich eponimów, których dusze (może zbyt grzeszne, by dostąpić prawdziwie dostojnych patronatów) zakłęte zostały w zwyczajne przedmioty czy przyziemne idee?

Zacznijmy od tych najbliższych ciała. Na przykład taki kondom. Legenda dotycząca pochodzenia tego słowa wywodzi je od nazwiska lekarza Condoma, który pracował na dworze brytyjskiego króla Karola II (1630–1685). Władca ten słynął z licznych romansów, ale bał się zarażenia powszechnym w owych czasach syfilisem. Medyk polecił królowi używać jako zabezpieczenia baraniego jelita. Czy Condom podejrzewał wtedy, że tą radą unieśmiertelnia swe nazwisko w masowym produkcie przemysłu gumowego (choć gumowe kondomy powstały dopiero w XIX wieku)?

A inna ludzka słabość – nikotyna? Czy dotknięci zgubnym nałogiem wiedzą, na kogo pomstować, gdy po raz kolejny podejmują próbę rzucenia palenia? O zgrozo – to także lekarz. Nadworny medyk XVI-wiecznego francuskiego dworu Jean Nicot de Villemain odkrył tytoń w Portugalii. Twierdził, że jedna z zawartych w nim substancji – nazwana na cześć swego odkrywcy nikotyną – ma działanie lecznicze. Wkrótce na wzór królewskiego dworu papierosy kopcił cały świat.

Ciekawe, że lekarze zajmują w tym panteonie dość późne miejsce. Ilu z nich zatrzymałoby swoje pomysły dla siebie, wiedząc, że ich nazwiska staną się etykietami? Generał (i lekarz) Felicjan Sławoj Składkowski byłby pewnie jednym z nich. Bo czy przynosi chlubę zostanie ojcem chrzest-

nym – nie bójmy się tego słowa – wychodka? Sławojkami zaczęto nazywać drewniane wygodki od chwili, gdy generał (w latach 1926–1931 minister spraw wewnętrznych) postanowił wprowadzić w życie ambitny plan odzwyczajenia chłopów od chodzenia za stodołę. Wdzięczny lud mu tego nie zapomniał.

Jedno jest pewne: wszyscy ci bohaterowie zostali nimi niejako z przypadku. W owym spisie znajdują się jednak i tacy, którym los epotyma narzucony został w ramach zasłużonej pokuty. Taki oto Leopold von Sacher-Masoch. Czy miał coś wspólnego ze słynnym tortem Sacherem? Nie wiem. Z całą pewnością jednak to do niego powinni kierować swe prośby i zażalenia wszyscy masochiści. Fakt ten zresztą w dużym stopniu zniszczył życie pisarza, który dokonał swych dni w szpitalu psychiatrycznym. Trudno go jednak żałować, biorąc pod uwagę jego biograficzny ekshibicjonizm.

Jedna z powieści autorstwa Masocha – wydana w 1870 roku „Wenus w futrze” – była bowiem tak naprawdę opisem eksperymentu, który literat przeprowadził ze swą kochanką, baronówną Fanny von Pistor. Zawarli oni pakt: pisarz przez pół roku miał być niewolnikiem kobiety. Zaraz po publikacji na dzieło Sacher-Masocha rzucili się psychiatrzy. Co za gratka! Tak smakowity przyczynek do dyskusji o patologii seksualnych! Nie minęło wiele czasu, a w psychiatrycznych annałach – mimo protestów samego zainteresowanego – pojawiło się pojęcie masochizmu.

A teraz czas na morał. Chcesz zyskać sławę? Marzysz, by twoje nazwisko trafiło na okładki tabloidów? Uważaj na cenę. Nieśmiertelność może okazać się naprawdę bolesna. □

CYWILIZACJA

→ W tym tygodniu:

TROPIMY ŚWIADOMOŚĆ I ZASTANAWIAMY SIĘ,
CZY JEDZENIE KREWETEK I SANDACZA ZAMIAST
SCHABOWEGO TO NAPRAWDĘ JEST POST



Śpiące umysły

ŚWIADOMOŚĆ TEKST OLGA WOŹNIAK, ILUSTRACJA MARTA GLIWINSKA

Czy można porozmawiać z mózgiem? Naukowcy właśnie ogłosili, że tak. I to z takim, którym – jak się wydaje – nie kieruje żadna świadoma osoba

NIE BYŁO TO DAWNO, DAWNO TEMU. ANI ZA GÓRAMI, ani za lasami (choć za jednym morzem). Nie brała w tym udziału zła królowa ani zatrute jabłko. Choć efekt był taki sam jak w bajce o śpiącej królewnie – młoda kobieta zasnęła na kilka lat. W świecie, w którym krasnoludki zajmują się komercyjną chałturą w produkcjach Disneya, a rycerzy na białych koniach zastępują lekarze w białych kitlach, taki sen nosi zupełnie nieromantyczną nazwę – stan wegetatywny.

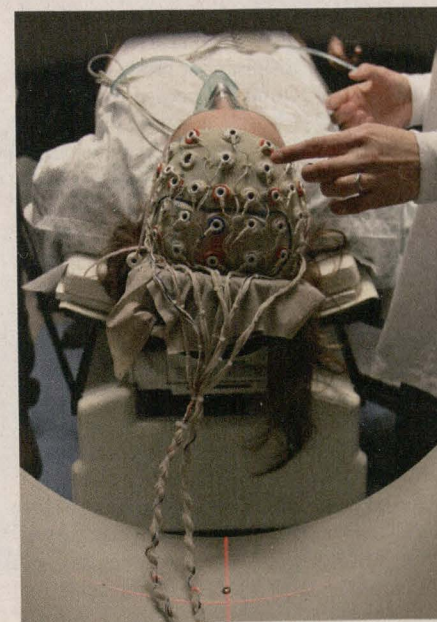
Mądra kora

Jego przyczyna też jest zupełnie niebajkowa – uszkodzenie mózgu. Na skutek urazu lub choroby (zawału, udaru) w płataninie szarych komórek dochodzi do zmian, w wyniku których człowiek traci istotę swego człowieczeństwa: świadomość. Nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje z nim samym ani w jego otoczeniu. Ale jego ciało ma się zupełnie dobrze: może ruszać rękami, nogami, głową. Oczy otwierają się i wodzą przez chwilę za poruszającym się obiektem lub patrzą w stronę, z której dobiega hałas.

Osoba w takim stanie jest wrażliwa na dotyk, czasem nawet potrafi drgnąć, gdy się do niej przemówi. Oddycha samodzielnie i wykonuje rozmaite czynności: płacze, uśmiecha się, chwytta innych za rękę, zgrzyta zębami. Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie obecnej, ale żadne z tych zachowań nie jest celowe. Wszystko to bezwiedne odruchy, które sprawiają jednak, że bliscy takich ludzi nie potrafią uwierzyć w to, iż pod fasadą przytomności w zasadzie nikogo nie ma. Jak to możliwe?

Ano tak, że za wszystkie odruchowe czynności odpowiada położona głęboko w mózgu struktura nazywana pniem. To w nim znajdują się ośrodki odpowiedzialne za utrzymanie funkcji życiowych: ośrodek oddychania, ośrodek regulujący pracę serca, ciśnienie tętnicze, temperaturę organizmu, metabolizm, ośrodki odruchowe wzroku i słuchu. Pień odpowiedzialny jest za zdolność do czuwania i stan przytomności. Zawiaduje także ssaniem, żuciem, połykaniem, wymiotowaniem, kasłaniem, mruganiem powiekami i wydzielaniem potu. Nie rządzi jednak myśleniem.

Tę funkcję pełni leżąca na samym wierzchu mózgu pomarszczona, szara i brzydka kora mózgowa, zwłaszcza zaś jej część nazwana pł-



Nasze myśli to impulsy elektryczne.

Można je zarejestrować specjalistycznym sprzętem

tem czołowym. To tu – jak przypuszczają badacze – jest siedlisko naszej osobowości, systemu wartości, poczucia humoru i wolnej woli.

Kora mózgowa połączona jest z innymi rejonami mózgu licznymi nerwowymi przewodami i trzymającą w ryzach rozumu całość odruchów bezhołowie. Planuje, podejmuje decyzje, przewiduje konsekwencje działań. Wyobraźcie więc sobie teraz, co się dzieje, gdy z jakichś powodów przestaje działać lub traci kontakt z resztą mózgu.

Niewygodni śpiący

To właśnie przydarzyło się naszej śpiącej królewnie. I nie jest to odosobniony przypadek. Z takich jak ona w samej tylko Polsce można by stworzyć całkiem spore śpiące miasteczko – szacuje się bowiem, że w stanie wegetatywnym w naszym kraju znajduje się około 20 tysięcy osób. Ich dziwny status przytomnych nieobecnych jest dla lekarzy irytująco nieokreślony. Bo co zrobić z takimi pacjentami? Fizycznie często nie im nie dolega, mimo to nie można o nich powiedzieć, że są zdrowi. – W polskim systemie

opieki zdrowotnej nie przewidziano dla nich miejsca – mówi „Przekroju” Janina Mironczuk, szefowa toruńskiej fundacji Światło prowadzącej zakład opiekuńczo-leczniczy dla pacjentów wegetatywnych. – W szpitalu nie mogą zostać. Bardziej niż leczenia potrzebują bowiem opieki. A zakłady opiekuńcze często nie są przystosowane do ich potrzeb.

Są więc przewożeni do domów, gdzie zajmują się nimi krewni, często zmuszeni do rezygnacji z innych zajęć, z pracy. Trwają w nadziei, że ich bliscy w końcu się ockną, powrócą z głębi swego mózgu do rzeczywistego świata. Czy jest na to szansa? Jest, ale odwrotnie proporcjonalna do upływu czasu. Możliwość powrotu do zdrowia jest bliska zera, jeżeli po roku w stanie pacjenta nic się nie zmienia.

O tym, co się dzieje w głowach takich ludzi, wiemy naprawdę niewiele. Jak mizerna jest nasza wiedza, pokazują przypadki przebudzeń chorych pozostających w stanie wegetatywnym nawet przez kilkanaście lat. Nagle coś w ich mózgu zaskakuje, coś się przełącza, coś naprawia i świadomość zostaje uwolniona. Nie znaczy to, że wybudzeni żyją tak jak przed wypadkiem. Często są niesamodzielnymi, mają trudności z pamięcią, z mówieniem, ale wracają z martwych.

Na tropie strzępków

Dlatego też naukowcy podejmują rozmaite próby obudzenia świadomości u pacjentów wegetatywnych. Lekarzom z Department of Veterans Affairs w Chicago udało się to na przykład za pomocą przezczaszkowej stymulacji magnetycznej. Chory, którego mózg poddawano działaniu pola elektromagnetycznego, po kilkunastu sesjach zaczął odwracać głowę w kierunku mówiącej osoby i wpatrywać się w nią. Był też w stanie wykonać proste polecenia, na przykład śledzić ruch kciuka czy wypowiadać pojedyncze słowa. Większej poprawy nie uzyskano.

Z innych doświadczeń prowadzonych w Royal Surrey Country Hospital w Guildford w Wielkiej Brytanii wiadomo także, że lek stosowany tradycyjnie w leczeniu bezsenności może na pewien czas wybudzać ludzi z długotrwałego stanu wegetatywnego. Poprawa jest spektakularna, lecz krótkotrwała. Po kilku godzinach prawie pełnej świadomości przebudzeni wracają do poprzedniego stanu, jakby zeszło z nich powietrze. – Być może byli źle zdiagnozowani – wątpi w te rewelacje brytyjski ekspert w dziedzinie rehabilitacji neurologicznej profesor Mike Barnes z Hunters Moor Centre w Newcastle. – Nie znajdowali się wcale w stanie wegetatywnym, tylko na przykład w tak zwanym stanie minimalnej świadomości, z którego łatwiej wyjść.

MÓZG ZDROWEGO CZŁOWIEKA



MÓZG OSOBY W STANIE WEGETATYWNYM



■ – myśl o grze w tenisa

■ – myśl o chodzeniu po domu

→ W takiej sytuacji jaźń człowieka tli się gdzieś u progu rzeczywistego świata i czasem przedziera się na zewnątrz. Kłopot w tym, że bardzo trudno to stwierdzić. Testy, które pomagają określić poziom zaburzeń świadomości, są żmudne, wymagają wielokrotnego powtarzania i zakładają, że przeprowadzający je specjalista będzie niezwykle uważny w tropieniu najmniejszych choćby oznak kontaktu ze strony pacjenta. Dlatego owe strzępki przytomności umysłu u chorych zostają nieraz przegapione.

Najwygodniej byłoby oczywiście zajrzeć do głowy chorego i zobaczyć, czy w jakimś jej zakamarku nie chowa się choć odrobina tego, co stanowiło o jego osobowości. Tylko jak?

Mózg w maszynie

I tu właśnie wkracza na scenę prawdziwy bohater tego artykułu. Jest nim doktor Adrian Owen kierujący brytyjsko-belgijskim zespołem zajmującym się pacjentami w stanie śpiączki i innych zaburzeń świadomości. Rycerzem nie jest, na koniu nie jeździ, śpiące królowy nie zbudził. Zrobił jednak coś, na co nie wpadł do tej pory nikt inny – włożył jej głowę do funkcjonalnego rezonansu magnetycznego (fMRI). Tak, wiem, że to mało romantyczne. Ale za to jakie skuteczne! Dzięki rezonansowi bowiem możemy przeświecać żywy mózg wzdłuż i w poprzek, sprawdzając, jakie jego części aktywują się podczas rozmaitych czynności: w trakcie mówienia, rozumienia, czytania, pisanie, kochania, słuchania, myślenia. Jeżeli zatem w jakiegokolwiek zmarszcze kory mózgowej znajduje się choć strzęp świadomości, maszyna to wykryje.

Pierwszą śpiącą królową Owena stała się więc 23-letnia kobieta, która ulegając wypadkowi samochodowemu, doznała poważnego urazu mózgu. Pięć miesięcy później stwierdzono, że spełnia ona wszelkie kryteria stanu wegetatywnego. Wsadzono jej głowę do maszyny. Jakże było zdumienie badaczy, kiedy odkryli, że gdy mówią do pacjentki, jej mózg reaguje w podobny sposób jak u zdrowych osób. Początkowo uznano, że to nieświadome, automatyczne reakcje. Jednak gdy poproszono kobietę, by wyobraziła sobie, jak gra w tenisa i odpowiedza pokoje swojego domu, jej reakcje również odpowiadały typowym dla zdrowych ludzi. Wydawa-

ło się więc, że słyszy i rozumie to, co się do niej mówi. Historię tę opisano w prestiżowym piśmie „Science”. Owen był pewien – w mózgu niewielkiej części osób w stanie wegetatywnym mogą ciągle istnieć wysepki funkcjonujące w miarę normalnie. Problem w tym, że owa normalność nie ma jak się przebić na zewnątrz. Jak jej pomóc? Trzeba by spróbować porozmawiać bezpośrednio z mózgiem, z tymi jego częściami, które chcą i mogą z nami gadać.

Choć brzmi to jak szaleństwo, okazało się możliwe.

Kilkanaście dni temu w piśmie „New England Journal of Medicine” zespół doktora Owena oznajmił: udało się nawiązać kontakt z mózgiem osoby pozostającej od pięciu lat w stanie wegetatywnym. Jak? Oglądając jej myśli.

Po wykryciu oznak aktywności mózgu chorego lekarze poprosili pacjenta, by używał wyobraźni ruchowej (myśląc o grze w tenisa), gdy chciał odpowiadać „tak”. To wyobrażenie pobudzało aktywność w części mózgu kontrolującej ruchy ramienia. Dla odpowiedzi „nie” posłużono się wyobraźnią przestrzenną – pacjent myślał o poruszaniu się po swoim domu. Chory był w stanie poprawnie odpowiedzieć „tak”

Obraz z rezonansu magnetycznego.

Pacjenci myśleli o grze w tenisa lub przechadze. Ich mózgi reagowały podobnie jak zdrowe.

lub „nie”, zmieniając aktywność swojego mózgu. Naukowcy obserwowali to na ekranie podłączonego do fMRI komputera.

Śmierć nieetyczna

W ten sam sposób w ciągu trzech lat przebadano 23 pacjentów, o których sądzono, że znajdują się w stanie wegetatywnym. Oznaki świadomości wykryto u czterech. To odkrycie rodzi nowe pytania etyczne. Prawo bowiem pozwala – jak w słynnym przypadku Terri Schiavo – na rodzaj eutanazji takich osób: odłączenie ich od aparatury wspomagającej odżywianie. Wbrew pozorom nie jest to okrutne, ponieważ by odczuwać ból czy głód, potrzebujemy świadomości. Bez niej mózg, choć dostaje od organizmu sygnały o pustym żołądku, zatrzymuje je na poziomie nieświadomym, nie przekłada tego na odczucie cierpienia, na myśl.

Jeśli jednak miałyby się okazać, że – jak w badaniach Owena – w głowach chorych uznanych za nieświadomych tlą się isierki zrozumienia, może to oznaczać, że oni mimo wszystko cierpią. A jeśli nawet by nie cierpieli, to pozbawienie ich życia byłoby sprzeczne z prawem.

Co robić w takiej sytuacji? Badanie funkcjonalnym rezonansem magnetycznym jest bardzo drogie i nie stanowi standardowej procedury. Z drugiej strony może ono decydować o życiu lub śmierci. Może też być jedynym okienkiem na świat dla ludzi zatrzęsniętych głęboko w swoich głowach. Jak ich stamtąd wydobyć? Tę naukę wciąż nie wie, mimo że podejmuje się próby – czasem z pozytywnym skutkiem (patrz ramka) – rehabilitacji pacjentów w stanie wegetatywnym. Okazuje się bowiem, że wbrew wszystkiemu ktoś czasem na to czeka. Ktoś uśpiony głęboko we własnym mózgu. □

GDZIE I JAK MOŻNA W POLSCE OBUDZIĆ MÓZG?

REHABILITACJĄ LUDZI W STANIE WEGETATYWNYM zajmowała się w Polsce klinika w Bydgoszczy. Obudzono tam ponad 150 osób. Oddział przestał działać, po tym jak kierujący nim profesor Jan Talar został oskarżony o korupcję. Sąd odstąpił od wymierzenia kary – wszystkie darowane pieniądze profesor przeznaczał bowiem na usprawnienie pracy oddziału. Mimo to został zwolniony. Fundusze na budowę specjalistycznej kliniki Budzik zbiera teraz założona w 2002 roku przez Ewę Błaszczuk-Janczarską fundacja Akogo? Placówka ma służyć dzieciom po ciężkich urazach mózgu. Jedynym ośrodkiem

zajmującym się w Polsce dorosłymi jest zakład opiekuńczy toruńskiej fundacji Światło (www.swiatlo.org). Ma 27 miejsc. Na czym polega rehabilitacja zaburzeń świadomości? Profesor Talar tłumaczył to tak: – Tak jak chory po złamaniu musi ćwiczyć nogę czy rękę, tak samo jest po urazie mózgu. Wymaga on treningu. Rehabilitacja „śpiącego” mózgu polega na bombardowaniu go bodźcami. Trzeba stymulować układ nerwowy na wszelkie możliwe sposoby. Zakładać chorym słuchawki na uszy, by mogli słuchać muzyki. Mówić do nich tak, jakby normalnie odbierali to, co się wokół nich dzieje. Pobu-

dzać oczy pacjentów światłem, spryskiwać im ubrania i skórę ulubionymi perfumami, by pozytywnie stymulować węch. Żeby zaś po miesiącach karmienia przez sondę pobudzić u nich zmysł smaku i odruch przełykania, trzeba dawać im do jedzenia to, co lubili przed chorobą. Chory powinien być dotykany, masowany, głaskany. Powinien być w ruchu. Pacjenci w klinice profesora Talara spędzali czas na basenie, w wannach do masażu lub na ćwiczeniach w salach rehabilitacyjnych. Po sześciu tygodniach chory wracał do domu, by odpocząć, a potem znów przyjeżdżał na turnus usprawniania. I tak do skutku. □

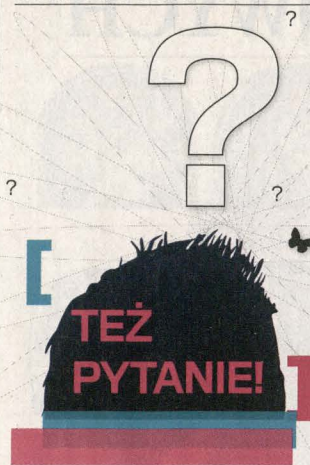
MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH



W najnowszym numerze również:

- Paprocki i Brzozowski – polscy Dolce&Gabbana
- Jude Law – wiarołomny nawrócony
- Królowa Elżbieta II kontra synowe
- Jacek Santorski: Czym kończy się seks w pracy

SIĘGNIJ PO SUKCES



Kto pyta, nie błądzi.
A my dalej szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

URSZULA DĄBROWSKA

1. DLACZEGO MLEKO KIPY?

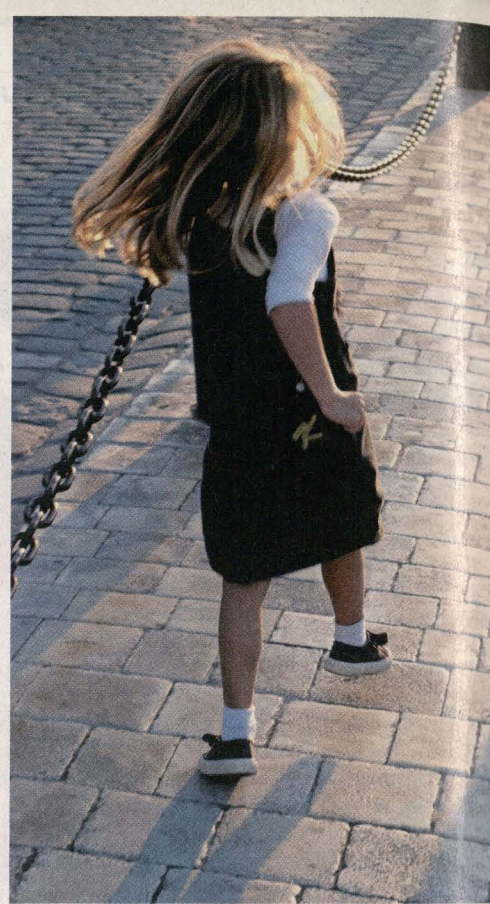
Mleko składa się z cukru, wody, soli mineralnych, witamin, tłuszczu i białek. Tłuszcz w chłodnym mleku nie oddziela się od reszty płynu, lecz tworzy emulsję. Jego małe kropelki pływają w całej objętości otoczone przez cząsteczki kazeiny (głównego białka w nabiale). Gdy temperatura mleka rośnie, kazeina zmienia swój kształt i uwalnia tłuszcz, który zbiera się na powierzchni. Natomiast pozostała pod nim woda, gdy osiągnie sto stopni Celsjusza, przechodzi w stan gazowy i stara się wyparować. Pojedyncze bąbelki szukają drogi ucieczki z mleka, ale na ich drodze staje bariera z tłuszczu i białek. Jedynie niektórym udaje się uwolnić przy ściankach garnka. Większość gromadzi się pod tłuszczowym kożuchem. Gdy całe mleko zaczyna wrzeć, ciśnienie zgromadzonej pary jest tak duże, że w końcu przerywa barierę i w mgnieniu oka powstaje gęsta piana. Chwila naszej nieuwagi kończy się szorowaniem kuchenki.



2. DLACZEGO NIEKTÓRE DZIECI STARAJĄ SIĘ CHODZIĆ PO CHODNIKU TAK, BY NADEPTYWAĆ TYLKO NA CAŁE PŁYTY?

Ludzki umysł w toku ewolucji wykształcił system składający nas do powtarzania czynności, które chronią przed chorobami i narażaniem się na śmierć. A także przed społecznym wykluczeniem, co w pradawnych czasach znacznie obniżało szanse na przeżycie. To wygodna droga na skróty, bo zamiast za każdym razem przetwarzać szereg informacji, by wybrać optymalny sposób zachowania, lepiej skorzystać z jakiegoś funkcjonującego już w społeczeństwie schematu. Nie musimy wiedzieć, że dotykanie fekalii grozi zdrowiu. Wystarczy, że poddamy się rytuałom, które

minimalizują kontakt z zagrożeniem. Kulturowe rytuały są zatem skutkiem ubocznym biologicznego mechanizmu mającego zapewnić nam przetrwanie. Odpowiedzialne za to struktury w mózgu zaczynają działać w momencie, gdy stajemy się bardziej niezależni od opiekunów, rodziców. Gdy sami zaczynamy stanowić o naszym zachowaniu i musimy umieć przewidywać jego skutki. I gdy zaczynamy życie społeczne. Dzieje się to w wieku około dwóch lat i wszystkie pojawiające się w owym czasie dziecięce rytuały – w tym specyficzne chodzenie po chodniku – to jak kalibracja systemu, by w przyszłości mógł on działać w miarę sprawnie. Ale uwaga: nawet niewielka nadaktywność odpowiedzialnych za to struktur mózgu może prowadzić do nerwicy natręctw.



3. CZEMU GORĄCA WODA ZAMARZA SZYBCIEJ NIŻ ZIMNA?

Odpowiada za to efekt Mpemby, nazwany tak od nazwiska tanzańskiego chłopca. Zauważył on, że gorące mleko zamarza szybciej niż chłodne, i opowiedział o tym fizykowi Denisowi Osborne'owi, gdy ten odwiedzał szkołę Erasto. Doświadczenia z mrożeniem wody o różnej temperaturze powtórzyło wielokrotnie wielu naukowców. Do dziś nie ma niepodważalnej teorii, która wytłumaczyłaby ten paradoks.



Wpływać na szybkość zamarzania wody mogą inaczej zachowujące się w różnych temperaturach: gazy, sole mineralne, ruchy konwekcyjne i parowanie. Każde wyjaśnienie jest dobre, żadne wystarczające.

5. JAK SIĘ MIERZY ILOŚĆ KALORII W POŻYWIENIU?

Służą do tego specjalne urządzenia – kalorymetry. Można w nich spalić hamburgera i zmierzyć ilość ciepła, które przy tym powstanie. Z grubsza odpowiada ona energii, jaką nasz organizm uzyskałby po strawieniu posiłku. Metoda ta dobrze działa jednak tylko w przypadku produktów ubogich w błonnik. Zawarta w tym ostatnim celuloza świetnie się pali, ale ludzie nie są w stanie jej trawić. Dlatego spalanie całego pączka w kalorymetrze ma sens, ale już owoców i warzyw nie bardzo. Drugi, dokładniejszy sposób polega na zmiksowaniu dania na jednolitą papkę, z której wydzielą się osobno cukry, tłuszcze i białka, a oddzieli błonnik. Ten proces to frakcjonowanie. Dopiero osobne frakcje spala się w kalorymetrze, a wyniki sumuje i przelicza na sto gramów produktu.



Nasze nagrody – książki
J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowiedzieć”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa; A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak

PRZE KROJ

WYDARZENIA SYLWE

NAJPOPULARNIEJSZE NA PRZEKROJ.PL



1 KOLEŻEŃSKI UKŁAD Z SEKSEM

AGATA JANKOWSKA
Regularny seks, zero zobowiązań i zakaz mieszania w to uczuć. Kto złamie zasady układu *fuck friends*, wypada z gry. I z łóżka

2 77 RZECZY, DLA KTÓRYCH WARTO ŻYĆ W ROKU 2010

Myślicie, że 2010 rok będzie taki sam jak poprzednie lata? To macie trochę racji, bo na pewno – jak poprzednie lata – będzie wyjątkowy. Nie wiemy o nim wszystkiego, ale już to, co wiemy, wystarczy, żeby szczerze go wam polecić

3 OSTATNIA DOBA SAMOBÓJCZY

MILENA RACHID CHEHAB
Zanim skończysz czytać ten tekst, na świecie osiem osób popełni samobójstwo. Co się z nimi działo przez ostatnie 24 godziny?

4 AGENT PRAWIE PROROK

SYLWIA PIECHOWSKA
Kiedyś był zwykłym cherlakiem, potem menedżerem znanej grupy rockowej, później pomógł anulować biednym krajom milionowe długi. Dziś Aaron Cohen tropi tych, którzy wykorzystują niewolników. I pomyśleć, że gdyby nie jeden przypadkowy telefon, byłby zwykłym narkomanem

5 „PARNASSUS” – OPOWIEŚĆ NAPRAWDĘ NIESAMOWITA

OLA SALWA
„Parnassus”: Gdy Terry Gilliam narzeka na współczesny świat, widzowie świetnie się bawią

10 rzeczy, których nie wiesz o poście...

GŁODNE KAWAŁKI URSZULA DĄBROWSKA

Post – trudno określić, kiedy dokładnie zatracił swój pierwotnie religijny charakter. Ale w rozbuchanym świecie konsumpcji to idea najbardziej wywrotowa z możliwych. Dlatego sięgają po niego jako ostateczny argument bojownicy polityczni i ci, którym na sercu leżą prawa człowieka. Protestujące pielęgniarki i strajkujący górnicy. Oto heroizm: umrzeć z głodu w świecie pełnym jedzenia. Post to także wyzwanie rzucone ewolucji, która przez miliony lat premiowała tych, którzy skrzętnie gromadzili w swych spizarniach i ciałach zasoby energii na chudsze lata. Dziś wygrywają raczej ci, którzy gotowi są stawić odpór biologicznemu popędowi do jedzenia bez umiaru.

Kiedy jednak zachodni świat zalewa fala jedzenia (co trzecie amerykańskie dziecko i co czwarty dorosły cierpią na otyłość), są jeszcze – i to całkiem spore – zakątki ziemi, w których poszczenie nie jest wyborem, ale bolesną koniecznością. Posypując głowę popiołem, sprawdź, czego możesz nie wiedzieć o poście i głodzie.



1. Pierwszym chrześcijanom było trochę łatwiej – post przed Wielkanocą trwał zaledwie 40 godzin. Dopiero później wydłużył się do tygodnia. **Post czterdziestodniowy**, który obowiązuje do dzisiaj, ustanowił **sobór nicejski w IV wieku** naszej ery (z drugiej strony na pierwszych chrześcijan spadały prześladowania i pogromy, więc nie ma im czego zazdrościć).



2. Najbardziej rozposzczoną religią jest **prawosławie**. Wiernych obowiązują **dwa siedmiotydniowe posty** przed Wielkanocą i Bożym Narodzeniem (80 dni); post od ósmego dnia po ruchomej Pięćdziesiątnicy do 29 czerwca, czyli Święta Apostołów Piotra i Pawła (w tym roku to 35 dni); dwa tygodnie przed świętem Zasnienia Najświętszej Marii Panny (14 dni); **większość piątków** i śród oraz kilka postów jedno-dniowych (razem około 55 dni). To daje w 2010 roku 184 dni, czyli **połowa roku to umartwianie się**.



3. **Ramadan** to dziewiąty miesiąc w **kalendźmu muzułmańskim** i czas postu ustanowiony na pamiątkę przekazania Mahometowi pierwszych wersów Koranu. W tym czasie **wierzący powstrzymują się całkowicie od posiłku między wschodem a zachodem słońca**. Lecz co ma robić muzułmanin za kołtem podbiegunowym, jeśli ramadan przypadnie w czasie dnia polarnego (który może trwać nawet sześć miesięcy na samym biegunie)?

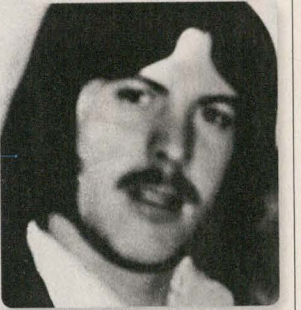


4. W 2009 roku **liczba głodujących na świecie osiągnęła miliard**. To jedna szósta ludzkości. **Najwięcej głodujących zamieszkuje region Azji i Pacyfiku** (642 miliony), Afryki Subsaharyjskiej (265 milionów), Ameryki Łacińskiej (53 miliony), Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej (42 miliony). Każdego roku **z głodu umiera 15 milionów dzieci**. W tym samym czasie ponad półtora miliarda ludzi ma nadwagę. Z tego 400 milionów to osoby otyłe. Większość z nich zamieszkuje kraje rozwinięte. Do kategorii ciężkiej należy 64 procent społeczeństwa Stanów Zjednoczonych i 48 procent Europejczyków.

Czy jedzenie krewetek i sandacza w migdałach zamiast chabowego to post? I co, jeśli głodowanie sprawia ci przyjemność? Kątko wyparłistmy wpisane w poszczenie samoumrtwiania

...CZYLI
O FIZJOLOGICZNYCH,
KULTUROWYCH
I SPOŁECZNYCH
FAKTACH DOTYCZĄCYCH
GŁODOWANIA

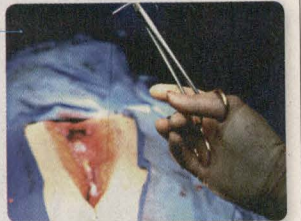
5. Najdłużej bez pożywienia żył jeden z dziesięciu więźniów politycznych w Irlandii Północnej. **Strajk głodowy rozpoczął się 1 marca 1981 roku**. Ostatni strajkujący, **Kieran Doherty, zmarł po 73 dniach protestu**.



6. **Głodujący organizm najpierw zużywa całą glukozę** obecną we krwi, a następnie tę uzyskaną z glikogenu. Jego zapasy w wątrobie starczą na 12 godzin. Gdy zabraknie nawet glikogenu w mięśniach, przychodzi kolej na tłuszcz. Zostaje on rozłożony na ketony. Te zakwaszają organizm i są przyczyną oddechu o zapachu acetonu. Gdy poziom tłuszczu spadnie poniżej dziesięciu procent dla kobiet i siedmiu dla mężczyzn, potrzebna do życia energia zaczyna być czerpana z rozkładu białek. To prowadzi do zaburzenia gospodarki wodnej, wypadania włosów, arytmii i niewydolności nerek. **W ostateczności – nawet do śmierci**. Chorzy i słabi bez jedzenia mogą umrzeć w ciągu dwóch tygodni. Czterdziestodniowa głodówka to opcja dla dobrze odżywionych atletów.



7. **Kilkunastogodzinny restrykcyjny post przed operacją** wprowadzono 60 lat temu. W czasie zabiegu żołądek musi być pusty, bo pacjent mógłby udławić się wymiotami. Natomiast drobne resztki pożywienia, jeśli dostaną się do dróg oddechowych, powodują zapalenie płuc. Amerykańskie Stowarzyszenie Anestezjologów w 1999 roku **złagodziło zalecenia dotyczące postu**. Przyjmowanie klarownych, ale słodkich płynów do trzech godzin przed operacją jest wręcz zalecane. Mniejszy głód to mniejszy stres przed zabiegiem i szybszy powrót do zdrowia. My zalecamy jednak stosowanie się do wskazań lekarza prowadzącego, nawet jeśli wiąże się to z rezygnacją z porannej kawy.



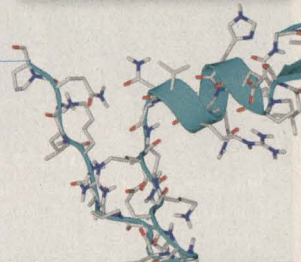
8. Z odmową przyjmowania pożywienia kojarzy się **anoreksja**, ale nie wszyscy wiedzą o jej **religijnej odmianie**. *Anorexia mirabilis* dotykała kobiety w średniowieczu, gdy szczupła sylwetka wręcz zaprzeczała kanonowi piękna. **Odmawianie jedzenia wynikało z głębokiej wiary** i towarzyszyło innym praktykom ascetycznym. Doświadczali jej mistycy, jak **Katarzyna ze Sieny** i **Aniela z Foligno**.



9. Pod koniec XX wieku rozpowszechniła się **moda na odżywianie światłem, kolorem i energią kosmiczną**. Jej propagatorzy przekonywali, że jedzenie jest uzależnieniem, z którego można się wyleczyć. Nigdy nie udowodniono naukowo, że to możliwe. Za to odnotowano kilka **śmiertelnych przypadków** świetlanej diety.



10. Stosunkowo niedawno, bo w 1999 roku, odkryto **hormon głodu – grelinę**. Jest ona wydzielana przez pusty żołądek. W mózgu pobudza receptory odpowiedzialne za uczucie łaknienia i działa na układ nagrody. Dlatego **w czasie jedzenia odczuwamy dużo przyjemności** i jesteśmy lepiej zmotywowani do jego szukania. Dziś jest to potrzebne niewielu ludziom, ale w toku ewolucji pomogło przetrwać naszym praprzodkom.



Słuchaj też „Wiadomości” w **Radio 24/7**



TEATR ŁUKASZ DREWNIAK

PARYŻ WART JESTMSZY



Różnie mówiono o „Tramwaju” Warlikowskiego, ale aktorami i obrazami scenicznymi zachwycali się wszyscy



TENNESSEE WILLIAMS, KRZYSZTOF WARLIKOWSKI, ISABELLE HUPPERT, ANDRZEJ CHYRA. WIELKIE POŻĄDANIE

Jan Kott proponował, żeby tłumaczyć tę sztukę Tennessee Williamsa jako „Tramwaj na Ochotę”. Przecież tramwaje nie mają imion: tramwaj Williamsa ma końcowy przystanek na ulicy Desire, czyli Pożądanie. Blanche DuBois, starzejąca się nimfomanka z dobrego domu, która po utracie pracy i rodzinnego majątku przyjeżdża do Nowego Orleanu do siostry, żeby zacząć nowe życie, śmieje się w pierwszej scenie, że kazano jej wybrać kierunek na Pożądanie, wysiadając na ulicy Cmentarnej, a docelowe miejsce znajduje się na Polach Elizejskich.

Symboliczna droga, którą przebywa Blanche, jest ważna także dla Krzysztofa Warlikowskiego. Ale jego spektakl nazywa się po prostu „Un Tramway. Creation”. Jest ważne nie to, dokąd jedziemy, ale czym.

Tył sceny paryskiego Odeonu zamyka długi, prostokątny, przeszklony moduł poruszający się w poprzek torów zbudowanej na scenie kłęgielni. To przypominająca wagon łazienka, coś jakby ostatnie fałszywe schronienie dla niemożliwej intymności. Przeczucie tunel jest jak kadłub ludzkiego ciała. Kobiety albo mężczyźni, bez różnicy. Metafora Warlikowskiego przekazuje kluczowy komunikat: ruch tramwajem-Pożądaniem ku Śmierci odbywa się w naszych ciałach. Kłęgielne kule rozbijają coś w nas, towarzyszy temu cierpienie i nienasycenie, szarpające i rozrywające.

Klucz seksualnej tożsamości

Czego dziś można szukać w dramaturgii Williamsa? Z pozoru wszystko jasne. To taki amerykański Czechow podlany psychoanalizą, popisowy materiał dla aktorów psychologicznych. Teatr bez niespodzianek. Żeby dokopać się nowych znaczeń, trzeba drążyć w poprzek. Kiedy Frank Castorf robił w 2000 roku „Tramwaj” jako „Endstation Amerika” („Ameryka: przystanek końcowy”), przesunął punkt ciężkości z upadku i szaleństwa Blanche na Stanleya Kowalskiego, brutala i prostaka, męża Stelli DuBois. Chytrym trikiem Castorf zmienił amerykańskiego polonusa w byłego członka solidarnościowej opozycji, obecnie na emigracji w USA, a może w Niemczech, które już tak się zamerykanizowały, że nie można ich odróżnić od chaty wuja Sama.

Spektakl z berlińskiego Volksbühne nie był analizą seksualnych demonów, ale złośliwym portretem niemieckiego społeczeństwa i zagubionych w nim przybyszów tracących swoje ideały pośród powszechnego cynizmu i galopującej idiotycznej konsumpcji.

Warlikowski oczywiście nie chce iść takim tropem. Przypomina, że zawsze robi przedstawienia o sobie. Szuka linii łączącej go z Blanche albo jeszcze mocniej z samym Williamssem. Bada to, co w dramacie zaledwie rzucone półgębkiem: homoseksualizm męża Blanche dokonującego coming outu. I czyta kolejne postaci kluczem

seksualnej tożsamości autora, patrzy, co ten klucz pseudonimuje, co jest pociągającego w Blanche, Stanleyu i pozostałych. Warlikowski myśli o Williamsie jak o innym swoim przewodniku – Bernardzie-Marie Koltèsie, nasycy dramat intertekstualnymi gramami. Są tu cytaty z Flauberta, Platońskiej „Uczt”, z wywiadów Earthy Kitt. Renate Jett grająca czarnoskórą Eunice śpiewa spory fragment „Jerozolimy wyzwolonej”, Isabelle Huppert cytuje swoje role – Damy Kameliowej, Salome. Reżyser sięga po rekwizyty ze swoich dawnych przedstawień – jest głowa Penteusza z „Bachantek”, powracają motywy związane z adoracją latynoamerykańskiej Madonny. Tekst Williamsa zostaje rozsadzony częstkami elementarnymi z innych utworów, poszerza się horyzont cierpienia bohaterów.

Test ryzykanta

Zauważyliście tę tendencję? Oto słynny w rodzimych stronach reżyser staje się jeszcze słynniejszy, bardziej poważany albo tylko mocniej skandalizujący w innym europejskim kraju. Jakby trafiał ze swoją estetyką w jakiś czuły nerw tej lub tamtej nacji. Nie tracąc stempla kulturowego i narodowego, zyskuje europejską etykietkę, a ponadto jest jeszcze specyficznie „niemiecki”, „polski”, „włoski”. Litwin Nekrošius jest absolutnie adorowany we Włoszech głuchych na starzenie się jego estetyki. Frank Castorf poza Niemcami ma status mistrza tylko w Polsce. Jarzyna spodobał się w Austrii, Lupa w Rosji, Koršunovas w Skandynawii. Nie ulega wątpliwości, że Warlikowski znalazł swoje miejsce we Francji.

To tam najczęściej oklaskują jego spektakle i tam wzbudzą one najgłośniejsze kontrowersje. Opery Warlikowskiego dzielą francuską publiczność na oburzonych i odurzonych. Premiera „Snu nocy letniej” skończyła się w Marsylii skandalem artystycznym i obyczajowym (homoseksualne i wielorasowe pary ateńskich kochanków!). Wygląda na to, że Francuzi bez zastrzeżeń przyjmują jego polskie spektakle: „Oczyszczonych”, „Kruma”, „Anioły w Ameryce”, „(A)pollonię”. Francuskie realizacje darzą za to nieufnością. Nie dlatego, że nie wierzą w niego jako w dobrego reżysera, bo przecież wierzą. Oni pytają, na ile on jest już „francuski”. I czy jego styl inscenizacji korzysta z możliwości ich aktorów, mitów, tekstów. Dlatego paryscy recenzenci tak się podzielili opiniami o „Tramwaju”. O Warlikowskim mówili różnie, od entuzjazmu po złośliwości, za to wszyscy bez wyjątku zachwycali się rolą „swojej” Huppert.

Zresztą Warlikowski nie ułatwia im sprawy. Zawsze jakoś wystaje poza szablony. Traktuje swoje zagraniczne spektakle nie jako powtórki, *the best of*, przeróbki oryginałów pod inną publiczność, ale testuje niepokorne warianty, ryzykuje pomysły, które zyskują na sile wyłącznie przez kontekst, w jakim istnieją. Isabelle Huppert, gwiazda francuskiego kina i teatru, taka nowa Sarah Bernhardt, niby ma w jego

• **W polskim przekładzie** Eugeniusza Cękałskiego z lat 50. tytuł brzmi „Tramwaj zwany pożądaniem”

→ przedstawieniu gwiazdorski popis, tak naprawdę jednak wchodzi w jego mrok. Warlikowski robi z niej jeszcze jedną swoją aktorkę; w końcu rolę Blanche mogłyby zagrać z powodzeniem w podobnej estetyce i Magda Cielecka, i Maja Ostaszewska.

Neurotyczka i cukierkowy brutal

Jeśli Warlikowski potrzebuje Huppert – to z jej bagażem ról i doświadczeń od „Pianistki” i bohaterki „Psychosis 4.48”, przez Markizę de Merteuil z „Kwartetu” Müllera, po liczne Medee, matki psychopatki i neurotyczki. Razem stwarzają na scenie studium piekła starzenia się, bezkierunkowej chuci, nieprzynależności ciała. Isabelle Huppert niemal w każdej scenie dokonuje transformacji, porusza w sobie jakiś inny aspekt kobiecości. Mimo swoich 57 lat jest bez wieku. Tworzy ze swojej bladej twarzy maskę kobiecości tak perfekcyjnej, że aż transwestytycznej, niemal o jedną nutę przekombinowanej.

Jej seksualizm jest niszczący, oddycha w nim śmierć i rozpad. Wiotkie ciało może być w tej samej chwili ciałem staruszki i dziewczynki. W uwerturze do przedstawienia jej Blanche siedzi w wagonie-lazience, belkocze, słowa nie mogą wyrwać się jej z gardła. Balet neurastenicznych dłoni drapie powietrze, nogi są bezwładne, nie słuchają ani jej, ani niko-go. Huppert zaczyna swoją wielką rolę jakby nieprzygotowana do występu. W absolutnym rozpadzie i zawieszeniu, potem prowadzona przez pożądanie, szaleństwo i samotność obja się o porysowany ostrymi liniami sceniczny świat.

Andrzej Chyra gra Stanleya Kowalskiego, jakby krzyczał do wewnątrz. Jego cukierkowy brutal ma w sobie dziecięcą nieumiejętność rozpoznania, czy daje kobiecie ból, czy przyjemność. Oddaje pole Huppert, ale konsekwentnie tka na drugim planie własną opowieść: bezsensowne akty buntu, przemocy i drwiny skrywają przeczcucie własnej śmiertelności i niedopasowania.

Chwilami tylko piękny, chwilami naprawdę wstrząsający „Un Tramway. Creation” nie jest na pewno dziełem na miarę „Oczyszczonych” czy „(A)pollonii”. Ale Warlikowski otwiera nim bardzo ważny wątek swoich poszukiwań: nazwijmy go zbieraniem wątków i nici, które już kiedyś pojawiły się w jego pracy. Spektakl jest próbą kreowania jakby pobocznego repertuaru jego teatru, ustawionego jeszcze bliżej aktorów, dopasowującego reżyserskie koncepcje do ich indywidualnych pragnień i poszukiwań. Pożądanie Warlikowskiego jest przecież także pożądaniem pożądania. □

„Un Tramway. Creation” wg Tennessee Williamsa, przekład francuski Wajdi Mouwad, reżyseria i adaptacja Krzysztof Warlikowski, scenografia Małgorzata Szczęśniak, l'Odéon Théâtre de l'Europe/Nowy Teatr z Warszawy

12-14 kwietnia spektakl będzie do obejrzenia w Warszawie w ramach 30. Warszawskich Spotkań Teatralnych



W blasku chwały Isabelle Huppert Andrzej Chyra ogrzewa się nader skutecznie

ROZMOWA

Język francuski, reszta polska

Andrzej Chyra opowiada Łukaszowi Drewniakowi o „Tramwaju” i Marlonie Brando

Prawie 10 lat temu zagrał pan w „Bachantkach” Warlikowskiego postać Dionizosa, orgiastycznego boga, który w pierwszej scenie zmienia się w człowieka. Uczy się mówić, wręcz przemocą wyrwa z siebie słowa. To była pana pierwsza ważna rola teatralna po sukcesie filmu „Dług”. Teraz występuje pan w „Un Tramway” Warlikowskiego w Paryżu. Do roli Stanleya Kowalskiego musiał pan nauczyć się francuskiego od podstaw. Znów, choć inaczej, doświadcza pan obcości języka.

– Wszedłem w ten projekt jak w eksperyment badawczy, z pełną świadomością ryzyka zagrania w języku, w którym na razie nie mówię. Ale pokusa była silna, zwłaszcza możliwość spotkania się w pracy z Isabelle Huppert.

Zacząłem od standardowych lekcji francuskiego – z różną intensywnością, bo nie była to jedyna rzecz, którą się zajmowałem, trwały jeszcze w Polsce próby do „(A)pollonii”. I kiedy dostałem francuski tekst Williamsa, miałem już językowe minimum. Pa-

mięciowemu opanowywaniu roli towarzyszyła nauka form gramatycznych. Teraz może nie jestem jeszcze w stanie swobodnie improwizować po francusku, ale w trudnych chwilach mogę coś od siebie dorzucić.

Gra w obcym języku powoduje, że zanikają aktorskie reakcje odruchowe, naturalne sprężenia ciała – słowo. Czujesz się pan wtedy trochę innym aktorem?

– Nie do końca kontroluję to, jak brzmię. Nie mam wpływu na te wszystkie subtelności, na jakie pozwalam sobie w języku polskim. Wiem, że to, jak mówię, może być dla francuskiego ucha pozbawione pewnej lotności. Ale przecież gram kogoś, kto nie mówi idealnie po francusku. Myślę zresztą, że ta moja niedoskonałość jest jakąś wartością. Szybko zrozumiałem też, że muszę zdać się na intuicję, pozwolić ciału sobą kierować, bo ono w tej sytuacji jest mądrzejsze ode mnie.

Zmieniło się coś w metodzie pracy Warlikowskiego?

– „Un Tramway” powstawał trochę inaczej niż inne spektakle Krzyśka. Szybciej. Próby zostały rozpisane na dwa miesiące, ale realnej pracy wyszło niewiele ponad miesiąc. Dwa tygodnie jeździliśmy z „(A)pollonią”, były święta. Są w tym przedstawieniu sceny, które zostały zrobione w jednym lub dwóch podejściach. Normalnie u Warlikowskiego każda ma pięć albo siedem wersji, zanim zostanie zaakceptowana. Tu nie było czasu, aby wachlować wariantami, zmieniać punkty ciężkości w relacjach między postaciami. Staraliśmy się od razu intuicyjnie docierać do sedna.

W pierwszej scenie „Tramwaju” ma pan na sobie identyczny podkoszulek jak Marlon Brando z filmu Kazana. Żartujecie z legendarnej roli?

– To podkoszulek, w którym zacząłem próby. Trzeba było założyć coś na siebie. Dostałem kilka rzeczy do próbowania, między innymi ten T-shirt. Zresztą błędnie zapamiętałem, że Brando nosił coś w rodzaju koszulki na ramiączkach, więc nawet nie miałem świadomości, że to będzie jakieś odniesienie. Zresztą w ogóle nie odnosiłem się do filmu, bo byłaby to gra do pustej bramki. Ten film pamięta niewielu widzów. Pamięta się zdjęcia młodego Brando jako ikonę. Jak komuś ten przypadkowy podkoszulek otwiera jakąś furtkę interpretacyjną, to dobrze. Jeśli nie, też nie ma sprawy.

Kim jest pański Stanley?

– Jego biografia w sztuce jest dokładnie określona. Wiemy, że ma polskie korzenie, był w amerykańskiej armii. Na wojnie okazał się dzielnym żołnierzem, takim jak ci w filmach. Ale nie określamy, gdzie dzieje się akcja naszego „Tramwaju”. Jesteśmy może w Nowym Orleanie, ale równie dobrze w Paryżu. Stanley jest polskim emigrantem, ale nie wiadomo, skąd się tu wziął. Uciekł przed żoną czy nie powiodło mu się w interesach? Czy wybrał, jak planował mój kolega w latach 80., ażył estetyczny? Długo chcieliśmy go wcisnąć w jakąś konkretną skórę. Pytaliśmy, czym on się zajmuje? Jest kierowcą limuzyny, rzeźnikiem, sprzedawcą Biblii? W końcu skapitulowaliśmy. Na razie to pozostaje i dla nas tajemnicą.

Skąd u Stanleya te gwałtowne odmienne stany – agresja, a innym razem czułość?

– Nierównowaga emocjonalna wynika z braku komfortu. Nie jest u siebie, jest obcy. A poza tym rodzi mu się dziecko, nomada się osiedla. Stanley emigrant jest ciągle w drodze, ale w tym momencie będzie musiał zostać w tym obcym kraju, być ojcem, panem domu.

Gra z Huppert to konieczność podporządkowania się gwiazdzie? Ona dyktuje warunki?

– Zawsze uważałem ją za jedną z najlepszych aktorek europejskich. Na scenie jest bardzo skoncentrowana, nie zawsze odgadniona. Nie ma w niej nic z trywialnego gwiazdorstwa. Myślałem, że patrzyła na mnie z ciekawością, bo jako partner byłem dla niej w jakimś sensie egzotyczny. Ale bardzo szybko się porozumieliśmy. Potrzebowaliśmy tylko kilku prób, aby zacząć naprawdę pracować, być dla siebie partnerami, choć w tej wersji „Tramwaju” Stanley nie jest tak ważną postacią jak w oryginale. To jest historia Blanche. Ale i tak myślę, że było warto. □

FOT. PASCAL VICTOR/ARTCOMART/NOWY TEATR (2), ANDRZEJ MILEWSKI/BE&W, BOGDAN KRZĘTEL

Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

O tym, kim są ci inni, którzy wprowadzają wiedzę do Internetu

PRZYSZŁA PŁYTA, W CHWILĘ po premierze. W notce promocyjnej dwa akapity nagród, wyróżnień, nominacji i referencji. Dziesiątki nazwisk wybitnych wykonawców, a we wkładce jeszcze tekst krytyczno-muzyczny Marcina Kydryńskiego, którego wprowadzić nie przeczytałem, ale wystarczy mi już sama wiedza, że tam jest. Do tego monumentalne wprowadzenie autorki – Ani Szarmach – w dodatku po angielsku. Tłumaczę: „Są dwa sposoby pisania piosenek: ten własny i ten niewłaściwy”. Już chciałem zakrzyknąć, że ten własny może nie być całkiem właściwy, gdy uderzyło mnie coś zupełnie innego: wyściagam słuchawki, wkładam płytę do komputera, a tu... żadnych tytułów!

Cóż, nie ma lepszego dowodu na to, że nikt nie zdążył pociągnąć płyty, niż brak tytułów w bazie Gracenote (dawniej CDDb) albo jakiegokolwiek innej, z której korzysta wasz odtwarzacz multimedialny. Owszem, znam pojedyncze przypadki płyt, których nikt nie wprowadził do bazy. Ale to były dzieła amatorów, dyletantów. Dinozaurów, których słuchają obskuranci, albo dresiarzy, których poważają obdartusy. W każdym razie żadnych wy-

bitnych, z referencjami, w tym gronie nie było. Ba, znam zapobiegliwych artystów, którzy sami w pocie czoła wpisują własne tytuły piosenek, znając straszną prawdę o czasach społeczności internetowych: jeśli nikt cię nie wpisał do bazy, prawdopodobnie nie istniejesz. Kto w takim razie głosuje na filmy na IMDb, kto z mozołem uzupełnia biografie w Wikipedii, kto wreszcie uzupełnia dyskografię na Discogs.com i wpisuje tytuły piosenek do iTunesa? Najwięksi społecznicy. Nikt ich nigdy nie poznał. Przynajmniej nikt z moich znajomych. Zresztą gdy spoglądam na nich, dochodzę do wniosku, że wszystkie te internetowe „niewidzialne ręce” muszą mieszkać gdzieś na odległej wyspie, na której uczą altruizmu zamiast ekonomii i prowadzą zajęcia z przeklikiwania ważnych aspektów realnego świata do Internetu – literka po literce. Tymczasem mnie się nawet nie chce otworzyć skanera, by uzupełnić brak w bazie serwisu Rate Your Music okładką płyty, która obrasta kurzem na biurku. A może robią to najwięksi sportowcy sieci? Tacy,

którzy zanim ją zdążą otworzyć skaner, piszą recenzję w formie eseju, robią własne zdjęcie i wszystko wrzucają na serwer, bo tak bardzo lubią być pierwsi?

Jest jeszcze trzecia możliwość: najwerniejsi fani, którzy stale monitorują (na kilku monitorach naraz) wszystkie ich ulubionego wykonawcy, i jeśli brakuje wykonawcy partii trąbki w remiksie utworu z drugiej strony singla, doznają ostatecznego spełnienia, mogąc ów brak uzupełnić. Dlatego współczuję wszystkim bohaterom kultury popularnej, którzy nie doczekali się takiej miłości, ważności ani popularności.

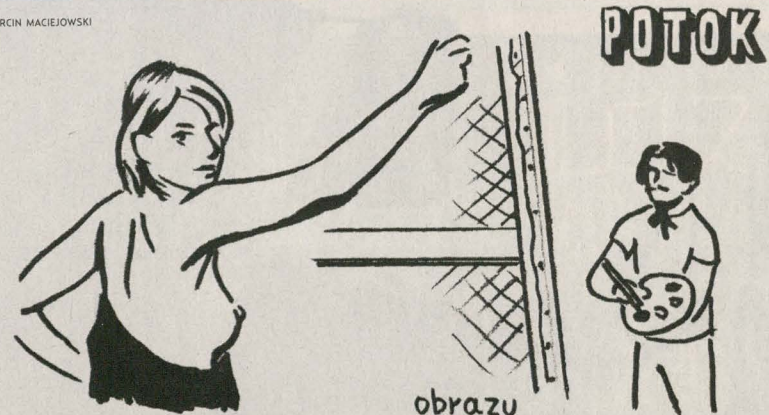
Pozostaje pytanie związane z płytą „Inna” Ani Szarmach.



Klasyczne: kupować czy nie kupować? Zbacając z tematu, dałem wprawdzie mocny sygnał, ale jeśli komuś za mało, odpowiadam: ja jej nie polecę. A ponieważ za-

wsze w takich chwilach jest mi smutno i czuję się trochę zobowiązany wobec czekającego na komplementy artysty, zrobiłem coś dla Ani Szarmach – przemogłem się i wpisałem do bazy Gracenote tytuły z jej płyty. □

RYS. MARCIN MACIEJOWSKI



1830 - POWSTANIE - HISTORADOME - E. Delacroix „Wolność wiodąca lud na barykady”.

+++++ ADA GINAŁ

Ożywcze dźwięki

Z „Requiem” polskiego kompozytora Romana Maciejewskiego od półwiecza bije niepokromiona siła

W setną rocznicę urodzin Romana Maciejewskiego (1910–1998) jego epicki utwór poświęcony ofiarom wojen od zarażania ludzkości przypomina Instytut Adama Mickiewicza w Warszawie. To wznowienie nagrania z 1989 roku w wykonaniu warszawskich filharmoników pod batutą Tadeusza Strugały, z wybitnymi solistami Zdzisławą Donat, Jadwigą Rappe, Jerzym Knetigiem i Januszem Niziołkiem.

Pięknie wydany album opatrzony dwujęzyczną książką o kompozytorze przygotowany na koncert, który odbył się 4 lutego w londyńskiej katedrze westminsterskiej w ramach Polska! Year, czyli naszej kulturalnej inwazji na Wyspy. Oba te wydarzenia są wyjątkowe:

płyta trwale przywraca do życia niezwykle dzieło, a brytyjska premiera z udziałem BBC Symphony Orchestra, Chorus & Singers oraz dyrygenta Michała Dworzyńskiego została uznana przez „The Times” za jedno z najważniejszych wydarzeń muzycznych roku. Ale tak już jest z tą kompozycją – gdziekolwiek zostanie zaprezentowana, budzi silne emocje.

Maciejewski zaczął pisać „Requiem” jako swoje muzyczne wotum po wojnie oraz duchowej przemianie spowodowanej niemal cudownym wyzdrowieniem po ciężkiej chorobie. Kompozytor, który od 1934 roku tworzył za granicą i był ulubieńcem światowej bohemy (przyjaźnił się i współpracował między innymi z Ingmarem Bergmanem, Arturem

Rubinsteinem i Andrésem Segovią), pisząc swe *opus magnum*, odrzucił wiele prestiżowych ofert, w tym na przykład objęcia stanowiska dyrektora muzycznego wytwórni filmowej Metro-Goldwyn-Mayer.

Nad partyturą pracował blisko 15 lat, by – jak mówił – „zbliżyć człowieka do człowieka i człowieka do Boga”. Każde wykonanie „Requiem”, pełnego symfonicznych uniesień i chóralnych medytacji, emanuje siłą tego pragnienia. Po światowej premierze w Los Angeles w 1975 roku wielotysięczna publiczność płakała. □

REQUIEM

Roman Maciejewski
„Requiem. Missa pro defunctis”,
Polskie Nagrania/IAM



Szkocja, 1951 rok.
Roman Maciejewski
pracuje nad
„Requiem”
w posiadłości
hrabiego Jana
Tarnowskiego

Do usłyszenia

WYBRAŁ MARIUSZ HERMA

Elektronika na fali



JEŚLI UWIERZYMY GŁOSOM zachwytu nad tymi premierami, dojdziemy do wniosku, że muszą być genialne. Spokojnie – jak zwykle są lepsze i gorsze. Te pierwsze zostawmy na deser. Warto najpierw wyeliminować Delphic i ich debiut „Acolyte” (1). Typowani przez BBC na jedną z nadziei 2010 roku nie stanowiliby objawienia nawet przed 10 laty.

Na fali popularności rockowo-elektronicznego MGMT ma szansę wypłynąć nowojorskie trio Yeasayer, które próbuje podobnego mariażu, i to z porównywalnie dobrym skutkiem. Album „Odd Blood” (2) promowany przez znakomity singiel „Ambling Alp” (koniecznie poszukajcie w sieci teledysku!) to kopalnia psychodelicznych hitów z nietuzinkowymi refrenami i tekstami. Jednak to samotnik znany jako Four Tet nagrał płytę w tym zestawieniu najbardziej równą. Kieran Hebden potrafi dobrać i kleić sample tak, że muzyka czysto elektroniczna nabiera akustycznego ciepła. A „There is Love in You” (3) to album nie tylko pod tym względem porównywalny ze świetnym „Rounds” z 2003 roku. I chociaż trudno przewidzieć, na ile przekonujący dla słuchaczy okaże się tytuł płyty, tej miłości na pewno na niej nie brakuje. □

Wyślij SMS my oddzwonimy
zapłacisz przy odbiorze

one step* cena 52,99 zł/
/kod: odd121

one step* cena 37,99 zł/
/kod: acolyte121

Kup teraz! Wyślij SMS z kodem
podanym przy recenzji
na nr 70500
koszt SMS-a
z VAT 0,61 zł.

one step

FOX BOX

Fox „Fox Box”,
KayaxFox wraz z gronem
współpracowników

Fox z pudełka

Bohater drugiego planu wychodzi z cienia. Dzięki tej płycie Fox powinien zostać królem parkietów

+++++ BARTEK WINCZEWSKI

To nie przypadek, że Kayah i Maria Peszek właśnie z niego uczyniły filar swoich zespołów. Obie zwykły pracować wyłącznie z najlepszymi, a Michał „Fox” Król to od lat jeden z najbardziej rozchwytywanych muzyków. Jednak ceniony klawiszowiec to nie tylko sprawny sesyjny rzemieślnik. To także zdolny producent ze smyką do przebojowej tanecznej elektroniki. Zaskoczenie? Na pewno nie dla tych, którzy pamiętają współtworzony przez Foksa duet 15 Mi-

nut Projekt. Już na ich jedynej płycie słycać było, że autor „Fox Box”, mimo że nie jest didżejem, wie, co sprawdza się na parkietach – wówczas był to jeszcze drum and bass. Ale tamto przedsięwzięcie było jedynie nieśmiałą obietnicą tego, na co stać Foksa. Dziś już wiemy, że spełnioną, bo przez ostatnich siedem lat dojrzał jako producent, nauczył się umiejętnie prowadzić gości (tu między innymi Novikę, Marię Peszek, Marsiję z Loco Star czy Bunia z Dick4Dick), a spektrum muzycznych zainteresowań poszerzył o house i dubstep.

Czujni słuchacze znajdą tu pierwszą tak zgrabną polską odpowiedź na to, czym żyją dziś zachodnie kluby. □

+++++

Mniej znaczy więcej

Amerykański sen
dwóch głów

W BEACH HOUSE – NIE MYLIĆ i nie kojarzyć z Beach Boys – wszystko jest na opak. Ona (Victoria Legrand) śpiewa, jakby była nim. Ale zamiast porównywać jej głos do legendarnej Nico, lepiej od razu odesłać

do ubiegłorocznego przeboju „Two Weeks” Grizzly Bear, którego była ozdobą. Z kolei on (Alex Scally) gra na gitarze tak, jakby wołał kleić loopy, niż trącać struny. Gdyby zamiast niej to on urodził się we Francji, grałby dzisiaj w M83. Rzeczowy opis ich piosenek nie obyłyby się bez takich słów, jak: „umiar” (tempo), „skromność” (aranżacje) czy „mglistość” (teksty), ale w dziedzinie

Beach House
„Teen Dream”,
Sub Pop

chwytliwości i modelowania nastrojów duet z Baltimore wykazuje się precyzją i skutecznością. Pokolenie zespołów wyznających zasadę „mniej znaczy więcej” rośnie w siłę. Ale, rzecz jasna, nie dają tego po sobie poznać.

Mariusz Herma

Na to idziemy

KONCERT

Bębni za czterech

Tony Allen superstar

Geniuszu niezastąpionego Tony’ego Allena nie usłyszycie w solówkach na wielki zestaw perkusyjny ani metalowych fajerwerkach na dwie stopy. Usłyszycie go w utrzymywanych przez cały utwór rytmie. Nerwowo złamanym, jak gdyby grającym lekko się spóźniając w każdym takcie, choć za każdym razem, szelma, nadająca. Nigeryjski perkusista stworzył wspólnie z Felą Kutim afrobeat, czyli afrykańską odpowiedź na funk. Potem działał na własną rękę, czego dowodem choćby świetny album „Secret Agent” i płyta z serii „Inspiration Information” w duecie z Jimim Tenorem. Allen jest zresztą ubóstwiany przez zachodnich muzyków – Damon Albarn ściągnął go do supergrupy The Good, The Bad & The Queen. Ignorując jego warszawski koncert, tracicie okazję spotkania jednego z największych perkusistów świata, i to perkusisty w niezłej formie, mimo że zbliża się do siedemdziesiątki. Skąd przekonanie, że Allen jest niezastąpiony? Gdy odchodził z zespołu Feli Kutiego, ten – żeby zespół dał radę na koncertach – zatrudnił na miejsce Tony’ego czterech innych perkusistów. – bach

Tony Allen
– 20.02 Warszawa, Palladium

REKLAMA

46. WROCŁAWSKI FESTIWAL JAZZOWY WROCŁAW 28 LUTEGO – 6 MARCA 2010

28 LUTEGO 2010 (Niedziela)

PAT METHENY
SOLO GUITAR & ORCHESTRION

3 MARCA 2010 (Środa)

Otwarty Konkurs na Indywidualność Jazzową
Laureat Grand Prix 2009
Daniel Soltis – Vertigo Quintet and Dorota Barová
Krzysztof Urbański Quartet4 MARCA 2010 (Czwartek)
VINCENT HERRING
THE EARTH JAZZ AGENTS
Vincent Herring, Anthony Wonsey,
Richie Goods, Joris DuddiGrzech Piotrowski
Emotronica
Bugge WesseloftLESZEK MOŹDŻER &
ANNA VASCONCELOSSprzedaż i rezerwacja biletów: Centrum Sztuki Impart,
ul. Mazowiecka 17, Wrocław, tel. 071/341-94-32, 344-69-66
rezerwacje@impart.art.plPunkty sprzedaży i sprzedaż internetowa: www.eveptim.pl
Sklep Muzyczny De'Molika, ul. K. Wielkiego 65, Wrocław,
tel. 071/346-89-26, www.demolika.pl5 MARCA 2010 (Piątek)
THE GOLDEN STRIKER TRIO
RON CARTER
Russell Malone, Jacky Terrasson
DAVID SANBORN
Joey DeFrancesco, Gene LakeDuo RAW MATERIALS
Vijay Iyer &
Rudresh Mahanthappa
Obara Special Quartet
Maciej Obara, Ralph Alessi,
Mark Helias, Nasheet Waits
Adam Wendt Power Set6 MARCA 2010 (Sobota)
Laureat Grand Prix 2010
GALA POLSKIEGO JAZZU
feat. DUDZIAK, KUDYK, MICHALAK
MUNIAK, NAMYSŁOWSKI, ZĄDŁO
BIG FESTIVAL BAND pod kier. Zbigniewa Cwojdy
i Jerzego Szymanika

Organizatorzy



Wszystkie duchy Polańskiego

Może i bohater widmowy, za to film z krwi i kości

+++++ OLA SALWA

W pierwszej scenie do nabrzeża pod pływa prom, samochody zjeżdżają z pokładu, na platformie zostaje tylko srebrne bmw. Wewnątrz nie ma nikogo. Chwilę później ciało kierowcy, ghost writera Michaela McAra, wypływa na brzeg. Jego miejsce musi zająć ktoś nowy, więc intryga zaczyna się (podobnie jak w „Chinatown” czy w „Dziwnych wrotach”) od zlecenia. Błyskotliwe otwarcie dowodzi, że Roman Polański jest w świetnej formie, a dalej jest równie dobrze.

Autor widmo (Ewan McGregor), który przez cały film pozostaje anonimowy, ma napisać autobiografię byłego premiera Wielkiej Brytanii Adama Langa (Pierce Brosnan). Na okładce nie pojawi się jego nazwisko, za to na konto trafi ćwierć miliona dolarów. Robota jest tylko pozornie prosta: nie dość, że poprzednika zamordowano, to do trybunału w Hadze wpływa pozew przeciwko Langowi. Były premier zostaje oskarżony o zbrodnię wojenną. A to tylko forpocztą armii upiórów, z którą musi zmierzyć się widmowy autor.

Jak zwykle u Polańskiego wątek kryminalny jest najniższą z warstw filmu, a kolejne reżyser nakłada subtelnie. Wywołuje na przykład duchy własnej przeszłości (piszemy o nich obszerniej na s. 64–69), czasem



Adam Lang (Pierce Brosnan) znalazł się na celowniku mediów. Brzmi znajomo?

Anonimowy autor widmo (Ewan McGregor) zagłębia się w biografię byłego premiera

w ironicznym odbiciu: dla oskarżonego premiera ażylem okazują się Stany Zjednoczone, skąd reżyser uciekł przed sądem do Francji w 1978 roku. Powraca też znamieny w twórczości i życiu reżysera motyw obcości – widmowy autor wciąż słyszy w Ameryce pytania „Jest pan Brytyjczykiem, prawda?”. Są też nawiązania do jego wcześniejszych filmów, zresztą jednym z tematów „Autora widmo” jest kino jako takie. Widać to choćby w scenografii: ogromne jasne okna w ciemnym domu Langa wyglądają jak ekrany, na których pisarz ogląda bohatera „swojej” książki.

Inną warstwą filmu są dwuznaczność i hipokryzja wojny z terroryzmem, przy czym Polański nie angażuje się w doraźną, polityczną

debatę, nie popiera żadnej ze stron. Podobnie jak w poprzednich filmach pokazuje, że źródła zła biją głęboko pod ziemią, pod warstwami brudu i błota, a ktokolwiek zechce dotrzeć do prawdy, przypiecztowuje swój los. Pisarz duch wie o tym, a jednak podejmuje grę. Czy motywuje go chciwość, chęć ujawnienia faktów, czy fatalna słabość do ładowania się w ryzykowne sytuacje – musimy odpowiedzieć sobie sami. Jego jedyną bronią jest ironiczne poczucie humoru i wyczucie absurdu. Cóż jednak pozostaje w obliczu nieuchronności losu i zła?

„Autor widmo”, reż. Roman Polański, Francja, Niemcy, Wielka Brytania 2010, Forum Film, 128', premiera 19 lutego



Meryl Streep i Alec Baldwin, czyli para stara, ale jara

Lepiej wcale niż grzecznie

Nowy film z Meryl Streep jest naprawdę nieskomplikowany

NANCY MEYERS ZACZERPNĘła tytuł najnowszej komedii ze slangu facebookowego: frazę *it's complicated* wpisują do profilu ci, którzy ani nie są singlami, ani nie pozostają w stałym związku, a chcą podgrzać atmosferę wokół własnego życia erotycznego. W „To skomplikowane” co prawda nikt z Facebooka nie korzysta, ale film dzieli z portalem podstawową cechę: narcyzm.

Meyers, scenarzystka i reżyserka nieszkodliwych drogich bubli w stylu „Lepiej późno niż później” i „Holiday”, znów zbiera świetną obsadę – Meryl Streep, Alec Baldwin, Steve Martin – i serwuje nam dwugodzinny bankiet. Aktorzy zaudyto

nie męczą, bo role cieniutkie; reżyserka głównie odpoczywa, bo i scenariusz napisała rozwekły; a publiczność zastyga w martwym półśmiechu, bo trudno się wściekać na produkt tak luksusowy i senny zarazem. Historia dotyczy romansu

byłych małżonków granych przez Streep i Baldwina: wiek poprodukcyjny zostaje niniejszym wskrzeszony dla ekranowej farsy sypialnianej. Wszystko pięknie, tylko czemu bardziej eksytuje nas wystrój domu Streep niż perypetie jej bohaterki? Dlaczego zaniedbano tempo i dowcip – wyznaczniki cudownego gatunku, jakim jest komedia romantyczna? Seks śmieszny, gdy jest w nim papryczka. Jeśli zastąpić ją (wypiekany mi w żenującej sekwencji przez Streep) croissantami

„To skomplikowane”, reż. Nancy Meyers, USA 2009, UIP, 120', premiera 12 lutego



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

FOT. FORUM FILM, CINETEXT/MEDIUM, KINO ŚWIAT (2), UIP, EVERETT/EAST NEWS

Tylko dla dorosłych!

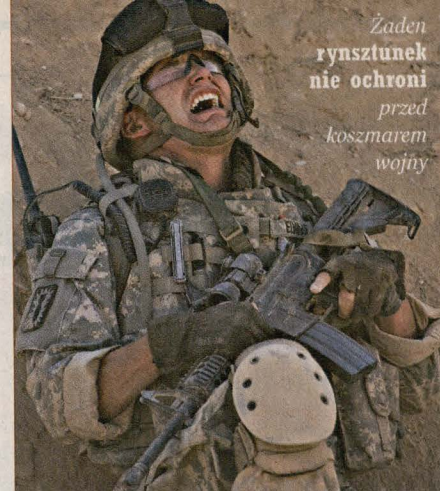
„Uwikłani” to aktorski popis Julianne Moore

TYTUŁOWI „UWIKŁANI” to członkowie zamkniętej i wpływowej rodziny Baekelandów (ich przodek wynalazł to okropne sztuczne tworzywo – bakelit), ale Tom Kalina próbuje wykroczyć daleko poza opowieść o zepsutych bogaczach, przyprowadzając równie nieświeżym morałem, że pieniądze szczęścia nie dają. Jego melodramat – z jednej strony manieryczny, z drugiej zaskakująco świeży, z trudem balansujący między histerią a sennością, ma jeden zdecydowany atut – Julianne Moore w roli Barbary Baekeland.

Tylko ta fascynująca aktorka (czwar-

tą gwiazdkę dedykuje wyłącznie jej) potrafi tak radykalnie zmieniać się na ekranie, nie tracąc przy tym wiarygodności. U Kalina gra dojrzałą kobietę z society z gracją poruszającą się w sztywnym gorsecie towarzyskiej konwencji, a jednocześnie gotową łamać najmocniejsze z tabu. Matkę używającą syna jak zabawki; osobę wrażliwą i odrażającą, kochającą i niszczącą z równą mocą. Od was zależy, czy zrozumiecie ją, czy znienawidzicie. Nie ma rady: każdy, kto obejrzy ten film, będzie uwikłany. – masa

„Uwikłani”, reż. Tom Kalina, Francja/USA 2007, 97', Best Film, premiera 19 lutego



Żaden ryszunek nie ochroni przed koszmarem wojny

Świetny „The Hurt Locker”, tegoroczny oscarowy faworyt w Polsce tylko na DVD

Czy znacie film równie godny wyróżnień, achów i ochów, co „Avatar”? Bo amerykańska akademia filmowa zna – to „The Hurt Locker”. W pułapce wojny”. Filmy Jamesa Camerona i Kathryn Bigelow otrzymały po dziewięć nominacji i to między nimi rozegra się bój o Oscara. Sytuacja tym bardziej podniecająca, że ów duet był swego czasu małżeństwem.

Nie wiem, jak wybierze akademia, ja jednak nie mam wątpliwości: „The Hurt Locker” włączając z wojskowymi buciorami w świat, od którego Cameron ucieka aż na nudną Pandorę, jest o niebo ciekawszy.

Na pozór rzecz też dzieje się w kosmosie: oto mężczyzna w skafandrze wygląda-

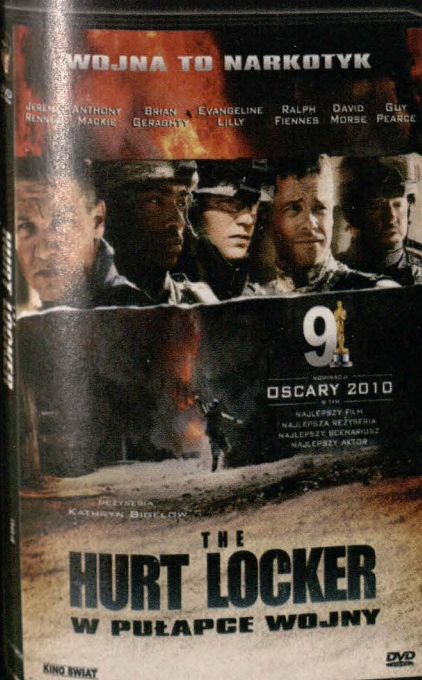
jący, jakby właśnie wyszedł na spacer po Księżycu; wokół niego opustoszałe, pełne pyłu ulice albo tłum „obcych” obserwujących w milczeniu każdy krok. Nie wiadomo: wrogów czy przyjaciół. Mężczyzna to sierżant James (Jeremy Renner kapitalnie wydobyl jego wewnętrzne napięcie), saper rozbrajający bomby w Bagdadzie. Nonszalancki, skłonny do brawury – to człowiek uzależniony od wojny. Podczas gdy jego koledzy koncentrują się na przetrwaniu, on sam, bez względu na koszty, rzuca wyzwanie śmierci. I jest w tym cholernie dobry. Cierpliwie obserwując, filmując w bliższych planach – często kamerą z ręki, Bigelow umiejętnie kreuje napięcie. Ale jej celem jest nie tyle wbijanie nas w fotel, ile szukanie źródeł fascynacji wojną. Bo wbrew pozorom najmocniejsza scena filmu rozgrywa się nie na ulicach Bagdadu, ale w amerykańskim supermarkecie, gdzie bezradny James – astronauta, który wrócił na Ziemię – staje przed regałem wypełnionym pudłami kukurydzianych płatków. Życie w przytłaczającym nadmiarze – to jest dopiero pułapka. □

one step* cena 39,99 zł / kod: pulapcel21

► wyślij SMS ► my oddzwonimy ► zapłacisz przy odbiorze

Kup teraz! Wyślij SMS z kodem podanym przy recenzji na nr 70500 koszt SMS-a z VAT 0,61 zł one step

REKLAMA



★★★★
"Porywający. Inteligentny. Wielki film."
- Roger Ebert, CHICAGO SUN-TIMES

"Ociera się o doskonałość."
- Richard Corliss, TIME

"Zapiera dech w piersiach."
- Mark Olsen, Los Angeles Times

9
NOMINACJI
OSCARY 2010
W TYM
NAJLEPSZY FILM
NAJLEPSZA REŻYSERIA
NAJLEPSZY SCENARIUSZ
NAJLEPSZY AKTOR

DVD JUŻ W SPRZEDAŻY

THE HURT LOCKER
W PUŁAPCE WOJNY



HAGIOGRAFIA TADEUSZ NYCZEK

Podróże z Szymborską

Noblistka filmowana być nie lubi.
Katarzynie Kolendzie-Zaleskiej udało się ją
do tego przekonać. Z dobrym skutkiem

W końcowych napisach filmu jeden zwraca wyjątkową uwagę: „Szczególne podziękowania dla Jarosława Mikołajewskiego, dyrektora Instytutu Polskiego w Rzymie, bo od niego wszystko się zaczęło”.

– Kiedy w 2007 roku Wisława Szymborska przyjechała na zaproszenie instytutu do Rzymu, pomyślałem, że takie spotkania warto są utrwalenia – mówi Mikołajewski. – Zawiadomiłem różne media, ale nikt się nie odezwał. Kiedy rok później Szymborska przyjechała na Sycylię, zrobiłem to samo, ale zgłosiła się tylko Katarzyna Kolenda-Zaleska. Pierwszego wieczoru spotkał się w restauracji, siedzieliśmy przy osobnych stolikach, ekipa telewizyjna przy jednym, my przy drugim... Spytałem panią Wisławę, czy mogłaby się przysiąść. Ależ oczywiście! No i tak się zaczęło. Miało być sfilowane jedno oficjalne spotkanie poetki z publicznością, ale szybko zrobiło się prywatniej i odtąd jeździli z nią tu i tam. Pojechali do Corleone, w następnym roku byli z nią w Bolonii na uniwersytecie, gdzie witał ją Umberto Eco...

Kolacyjki z limerykami

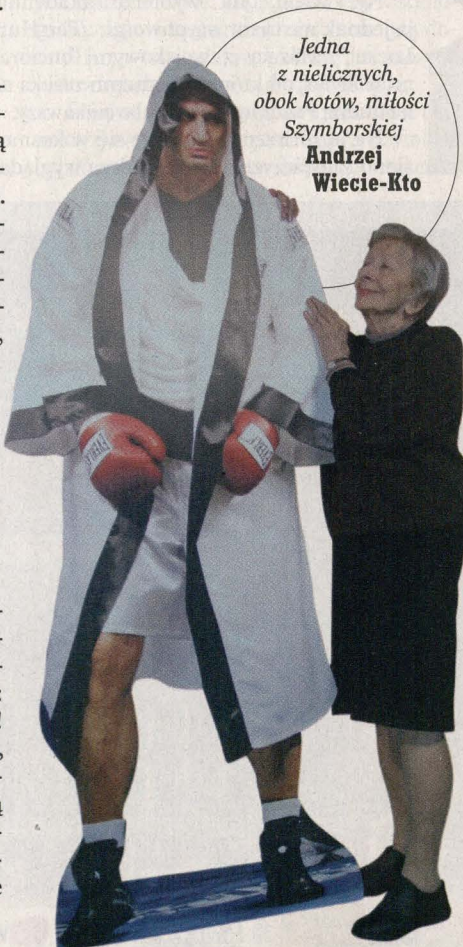
W Irlandii odwiedzili Limerick, miasto, które zapoczątkowało karierę limeryków. Choć dało im tylko nazwę, bo sami limerikowanie nie poczuwają się do patronowania takim głupstwom jak frywolne wierszyki, które sobie upodobała Szymborska. Byli w Holandii, Amsterdamie i Delfcie, skąd pochodził Jan Vermeer, ukochany malarz poetki. Podziwiali obrazy, ale tylko niektóre, bo Szymborska nie „zwiedza muzeów”. Ogląda wybrane dzieła, na przykład „Mleczarkę” rzeźbionego Vermeera, o której napisała precyzyjną urodo wiersz:

*Dopóki ta kobieta z Rijksmuseum
w namalowanej ciszy i skupieniu
mleko z dzbanka do miski
dzień po dniu przelewa,
nie zasługuje Świat
na koniec świata.*

Byli z nią w jej krakowskim mieszkaniu. Bezskutecznie usiłowali znaleźć noblowski medal, szperając po szufladach. Jerzy Pilch, jeden z występujących w filmie komentatorów, westchnął tylko: „Mówiłem, nie kupować tak dużego mieszkania! Całe 60 metrów czy coś koło tego”. Rzeczywiście, trzy niewielkie pokoiki w bloku. Jak na noblistkę zastraszająco skromnie. Tę skromność znają nie tylko zaprzyjaźnieni z poetką bywalcy jej słynnych kolacyjek z loteryjkami. Od 1996 roku, czyli od „tragicii sztokholmskiej”, jak przyjaciele

ochrzczili noblowską uroczystość, wiedzą o tej cesze Szymborskiej wszyscy na świecie. Obok poezji to główne źródło sympatii, jaka poetkę zewsząd otacza.

Film powstawał dwa lata. Znaczną jego część zajmują zapiski ze wspólnych podróży, spotkania z ludźmi albo z przedmiotami (poetka ma zwyczaj zaopatrywania przyjaciół w pamiętki, wytrwale kupuje też kiczowate fanty na loteryjki). Osobnym tematem jest pejzaż, bo przyroda zajmuje w myślach i uczuciach poetki ważne miejsce. „Wszystcy jesteśmy równi wobec natury” – mówi w filmie Jane Goodall sławna badaczka małp, jedna z trzech wybitnych osób, które Szymborska, jak się kiedyś zwierzyła, chciałaby w życiu poznać. Druga to Vaclav Havel, pisarz-prezydent, a dla W.S. przykład połączenia najwyższej etyki z najsmaczniejszą polityką. Trzecią jest Woody Allen, o którym powiedziała: „To fenomen w dzisiejszym kinie. Takich



Jedna z nielicznych, obok kotów, miłości Szymborskiej
Andrzej Wiecie-Kto

dialogów nikt już pisać nie potrafi. Kłaniamu się nisko, ponieważ go podziwiam, i ścisłam go serdecznie, ponieważ go lubię”.

Z żadnym z tej trójki osobiście się nie spotkała, choć wszyscy wiedzą o sobie i o wzajemnych podziwach. Spotkali się teraz, w filmie Kolendy-Zaleskiej. Mówią o Szymborskiej same najprzyjemniejsze rzeczy. „Czuje się zaszczycony, że wie o moim istnieniu” – powiada Woody Allen z aktorską kokieterią, choć to zapewne szczerą prawdą. Zresztą kto powiedziałby złe słowo o tej akurat poetce?

Kilkakrotnie bohaterka filmu zwierza się ze swoich upodobań. Do sztuki najczęściej, bo ludzki geniusz zawsze ją fascynował, przede wszystkim jako antidotum na niskie instynkty i niszczyielskie skłonności człowieka. Dlatego tak wiele mówi o ulubionych obrazach albo o Elli Fitzgerald, którą ma za największą pieśniarkę XX wieku. Ale jakby dla równowagi czyta też fragment dawnego wiersza „Terrorysta, on patrzy”, o ludziach siedzących w barze, nieświadomych, że za kilka minut wybuchnie bomba, która ich unicestwi.

Hagiografia rozchichotanej pani

Legenda o skromnej noblistce z Krakowa, która osobistym urokiem i poetycką (pozorną) prostotą swoich wierszy podbiła, jak to się mówi, serca wielojęzycznych czytelników, trwa już co najmniej od lat kilkunastu. Wspomaga ją tę legendę książki, artykuły prasowe, zdjęcia i kilka, a może nawet kilkanaście całkiem niezłych filmów telewizyjnych, jakie zdążyły po drodze powstać. Wszystkie one, z wyjątkiem dwóch pierwszych, nakręconych w bezpośrednim związku z „tragedią sztokholmską”, były jednak dosyć kameralnymi opowieściami o pewnej wybitnej osobie, skądinąd nie zawsze tam fizycznie obecnej. Film Katarzyny Kolendy-Zaleskiej jest przy nich jak orkiestra symfoniczna przy kwintetach i kwartetach. Jego akcja toczy się w kilku krajach Europy oraz w Nowym Jorku Jane Goodall i Woody'ego Allena. Wśród tradycyjnych „gadających głów” mamy między innymi profesorów Henryka Markiewicza wykładającego teorię limeryku i Teresę Walas wykładającą teorię dystansu w życiu Szymborskiej. Wypowiadają się pisarze Jerzy Pilch i Umberto Eco. Poeci Ewa Lipska i Bronisław Maj. Wydawca Jerzy Illg i piosenkarz Grzegorz Turnau. Pierwszy sekretarz noblistki Michał Rusinek i dziennikarka Joanna Szczepańska. A nawet, za przeproszeniem, piszący te słowa. Śpiewa Ella Fitzgerald, włoścy studenci w Bolonii czytają na głosy wiersz, Lamon Brewster leje na ringu Andrzeja Gołotę, jednego z prywatnych idoli Szymborskiej (!), a krakowskie siostry zakonne pokazują szkolny dziennik, w którym figuruje nastoletnia Wisia z żartobliwą przepowiednią, że kiedyś... dostanie Nobla. Cały film, jak sama Szymborska, oscyluje między powagą a zabawą. Ta rozchichotana pani układająca w samochodzie limeryk o kanoniku z Moheru, co w Boga nie wierzył, to też ona. Nie



Baba w Amsterdamie.
A także Wisława Szymborska

przypadkiem Allen powiedział o niej, że jest jego ideałem artysty: głębokiego i przenikliwego, ale pamiętającego o zabawianiu czytelnika.

Czy ten film to czysta hagiografia? Szczerze mówiąc – tak. Choć jest i wątek najbardziej wstydlivy w życiu W.S. – młodzieńcza fascynacja komunizmem owocująca wczesną poezją naiwnie zaangażowaną. Szymborska nie broni tamtych wierszy, bo nie ma czego. Mówi tylko: tak, chciałam wtedy wierzyć. Bo inni, starsi i mądrzejsi, wierzyli. Bo za wiele nie wiedziałam. Naprawdę nie chodziło o karierę ani pieniądze. Miałam dobrą wolę. Cóż tu więcej mówić.

Publiczna prapremiera filmu zorganizowana przez polski konsulat generalny odbyła się w Nowym Jorku w końcu stycznia

Polska premiera
17 lutego o 19.30
w warszawskim Multikinie
Złote Tarasy.
Emisja telewizyjna – 28 lutego w TVN

w słynnym Museum of Modern Art. Przybyli producenci filmowi i telewizyjni, krytycy, poeci, wydawcy, dziennikarze „New York Timesa” oraz „New York Review of Books”. Dzień później pokaz miał miejsce w konsulacie. – Film przyjęto entuzjastycznie – mówi konsul generalny Krzysztof Kasprzyk. To wspaniały dowód żywotności polskiego życia intelektualnego. – Film bardzo się podobał – dodaje Monika Fabijańska, dyrektor nowojorskiego Instytutu Kultury Polskiej – ale parę elementów trzeba by w nim poprawić, żeby naprawdę chwycił w USA. Jest trochę za długi i odrobinę zbyt hagiograficzny.

A co sądzi sama Szymborska? Nic, bo filmu nie widziała. Nie lubi oglądać siebie na ekranie. □

ROZMOWA

Tajemny wdzięk mortadeli

Nie zrobiłam tego filmu, żeby komukolwiek dokładać – mówi Katarzyna Kolenda-Zaleska

Jakim cudem udało się pani namówić Wisławę Szymborską, znaną z chrobrliwej wręcz awersji do występowania w mediach, do udziału w tym filmie?

– Gdybyśmy się nie polubili, nic by z tego nie wyszło. Ona otacza się tylko ludźmi, których zna, unika natarczywych dziennikarzy. Działaliśmy więc metodą małych kroków. Najpierw udało się ją przekonać do naszej obecności na Sycylii, później namówić na wyjazd do Irlandii, Amsterdamu i Hagi. Z czasem zgodziła się na obecność kamery, co w dużej mierze zawdzięczamy naszemu operatorowi Witoldowi Jabłonowskiemu. Po prostu polubiła go jako człowieka. Nadała mu nawet ksywę „Mortadela”, bo na każdym postoju jadł kanapki z mortadela.

Od lat zajmuje się pani polityką, ale film nakręciła o literaturze. Dlaczego?

– To powrót do korzeni. Z wykształcenia jestem polonistką. Ten film stał się dla mnie okazją powrotu do świata, który na jakiś czas porzuciłam. Co nie znaczy, że w towarzystwie Wisławy Szymborskiej odciąłem się zupełnie od polityki. Gdy byliśmy za granicą, codziennie rano odpalałam laptopa, żeby sprawdzić, co dzieje się w Polsce. Szymborska miała mnóstwo do powiedzenia na tematy polityczne.

Poetka nie widziała pani filmu o niej. Nie żałuje pani tego?

– Jest coś takiego w Szymborskiej, że w jej towarzystwie nie można opowiadać byle czego, trzeba być intelektualnie zmobilizowanym. Każda opowieść musi mieć puentę. Chyba byłabym speszona, gdybym miała oglądać film wraz z nią. Poza tym kluczowe dla niej momenty, czyli wypowiedzi Woody'ego Allena czy Vaclava Havla, przecież widziała.

Spotyka się pani pewnie z opiniami, że film jest laurkowy. Może należało dolać do miodu odrobiny dziegciu?

– Nie robiłam tego filmu, żeby komuś dokładać. Celem było pokazanie z bliska artystki, której ludzie nie znają, bo ona sama stroni od rozgłosu. Mamy dziś tak mało autorytetów, tak mało postaci, które możemy podziwiać za to, co zrobiły, że zjadliwości pod adresem akurat tej osoby moim zdaniem naprawdę nie miałyby sensu.

not. Karolina Pasternak

„Chwilami życie bywa znośne”, scenariusz i realizacja Katarzyna Kolenda-Zaleska, zdjęcia Witold Jabłonowski, TVN 2010

+++ ADAM WIEDEMANN

Rzeźnia drobiowa Potrawka do szybkiego przełknięcia

Żyjemy w czasach ułatwień, z których już nawet nie zdajemy sobie sprawy, tak są powszechne i nieustanne, a dotyczy to nie tylko takich dziedzin jak konsumpcja i komunikacja, ale także – a może przede wszystkim – literatury, coraz to chętniej ułatwiającej nam kontakt z trudnymi problemami, które bez tej artystycznej mediacji być może wcale by nas nie obeszły. Nie tak dawno Olga Tokarczuk w atrakcyjny sposób zarysowała powieściowo kwestię zła polowań, tymczasem okazuje się, że całe pięć lat wcześniej podobne zagadnienie wzięła na warsztat Matthias Göritz, zdolny skądinąd poeta niemiecki, który w swoim debiutanckim dziele prozą zajmuje się sprawą być może jeszcze bardziej nabrzmiałą (w grę bowiem wchodzi śmierć już nie tysięcy, ale milionów istot, w dodatku młodych, niewinnych i również za życia dręczonych na najrozmaitsze sposoby) – mianowicie przemysłową hodowlą drobiu.

Nie sposób uciec od porównań: Tokarczuk odnawia topos zaburzonej idylli, Göritz zaś – idylli niemożliwej. U niej narzędziem zemsty na oprawcach jest zrewoltowana jednostka ludzka, u niego – obiektywne mechanizmy społeczne i biologiczne. Göritz nie tylko jątrzy nasze

Matthias Göritz
w 2006 roku wystąpił
gościnnie
w spektaklu *Jana Klaty „Transfer”*
we wrocławskim
Teatrze Współczesnym



ekologiczne sumienie (cytuje opinię Tokarczuk o jego książce), ale też w sposób dość nieoczywisty zderza szlachetnego przedsiębiorcę z chciwymi i krótkowzrocznymi robotnikami, konieczności łagodnego wysiłku przeciwstawiając konieczność wysiłku bezwzględного. Zwraca uwagę stylistyczna oszczędność jego prozy, język „techniczny” jest tu umiejętnie zestawiany z językiem „poetyckim”, pozwalając uniknąć nużących partii dyskursywnych. Niestety, w środkowej części utworu bohaterowie zbyt wiele wyjaśniają sobie w dialogach – taka to jednak uroda literatury interwencyjnej i zaangażowanej.

Przedstawiona z dużą znajomością rzeczy hekatomba kaczek i indyków przebiega w tle akcji głównej, którą nazwać możemy „jednym dniem z życia chłopca” (zachowana zostaje jedność czasu i miejsca). Chłopiec doznaje różnorodnych wtajemniczeń (w śmierć, erotyzm, politykę i mechaniczne rynkowe) oraz rozczarowań (śmiercią, erotyzmem etc.), chwilami bywa przesadnie inteligentny, chwilami głupawy, zawsze to jednak sympatyczny chłopiec i można z nim trochę pobyt. Całość rozgrywa się we wczesnych latach 80. (a więc wtedy, gdy autor miał tyle lat, ile jego bohater), których niezapomniany klimat również oddany został z dużym zjawstwem. Na koniec posłużmy się jednak drobiowym porównaniem: powieść ta jest jak potrawka z kurczaka – trochę w niej smacznego mięsa, a trochę gąbczastej skórki, wszystko to ani do delectowania się, ani do wypłucia, bodaj tylko do szybkiego przełknięcia. □



Matthias Göritz „*Krótki sen Jakoba Vossa*”, przeł. Tomasz Ososiński, Ha!art, Kraków 2009, s. 216, 32 zł

++++ Głos w głos

Czytajcie i ubogacajcie się
(rozmowy z Andrzejem Sosnowskim)

SĄ ŚWIETNI POETCI, KTÓRZY mówią, że mówić nie umieją (vide Krystyna Miłobędzka, s. 60) i są tacy, których wymowność jest zasadniczo imponująca, nawet jeśli wcale się do rozmów nie pała, ale zgadzają się na nie, bo nieuprzejmie byłoby indagującym odmówić. Na przykład Andrzej Sosnowski. Sławetna nieprzeniknioność jego wierszy

(które z drugiej strony od razu w miarę powszechnie uznano za „wybitne” lub co najmniej „interesujące”) nieprzerwanie prowokowała literackich wywiadowców do zadawania pytań, a legendarna uprzejmość Sosnowskiego sprawiała, że na nie odpowiadał. W efekcie, przypomina Grzegorz Jankowicz we wstępie do Sosnowskiego „wywiadów wybranych”, żaden inny poeta debiutujący po roku 1989 aż tylu ich nie udzielił. W książce zebrano ich 14, rozmówcy są różni, tematy najrozmaitsze – od kwestii biograficznych

po filozoficzne (o których AS umie rozprawiać z wielkim wdziękiem), a rzecz kończy słowo „Masakra” (w związku z Shelleyem i poematem „dr caligari resetuje świat”, który wkrótce ukaże się w nowym tomie Sosnowskiego „poems”). Jeśli ktoś wywiadów Sosnowskiego dotąd nie czytał – mnóstwo niespodzianek. Ale warto przeczytać je nawet po raz wtóry – sam zapomniałem, że Sosnowski i Tadeusz Pióro skomentowali piłkarski mundial w Korei w serii kilkunastu haiku opublikowanych w „Przekroju”. Masakra. – msen



„Trop w trop. Rozmowy z Andrzejem Sosnowskim”, red. Grzegorz Jankowicz, Biuro Literackie, Wrocław 2010, s. 200, 39 zł



Czytanie na trawie

TADEUSZ NYCEK

...albo Lupa mistrzowsko opstrykany

KIEDYŚ, ZA TAK ZWANYCH dobrych czasów, fotografik wynajmowany przez teatr do zrobienia dokumentacji premiery wykonywał dokładnie to, za co mu płacono. Przychodził na próbę generalną, kiedy aktorzy byli już w kostiumach pośród kompletnej scenografii, i pstrykał zdjęcia wszystkiego, co się ruszało albo nie ruszało na scenie. Cokolwiek pstrykał, musiało być precyzyjnie rozpoznawalne. Na pierwszym miejscu postaci aktorów, potem szczegóły obrazu scenicznego, jakieś charakterystyczne

gesty wskazujące na inscenizacyjny styl dzieła. To było gdzieś do lat 70., a potem fotograficy odkryli, że też są artystami. No i się zaczęło. Zdjęcia przestały się kojarzyć z konkretnymi faktami scenicznymi, zamieniając w samoistne popisy artystyczne ich autorów. Tu w jakimś błysku światła fragment twarzy aktora, zazwyczaj nierozpoznawalny. Tam kilka przemazanych smug świadczących o wrażliwości fotografa na zjawisko ruchu. To była plaga. Przejrzycie archiwu teatralnego ostatniego trzydziestolecia.

Można by dokładnie pomieszać niektóre spektakle i nikt by nie zauważył, które zdjęcia do którego się odnoszą. Otwierając teraz na chybił trafił wielkie albumiszczki pod tytułem „Lupa/Teatr” autorstwa Krzysztofa Bielińskiego (W.A.B., Stary Teatr, Instytut A. Mickiewicza), aż jęknąłem: no tak, nieszczerzy proceder trwa dalej. Ale że teatr Lupa to – jak wiadomo – rzecz sama w sobie fascynująca, zagłębiłem się w dzieło. Szczęśliwie udało mi się kiedyś widzieć wszystkie 13 sfotografowanych spektakli, więc chciałem je sobie choćby przypomnieć. Lupa zrobił ich znacznie więcej, ale widać Bieliński z racji choćby wieku – 32 lata obecnie – innych zobaczyć nie zdołał. I cóż... utonąłem w tej księdze, Bieliński okazał się fotografem fantastycznym. Bo ze zdjęciami „artystycznymi” jest tak jak ze wszystkim

w sztuce: albo są dobre i wtedy artysta wygrywa, albo złe i do widzenia. Zdjęcia Bielińskiego nie tylko są piękne same w sobie. Zapewne wielokrotnie obrabiane technicznie przypominają raczej malowane obrazy niż typowe fotki. Na jednym z wielkiej, ciemnej pustki wylaniają się dwie małe sylwetki aktorów spoglądających na siebie poprzez długi, rozświetlony stół przypominający jezioro. Na innym widać wysokie okno i lekko musnięty ślad kogoś opartego o framugę. Niektóre szepczą jednym szczegółem wydobywającym z otchłannej tła, inne krzyczą ostrym gestem, wyrazistą barwą kostiumu bądź dekoracji, konwulsyjnym układem ciał aktorów. Jeśli coś dokumentują – a, o dziwo, naprawdę dokumentują! – to przede wszystkim organiczne piękno scenicznych obrazów budowanych przez

Lupę. Sam Lupa jest malarzem i scenografem własnych przedstawień, więc Bieliński miał ułatwione zadanie. Ale zrobił coś znacznie więcej – wspinał się uchwycić ducha tego teatru. Jego tajemnicze, nastrojowe, czasem metafizyczne skupienie, a czasem ekspresyjne roz-wibrowanie. Oczywiście fotografie nie zastąpią żywego teatru. Ci jednak, którzy Lupa na żywo nie widzieli, a będą mieli okazję wejrzeć w album Bielińskiego, poczuja przynajmniej smak sztuki tego wielkiego wizjonera sceny. I niech koniecznie przeczytają – obok garści refleksji Lupa na temat niektórych zdjęć – zamieszczoną tam rozmowę Piotra Gruszczyńskiego z reżyserem, zatytułowaną intrygująco „Mieszczuchozerna donkiszoteria”. Potem pozostanie im tylko biec do teatru. □

REKLAMA



Rempex

od 1989 roku

Do dnia **3 marca 2010 r.** zbieramy
obiekty na kolejną aukcję sztuki dawnej i współczesnej.
Serdecznie zapraszamy!

Dom Aukcyjny REMPEX
24 lutego 2010 r.

154 Aukcja Sztuki Dawnej godz. 17.00
49 Aukcja Sztuki Współczesnej godz. 18.30
ul. Karowa 31 w Warszawie
tel. 48 22 826 44 08
www.rempex.com.pl



Raster – alfabet

PAWEŁ STREMSKI

Od czasu gdy malutka galeria wystawiała obrazy Wilhelma Sasnała w warszawskim podwórku, minęło prawie 10 lat. Dzisiaj Sasnał jest najdroższym polskim malarzem, a Raster właśnie doczekał się książki



ZACZEŁO SIĘ OD NICH – ŁUKASZA GORCZYCY I MICHAŁA KACZYŃSKIEGO, ZAŁOŻYCIELI PISMA „Raster” i galerii o tej samej nazwie. Krytykując zjawiska, które ich denerwowały, szydząc ze spraw objętych dotąd złą milczeniem, przewartościowali to, czym od lat żył polski świat sztuki. Nie mieli litości dla twórców, galerii i krytyków. Znakomicie się przy tym bawili, kształtowali nowy porządek, zabawę łącząc jednak z erudycją, a cynizmem z wyjątkową wrażliwością.

Mieli własną wizję sztuki i jej społecznego oddziaływania. Szczęśliwie trafili na grupę artystów, którzy myśleli tak samo. Razem stali się naszym głównym towarem eksportowym. Poniższy alfabet to subiektywne kompendium wiedzy o Rastrze, mieszanka nazwisk i pojęć, które się z Rastrzem kojarzą i które znać warto, a nawet trzeba.

A jak arte polo – pogardliwe określenie dekoracyjnego i ilustracyjnego nurtu w polskiej sztuce, którego filarami w nomenklaturze „Rastra” byli między innymi Jerzy Duda-Gracz („karykaturalne obrazy w burzliwych kolorach”), Zdzisław Beksiński („infantylna wizja zjawisk nadprzyrodzonych i potworów”) i Franciszek Starowieyski („artysta z playbacku”). Odwołanie do disco polo oczywiście zamierzone.

B jak Bujnowski Rafał – współzałożyciel i członek Grupy Ładnie. Jeden z flagowych artystów Rastra. Słynny z pro-



wadzenia w Krakowie Galerii Otwartej (wystawy na trzech billboardach w centrum miasta) i produkcji conceptualnych obrazów udających deski, cegły i inne przedmioty codziennego użytku. Twórca znakomitych 33 identycznych portretów papieża Jana Pawła II. Urodzony w Wadowicach.

B jak biurwa – stworzone przez Rastra złośliwe określenie biurowych pracownic państwowych galerii, najczęściej starszych pań pilnujących sal z obrazami. Męski odpowiednik biurwy to zujek (od pracowników Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski).

C jak cenzura – działalność Rastra to ciągłe stawianie w obronie wolności sztuki. Raster protestował przeciwko procesowi Doroty Nieznańskiej, autorki „Pasji”, która stała przed sądem za obrazę uczuć religijnych (uniewinniona po wieloinstancyjnym procesie trwającym kilka lat).

D jak DUPA – próbka „rastrowego” poczucia humoru. DUPA, czyli Dom Upadłego Artysty Plastyka, to jedno z haseł autorstwa Michała Kaczyńskiego i Łukasza Gorczycy. Wyśmiewali w ten sposób poziom wystaw Galerii DAP (Domu Artysty Plastyka).

E jak euro – waluta, w której Raster podaje ceny prac swoich artystów. Jeśli nie macie kilku tysięcy, raczej nie dzwońcie. Choć bywają okazje (patrz: Targi Taniej Sztuki).

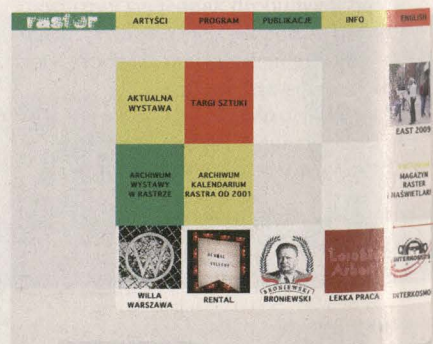
F jak Fokal – używane przez Rastra określenie Galerii Foksal (obecnie Fundacja Galerii Foksal), która w powszechnej opinii wypromowała na świecie Wilhelma Sasnała. Obecnie FGF reprezentuje między innymi Pawła Althamera i Piotra Uklańskiego. Ówczesni kuratorzy Fokala Andrzej Przywara i Adam Szymczyk byli nazywani przez Rastra „lisami”.

G jak Gorczyca Łukasz – współtwórca Rastra. Krytyk sztuki i kurator. Niegdyś dziennikarz (między innymi „Machina” i „Pegaz”) oraz autor opowiadań (zbiór „Najlepsze polskie opowiadania” można

od czasu do czasu znaleźć na Allegro). Główny ideolog Rastra.

H jak Hoża – przy ulicy Hożej 42, w ogromnym mieszkaniu na ostatnim piętrze XIX-wiecznej kamienicy mieści się obecnie siedziba galerii Raster. Trzeba dzwonić pod numer 8. Pierwsza siedziba Rastra w latach 2001–2003 mieściła się w jednopokojowym mieszkaniu na parterze, w podwórku przy ulicy Marszałkowskiej 60.

I jak internetowy tygodnik szybkiego reagowania – w 2000 roku Raster wszedł przebojem do Internetu. Strona Raster.art.pl stała się najbardziej znaczącym artystycznym miejscem w polskiej sieci. W czasach gdy inni w ogóle nie myśleli jeszcze o Internecie, Gorczyca i Kaczyński prowadzili dynamiczny serwis pełen recenzji, opinii i świetnych zdjęć. Łączili przy tym



opiniotwórczą siłę argumentów z obyczajową lekkością języka – ironicznie i bezwzględnie opisywali co, kto i z kim. Takiej pasji i przenikliwości nie ma dzisiaj nikt.

J jak język – absolutny fenomen. Tworzenie nowych słów i pojęć przychodziło rastrowcom z zadziwiającą łatwością. Zawdzięczamy im między innymi: „gluciarzy” (polskich rzeźbiarzy formujących bezkształtne figury), „galmazerie” (galerie, gdzie zamiast dobrej sztuki sprzedaje się „produkt drugiej jakości i świeżości”), „stolec” (stojący brąz, na przykład rzeźby Igora Mitoraja) i ZByT, czyli Zespół Braku Treści (powszechna choroba polskich malarzy). Wszystkie hasła i złośliwe tłumaczenia zebrano w „Słowniku artystycznym Rastra”.



Grupa Ładnie. Oświęcim. 1999.

K jak Kaczyński Michał – współtwórca Rastra. Człowiek renesansu: kurator i galerista, grafik oraz miłośnik gotowania. Twórca strony Pesto.art.pl, z pozoru internetowej biblioteki przepisów kulinarnych, a w rzeczywistości ambitnego multimedialnego projektu – mieszanki grafiki, poezji i animacji. Niestety, ostatni raz Pesto.art.pl aktualizowano w 2008 roku.

L jak „Lampa” – pismo kulturalne Pawła Dunina-Wasowicza, którego redakcja mieści się w jednym z pokoi w siedzibie Rastra.

Ł jak Ładnie – legendarna krakowska grupa artystyczna, którą tworzyli Marek Fikret, Rafał Bujnowski, Marcin Maciejowski, Wilhelm Sasnał i Józef Tomczyk „Kurosawa”. Rozstawiona przez Rastra, do dziś otoczona mitem i przez wielu wskazywana jako najważniejsze zjawisko w polskiej sztuce po 1989 roku. Przez samych członków (poza Markiem Firkiem) bagatelizowana i wprowadzana do imprezowych wygłupów.

M jak Maciejowski Marcin – malarz, członek Grupy Ładnie i twórca artystycznego „Słynnego Pisma we Wtorek”. Obok Sasnała i Bujnowskiego flagowy artysta Rastra. Zasłynął genialnymi kolorowymi obrazami malowanymi ze zdjęć wyciętych z brukowców. Najwybitniejszy malarski kronikarz polskości w latach 90. Jeden z najpopularniejszych polskich artystów współczesnych za granicą, a przy okazji od lat stały rysownik „Przekroju”. Kolejny rysunek z cyklu Potok już dzisiaj na stronie 49.

N jak „Namaluj mnie” – legendarna wystawa Rafała Bujnowskiego, Marcina Maciejowskiego i Wilhelma Sasnała w 2000 roku w BWA w Zielonej Górze. Dwaj mało znani kuratorzy z Rastra pokazali wtedy obrazy trzech mało znanych malarzy. Dziś takiej wystawy nie powstydziłoby się Tate Modern.

O jak Olbrychski Daniel – słynny polski aktor, którego niespodziewany performance „Cięcie Kmicica” (określenie Rastra) w Zachęcie zapewnił mu stałe miejsce w historii polskiej sztuki. Doprecyzujmy – niechlubne.

P jak Pozdrowienia z Polski – seria pocztówek wydawanych przez Rastra ze zdjęciami najbrzydszych, najśmieszniejszych, najprawdziwszych przejawów architektonicznego bałaganu i syfu polskich miast.

R jak Raster – słownikowa definicja: płytka szklana pokryta drobną siatką powodującą rozłożenie obrazu fotograficznego na punkty.

S jak Sasnał Wilhelm – ikona młodej sztuki. To między innymi Gorczyca i Kaczyński sprawili, że poznał się na nim w Warszawie. Co było później, wszyscy wiemy. Przez długi czas autor świetnych rysunków dla „Przekroju”.

Ś jak Świetlica Sztuki Raster – oficjalna nazwa drugiej siedziby Rastra. Oprócz wystaw można tam było trafić na koncert, pokaz filmu albo słynne cykliczne turnieje piłkarskie. Dzisiaj niemal każdy klub czy galeria to centrum kultury, ale to oni byli pierwsi.

T jak Targi Taniej Sztuki – nieoceniony wkład Rastra w migrację sztuki współczesnej pod strzechy. Cykliczna przedbożonarodzeniowa impreza, podczas której znani artyści przygotowywali dzieła sztuki i przedmioty w cenach jak z hipermarketu. Wczesne prace Sasnała po 60 złotych, obrazy Bujnowskiego po kilkaset. Niektóre z tych dzieł warte są dzisiaj kilkadziesiąt razy więcej. Największym hitem wszystkich edycji Targów Taniej Sztuki jest szklanka Agaty Bogackiej z sikającą dziewczyną.

U jak „Układ scalony sztuki polskiej” – fundamentalny tekst Piotra Śmigowicza zamieszczony w szóstym numerze „Rastra” z 1998 roku. Bezprecedensowy opis polskiego świata sztuki – artystów, galerii, pism etc. – pełny humoru i trafnych ocen.

W jak Warszawa – na okładce pierwszego numeru „Rastra” z 1995 roku widnieje duży napis „Warszawa” i podtytuł „Nowi ludzie z Warszawy: Gorczyca, Kaczyński, Olbrychski”. Dzisiaj Raster jest artystycznym znakiem rozpoznawczym stolicy. Michał Kaczyński poświęcił Warszawie kilka wierszy, między innymi „Ursynów” i „Ursus”.

Z jak Zniechęta/Zuj – rastrowe określenie największych warszawskich galerii – Zachęty i Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski. Gorczyca i Kaczyński byli surowymi krytykami tych instytucji. Punktowali wpadki, namawiali się z braku kompetencji pracowników i kierownictwa, wytykali marnowanie pieniędzy. Ale była to krytyka podsyta fascynacją, bo każda nowa wystawa w Zniechęcie czy Zuju mogła liczyć na ich uwagę.

Ż jak „Życie codzienne w Polsce w latach 1999–2001” – autobiograficzny komiks Wilhelma Sasnała wydany przez Rastra w 2001 roku. Dzisiaj biały kruk, który od czasu do czasu pojawia się na Allegro za kilkaset złotych. Wydany wraz z „soundtrackiem” (kasetą magnetofonową z piosenkami Izraela i Brygady Kryzys).

Autor prowadzi blog art.blox.pl

Życie codzienne w Polsce w latach 1999–2001





LEKTURA

Marcin Sendeki



BRAK WPRAWY

O PISARSKIM BOGACTWIE I BIEDZIE, DZIKIEJ POEZJI I PROZAIKACH, KTÓRYM NIE CHCE SIĘ ODROBIĆ LEKCJI BUCZKOWSKIEGO, Z POETKĄ **KRYSTYNĄ MIŁOBĘDZKĄ** (W ASYŚCIE ANDRZEJA FALKIEWICZA) ROZMAWIA MARCIN SENDECKI

Nie lubi pani wywiadów.

– To są rzeczy trudne. Dzisiaj porozmawiamy, a za chwilę już będzie coś innego.

Ale przecież w ostatnich latach udzieliła pani mnóstwa wywiadów. Jest nawet cała książka z rozmowami z państwem [to jest Krystyną Miłobędką i jej mężem Andrzejem Falkiewiczem – przyp. red.], „szare światło”, które w ubiegłym roku wydał Jarosław Borowiec.

– Nie wiem, jakim to cudem się zdarzyło. Nie wiem, jak to w ogóle było możliwe. To są bardzo kosztowne operacje. Nie tylko wtedy, kiedy się mówi, ale także później, kiedy się to czyta – i myśli, że to nie to, cholera. Pisane to jest zawsze szczególnie; wykreślam i nie ma, wyrzucam. A kiedy się mówi – niedobrze.

Te koszty, o których pani mówi: chodzi o to, że rozmowa zawsze ociera się o jakąś trudną intymność, czy po prostu o całą tę sytuację komunikacyjną – że się rozmawia, a obok stoi maszyna, która to bezlitośnie nagrywa?

– Że się w ogóle rozmawia o tym, co się robi. Ja właściwie do tego, co napisałam, nie chcę i nie potrafię nic dodać. Jeśli ktoś to przeczyta – w porządku. A w rozmowach jest coś nie tak. Ja zresztą nie umiem i nie lubię mówić. To jest zupełnie osobna, specjalna umiejętność, talent. To zupełnie inna robota niż ciche zapisywanie.

Zazdrości pani ludziom, którzy potrafią mówić? Czy może myśli pani, że to jest coś za coś? Że uważność zapisu, taką jak u pani, okupuje się nieumiejętnością głośnego mówienia?

– Zazdroszczę ludziom, którzy świetnie mówią. Z przyjemnością ich słucham. Mój kłopot polega na tym, że nie mogę zawrócić słów, które wypowiadam. Wypowiedziane – są już poza mną. I potem to tak wychodzi, jak wychodzi. Nie mam niczego gotowego do powiedzenia. Dopiero kiedy słyszę pytanie, zaczyna się wylinać jakaś odpowiedź.

Zresztą przez tyle czasu nikt mnie o nic nie pytał. Więc może to jest brak wprawy.

Mówi pani o kontroli nad słowami na kartce.

Jak pani rozpoznaje moment, w którym napisana rzecz jest gotowa i nic więcej nie da się zrobić?

– Bardzo długo się wykreśla, dodaje i znów wykreśla. A potem zwykle Andrzej przecina moje wątpliwości, mówi, że już dosyć, jest, jak jest, trudno, wystarczy. Sama takie decyzje podejmowałabym po bardzo długim czasie. Ale potem to w ogóle zapominam, że te teksty istnieją. Nie ma ich, choć część znam na pamięć; ale to nie znaczy, że chciałabym w nich coś poprawić lub zmienić. Trudno, poszło, już są, jakie są, kuleją.

Jak to wszystko się zaczęło? Co się stało, że przy takim stosunku do zapisu, do jego żmudnej obróbki, pani zdecydowała się jednak coś zapisywać? Kiedy zdecydowała pani, że będzie pisać wiersze?

– Nie brałam czegoś takiego pod uwagę. Zapisywałam coś, co było poznawaniem, rozpoznawaniem mojego otoczenia, mojego świata, szumnie mówiąc. Zapisywałam i zapisywałam, lepiej czy gorzej. Aż w 1960 roku Falkiewicz bez mojej wiedzy zgłosił moje rzeczy na konkurs poetycki w Poznaniu. I od tego to się zaczęło. Byłam przerażona. Bo to było moje, prywatne porozumienie z tym, co naokoło. Nie brałam pod uwagę, że to może wyjść gdzieś na zewnątrz.

A potem znów nie tak wiele i pilnie pisałam i publikowałam. Teraz okazuje się, że jest tego sporo – 300 czy nawet więcej tekstów zapisanych, strasznie dużo. Ale nie mam nawyku pisania. Trudno powiedzieć, żebym miała jakąś potrzebę pisania. Piszę, kiedy mi się coś ważnego, dla mnie ważnego przydarzy. Nie nazwałabym się osobą zawodowo piszącą. To chyba jakoś inaczej musi wyglądać. Nie wiem. Ja zresztą z ludźmi piszącymi niewiele rozmawiam.

To jest może tak, że jeśli ktoś uszył but, to fajnie, ale co tu mówić? Jakie nici brał?

Dużo pani pisała o teatrze dziecięcym, zajmowała się pani psychologią twórczości dzieci. Wiadomo, że zdarza się, iż swoje rozpoznanie świata dziecko artykułuje na sposób poetycki. Niektórzy powiadają, że w gruncie rzeczy „poeta jest jak dziecko”. Czy pani też tak uważa? Czy poeta jest kimś, kto nie dorósł? W końcu porusza się także pośród różnych życiowych straszliwości, z których dziecko nie zdaje sobie sprawy. Jak to się łączy pani zdaniem? Jaka jest relacja między dzieckiem w poecie a człowiekiem doświadczonym i dojrzałym?

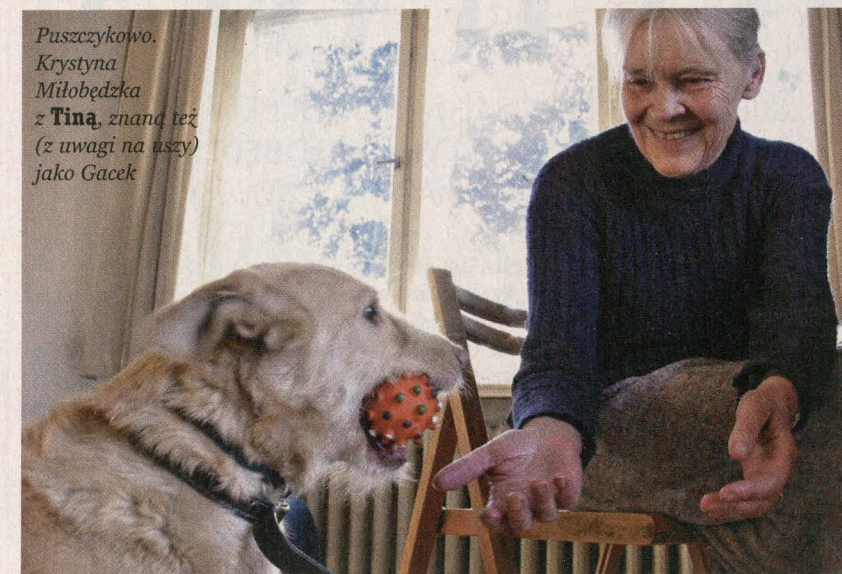
– Dobrze powiedział Stanisław Barańczak, pisząc o Białoszewskim, że poeta to dziecko, ale dziecko świadome. Nic do tego nie potrafię chyba dodać, tak to jest. W słowie „świadome” jest właśnie to „więcej”, które decyduje.

Kiedy na przykład nasz wnuk Maciej mówi na wypadające z szyszki nasiona „lesiona”, to jest święta racja, tyle że to ja wiem, jakie to niezwykłe, co mówi. On tego nie wie. Tutaj jest ta cienka granica. Poeta wie, co jest świetne, i wie, że to trzeba zapisać.

W 1939 roku miała pani siedem lat. Czy dużo pani pamięta z wojny?

– Pamiętam rozmaite rzeczy. Raczej – jak to powiedzieć? – dziwne, nie straszne. Jadę slipingiem do Lwowa z matką i babką. Śpię na piętrze, pod samym sufitem. We Lwowie byliśmy do ostatnich dni, kiedy można było przejść spod okupacji →

→ rosyjskiej pod niemiecką. Pamiętam, jak jechaliśmy furką do granicy, babcia miała parasol i okropnie się martwiła, że nasz woźnica zabrał czy schował jej ten parasol. Dziś to śmieszne, ale babcia wydawało się to wtedy straszne, że przepadł parasol. Potem ojciec opiekował się prywatnymi lasami w majątku pod Częstochową, w Radoszewnicy. Chociaż... Właściwie stamtąd dopiero pamiętam



Puszczykowo.
Krystyna
Miłobędzka
z **Tiną**, znaną też
(z uwagi na uszy)
jako Gacek

okropieństwa. Pusty Koniecpol. Niemcy wywieźli Żydów. Zachodziłam z matką do ich sklepów, a potem wszyscy przepadli. Nagle miało się zupełnie puste. Pamiętam porozrzucane ciała ludzi, opuchnięte konie, roztrzaskane wozy na zamrożonej Pilicy. Niemcy wystrzelali z mostu cały tabor Cy-

ganów. Uratował się jeden mały chłopiec.

W pisaniu nigdy do tych wspomnień pani nie wracała.

– Nie. To taki czas wypuszczony, oddzielony. Nie potrafię siebie tamtej w sobie odnaleźć. Zdaje mi się, że ze swoim dzieciństwem spotkałam się dopiero za sprawą syna – że to był taki pomost, trap. Coś takiego.

Czy nie czuje się pani trochę rozgoryczona, że przez tyle lat była

pracował tak intensywnie w języku; może Mi-ron Białoszewski, może Witold Wirpsza. To jest przecież jedna z niewielu książek z lat 80., które mają szansę zostać w literaturze. I oto wydała pani coś takiego i nikogo to specjalnie nie obeszło. Musiało minąć 20 lat, żeby się okazało, że to właśnie Krystynę Miłobędzką warto pytać, jak się robi wiersze.

– Miewałam takie chwile, to nie trwało długo, nie wiem – zdenerwowania? smutku? – kiedy myślałam sobie, że to nie jest przecież takie marne. Myślałam, że jest, powiedzmy, w porządku, ale aż takie złe to nie jest...

Andrzej Falkiewicz: – „Wykaz treści” miał pięć recenzji wewnętrznych.

Rozumiem, że wydawca, Czytelnik, długo nie miał pewności, czy to się w ogóle kwalifikuje do druku.

– Ano tak, mój Boże. Pięć recenzji. Chcieli się upewnić, że to nie jest zupełnie zwariowane. Czyli miała pani świadomość, że robi tutaj rewolucję w języku?

– Nie, nie myślałam, że komuś psuję zabawę. Sądziłam raczej, że to ze mną jest coś nie tak. Ale myślałam, że skoro tyle różnych rzeczy się wydaje, to ta moja książka nie jest aż tak potworna, żeby jej nie wydać. Wie pan, ja inaczej nie umiałam.

Niechże się pani nie usprawiedliwia, że napisała wspaniałą książkę. Czy teraz jednak nie czuje się pani odrobinę zagłaskana. Dzisiaj, kiedy dostała pani tyle nagród, kiedy jest pani przepytwana, wydawana, zapraszana i tak dalej. Czy to nie irytujące, że dorobiono pani coś w rodzaju gombrowiczowskiej gęby milej starszej pani, która mieszka sobie gdzieś w Puszczykowie, pisuje nikomu nieszkodzące wierszyki, trochę może awangardowe, trochę niezrozumiałe, nie będziemy jej robić...

– ...przykrości.

Mówię o publicznym wizerunku pani jako autorki i pani poezji – wizerunku jakby oswojonym – bo zdaje mi się, że to jest jednak bardzo dziwne, niebezpieczne pisanie, w którym kotłuje się od emocji...

Krystyna Miłobędzka przez lata pozostawała na obrzeżach życia literackiego, uchodząc za autorkę „trudną”, a nawet „awangardową”. Z racji zakorzenienia swych zapisów w niuansach polszczyzny nie miała też szans (podobnie jak Miron Białoszewski) na przekłady i karierę za granicą. Debiutowała w 1960 roku prozami poetyckimi z cyklu „Anaglify”. Pierwszą książkę, „Pokrewne”, wydała dziesięć lat później. O debiucie i kolejnych tomach przychylnie pisali między innymi Stanisław Barańczak i Tadeusz Nyczek. Nazwisko Miłobędzkiej stało się odrobinę głośniejsze, gdy w 1992 roku pojawił się tom „Pamiętam”, który przyniósł jeden z nielicznych artystycznie ważkich

zapisów stanu wojennego i został wyróżniony Nagrodą imienia Barbary Sadowskiej. Co ważniejsze, dwa lata później nakładem Fundacji „bruLionu” ukazał się pierwszy, obszerny wybór Miłobędzkiej „Przed wierszem” (Nagroda Fundacji Kultury), który nie tylko zwrócił na nią powszechniejszą uwagę, ale też sprawił, że wielu młodszych autorów zaczęło ją traktować jako ważny punkt odniesienia i jeden z najintensywniejszych głosów polskiej poezji. W 2000 roku ukazał się wspaniały tom „Imiesłow” i wreszcie „wszystkowiersze” w Porcie Legnica. Poetka wystąpiła na mocno antyestablishmentowym podóweczas festiwalu, podbiła jego

publiczność i na stałe związała się z Portem. Po przenosinach imprezy do Wrocławia nakładem portowego wydawnictwa Biuro Literackie wydano „Po krzyku” (2004, II wyd. 2005), potem wiersze zebrane „Zbierane 1960–2005”, wreszcie „gubione” (2008) (Silesius 2009 za najlepszą książkę roku). W 2008 roku ukazała się także „Miłobędzka wielokrotnie” – zbiór materiałów z sesji poświęconej poetce w Instytucie Filologii Polskiej UAM w Poznaniu, a w roku ubiegłym „szare światło”, obszerny tom rozmów z Miłobędzką i Falkiewiczem przeprowadzonych przez Jarosława Borowca. Z okazji 50-lecia debiutu Biuro Literackie

przygotowało „zbierane, gubione” (2010) – wiersze wszystkie – oraz „znikam jestem” – zbiór notatek do czterech wieczorów autorskich poetki i zapis DVD jednego z nich. Spotkania z Krystyną Miłobędzką (słusznie) uchodzą za niezwykle, niemal hipnotyczne. Kto po obejrzeniu płyty będzie chciał przekonać się o tym na żywo, niech odwiedzi kolejny festiwal Port Wrocław (koniec kwietnia), na którym 78-letnia Krystyna Miłobędzka będzie świętować jubileusz 50-lecia twórczości. Od połowy lat 90. z mężem Andrzejem Falkiewiczem, wybitnym krytykiem teatralnym i literackim, mieszka w podpoznańskim Puszczykowie.



nasze (na myse)
nasze na myse
nasze na myse
nasze skąd nasze skąd
nasze tak: ani uwe
polyka ani strasy, lu
dnie
me robie smokas z
samochodow reklami
sy przeszedl mare dzieci
jak obrazy swietych
tylko miodsza
kolorowe ksiazki i waga
towarowe domy
bez roznic

AF: – Nieprawdopodobna złożnica w domu.

KM: – Co ty mówisz?

AF: – Złożnica. To się w wierszach dopiero uładza.

KM: – Czy jestem zagłaskana? Nie wiem. Mam wrażenie, że kiedy mówi się o mnie, to mówi się o jakiejś innej osobie. Kiedy człowiek tyle lat pisał i ma już tyle lat, blisko 80, to się tym wszystkim nie będzie przejmować. Coś zostaje dobrze przyjęte? No to świetnie. Nie spodziewałam się. Na pewno jest cała masa osób, o których nie wiem, które myślą inaczej i uważają, że to, co robię, jest do niczego, przechwalone. No i też w porządku. To wszystko mnie dziśjszej tak bardzo nie dotyka.

Jest mi miło, jestem wzruszona takim zainteresowaniem, dziwię się nieustannie, bo tylko ja wiem, z jakiej to się biedy piszącej, z jakiej to ludzkiej biedy się bierze. Myślę sobie, że teksty, które podziwiam, na przykład Bolesława Leśmiana, biorą się z pełnego, zupełnie innego świata tych ludzi, a moje mam

z biedy, z czegoś małego, niezdarnego. Tak.

Czy pisząc dziś, odczuwa pani jakąś presję, stara się sprostać oczekiwaniom?

– Ja o tym nie pamiętam, nie wiem, pewnie skleroza. Robię tak jak zawsze. Zawsze było coś wyraźnie na zewnątrz i coś, co jest wyraźnie moje, tylko moje.

Widziałem niedawno wielką retrospektywną wystawę Stanisława Dróżdża. Niektóre jego operacje ze słowami trochę przypominają pani zapisy.

AF: – Myśmy mieszkali po sąsiedzku we Wrocławiu, często się spotykaliśmy.

KM: – Tylko Staszek nie był wtedy taką ważną osobą. Działal gdzieś na marginesie związku literatów.

AF: – Jedna tylko Marianna Bocian traktowała to poważnie i sama też zajmowała się poezją konkretną. On też odbył drogę z prawie niebytu do biennale w Wenecji i tak dalej.

A którego z pisarzy pani chciałaby wydobyć z niebytu?

Krystyna Miłobędzka

naszło: „ani mnie to polyka ani straszy, ludzie nie róbcie smoków z samochodów czekolady, reklam

są przecież nasze dzieci jak obrazy świętych tylko młodsze kolorowe książki na wagę

i towarowe domy”

jak obrazy świętych bez różnicy

– Ależ Leopolda Buczkowskiego!

Państwo się znali, prawda?

– Tak, jeździliśmy nawet do niego do Konstan-

cina. Ja mu właściwie zawdzięczam odwagę. Pewnie każdy kiedyś trafia na autora, na jakąś twórczość, która otwiera, pokazuje, że jest tyle rozmaitych możliwości pisania, użycia języka, zobaczenia świata. Takie spotkania są świetne i niespodziewane. I tylko ci są ludzie ważni, którzy coś takiego dają.

Kiedy zaczęła go pani czytać?

– Chyba w roku 1970.

Czyli sama pani już wtedy pisała?

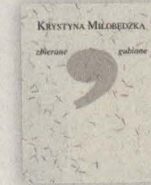
– Tak. No, ale to był piorun! I to jeszcze, jak on poza pisaniem wspaniale opowiadał. Nie tylko „pisany” Leopold, on zresztą mówił tak, jak pisał, dlatego jest to takie wierzytelne. Wielki słuch językowy. Nie mówię już, że gdyby zrobić słownik Buczkowskiego, toby się okazało, że w polszczyźnie nie ma sobie równego.

Kiedy miałam okazję, to debiutującym prozaikom pisałam i mówiłam: co wy robicie! Przeczytajcie najpierw ze dwie strony Buczkowskiego. Ta polska proza dzisiaj to najczęściej przecież tylko sięć i płakać! Ci ludzie nie wiedzą, co piszą. A Leopold jest dziś taki nieistniejący i nie wiem, czy go jeszcze ktoś wykopie, to za dużo roboty. Powiedzieć coś o nim, to jest ogromna praca.

Andrzej pisał o Buczkowskim, ja tego po prostu nie potrafię. Raz w życiu napisałam o bliskich mi wierszach, tekst opublikowałam w „Tygodniku Powszechnym” w 2006 roku. Pan jest autorem tych wierszy i proszę, niech pan tego w naszej rozmowie nie pomini. To przecież o mnie mówi.



„znikam
jestem”,
Biuro
Literackie,
Wrocław 2010,
s. 72, 24 zł



„zbierane,
gubione”,
Biuro
Literackie,
Wrocław 2010,
s. 396

Kup
teraz!

Wyślij SMS z kodem podanym przy recenzji
na nr 70500, koszt SMS-a z VAT 0,61 zł.

one
step

Wyślij SMS my oddzwonimy
zapłacisz przy odbiorze

one step cena 59 zł/
/kod: zbierane121

OTWÓRZ
oczy

**Ulubiony film
Polańskiego
z młodości**

to „Niepotrzebni
mogą odejść”. James
Mason po napadzie
na bank błąka
się po Belfaście.

„W dzieciństwie się
z nim utożsamiałem.

Ludzie chcieli mu
pomóc, ale się
bali, bo był wyjęty
spod prawa”

– pisał reżyser
w autobiografii

PRAWDA EKRANU KAROLINA PASTERNAK

WIĘZIEN KINA

W „OLIVERZE TWIŚCIE” OPOWIEDZIAŁ
O DZIECIŃSTWIE, W „PIANIŚCIE”
O WOJNIE. **OSOBISTE PRZEŻYCIA
ROMANA POLAŃSKIEGO
ODBIJAJĄ SIĘ W KAŻDYM JEGO
FILMIE.** JEDNOCZEŚNIE DZIEŁA
REŻYSERA MIAŁY WPŁYW NA JEGO
ŻYCIE. CZY TAK BĘDZIE TEŻ
Z „AUTOREM WIDMO”?

Wieczorem 30 czerwca 1949 roku na jednej z krakowskich ulic rozgrywa się scena rodem z dreszczowca. 16-letni chłopak umówiony z nieznajomym mężczyzną na kupno roweru zostaje

przez niego zaatakowany – wciągnięty do bunkra, uderzony w głowę cegłą owiniętą w gazetę i obrabowany. Ten chłopak to Roman Polański. Sześć lat później, już jako student łódzkiej filmówki, opowie o zdarzeniu w etiudzie „Rower”. – Granica między fantazją a rzeczywistością była u mnie zawsze beznadziejnie zamazana – przyznał w autobiografii reżyser, który na ekranie opowiedział całe swoje życie.

W ekranizacji „Olivera Twista” oddawany z rąk do rąk kolejnym opiekunom tytułowy bohater to chuderlawy chłopiec o jasnych, kręconych włosach. Tak wyglądał w dzieciństwie Polański. I właśnie dzięki takiemu niesemickiemu wyglądowi rodzinie udało się wyprowadzić syna z getta. Tak jak Oliver Roman tułał się od tej pory po obcych domach.

W „*Oliverze Twiście*” reżyser wiernie odtworzył świat nędzy, bo sam poznał go od podszewki

Jako chłopiec przeszedł przez piekło getta tak jak bohater jego obsypanego Oscarami „Pianisty”

Po ucieczce z getta Polański trafił na wieś. Obrazy prowincji odmalował po latach w „Tess” (1979).

Pierwszy film po ucieczce ze Stanów opowiadał o gwałcie.

Prasa zagrzmiała



Przed „*Dzieckiem Rosemary*” (1968) to Polański reżyserował swoje filmy, po – filmy zaczęły reżyserować jego życie

Przed filmowym powrotem do lat wojennych artysta wzbraniał się długo. Nie przyjął od Spielberga propozycji reżyserowania „Listy Schindlera”. Natomiast wspomnienia ocalałego z Holocaustu pianisty Władysława Szpilmana były dla Polańskiego o tyle mniej bolesne, że rozgrywały się w getcie warszawskim, a nie krakowskim, w którym sam przebywał. Ale

w „*Pianiście*” (2002) wątki autobiograficzne powracają mimowolnie. W losie kompozytora zawiera się motyw tułaczki po kolejnych kryjówkach, a także kompleks jedynego ocalałego – przez całą wojnę Polański myślał przecież, że tak jak krewni Szpilmana jego bliscy zginęli w obozach koncentracyjnych.

Zresztą dzieciństwo i młodość Polańskiego to nie tylko samotność

i wojna, ale też pierwsze artystyczne fascynacje. Jeszcze podczas okupacji zobaczył w kinie „Przygody Robin Hooda”, a już w wyzwolonej Polsce zachwycił się sztukami Szekspira. Mimo że będzie go to kosztować poważne nadszarpnięcie reputacji, wróci do nich po latach w „*Piratach*” i „*Tragedii Makbeta*”.

(Trelkovsky to nie ja)

W pierwszej połowie lat 60. reżyser ceniony już dzięki sukcesowi „*Noża w wodzie*” wyjeżdża z Polski. Najpierw do Paryża, później do Londynu, gdzie kręci „*Wstręt*”. Wydawało się, →

Dorośle życie Carol (Catherine Deneuve), bohaterki „*Wstrętu*” (1965), naznaczyła trauma z dzieciństwa. Brzmi znajomo?

Kręcąc „*Nóż w wodzie*”, Polański miał ledwie 27 lat. Od 1961 roku nie mieliśmy w Polsce tak fenomenalnego debiutu





„Frantic”: 22-letnia **Emmanuelle Seigner** – przyszła żona reżysera – była tu zmysłowa niczym kotka na gorącym blaszanym dachu

→ że na emigracji czuł się jak ryba w wodzie. Występujący we „Wstręcie” John Fraser mówi o nim: „Na przyjęciu, które urządził, byli wszyscy stonisi i dwóch beatlesów. Uwielbiał to”.

Z filmu, który nakręcił kilkanaście lat później, wylaniał się odmienny portret emigranta. W „Lokatorze”, bo o nim mowa, niejaki Trelkovsky, urzędnik polskiego pochodzenia naturalizowany we Francji (zupełnie jak reżyser), staje się obiektem prześladowań francuskich współlokatorów. Po premierze obrazu krytycy obwieścili, że to „najbardziej osobiste dzieło reżysera”. – Trelkovsky zupełnie nie jest mną! – bronił się Polański.

Żeby zrozumieć dlaczego, trzeba się cofnąć do roku 1969. Miejszanie życia z kinem miało wtedy dla Romana Polańskiego tragiczne skutki. Choć nigdy nie odkryto bezpośredniej przyczyny zabicia Sharon Tate, żony reżysera, i kilku osób przebywających z nią w rezydencji agenta gwiazd Rudiego Altobello, mord dokona-

ny przez grupę Charlesa Mansona wiązano z „Dzieckiem Rosemary”, dziełem Polańskiego z 1968 roku nazywanym pierwszym satanistycznym horrorem.

Ten film jako dowód obciążający pozwanego wyciągnięto też przy okazji procesu, podczas którego artysta sądzone był za stosunek z 13-letnią Samantha Gailey. Znajduje się w nim scena gwałtu, co – jak sugerował prokurator – mogło być projekcją fantazji reżysera zrealizowanych później w świecie rzeczywistym. Czy będąc ofiarą tak absurdalnych osądów, jakikolwiek filmowiec nie unikałby od tej pory łączenia własnego życiorysu z kinem?

A przecież „Dziecko Rosemary” nie miało być jedynym filmem, który spowodował tragiczny zwrot akcji w życiu Polańskiego. Pokaz dokumentu „Polański: ścigany i pożądaný” na festiwalu w Sundance w 2009 roku znów skupił uwagę na wydarzeniach sprzed lat i doprowadził do aresztowania Polańskiego w Zurychu.

(„Autor widmo” w Berlinie, Polański w Gstaad)

W piątek 12 lutego na festiwalu w Berlinie odbywał się galo-

wy pokaz najnowszego filmu Romana Polańskiego „Autor widmo”, który jest jednym z dwadzieści tytułów rywalizujących tam o Złotego Niedźwiedzia. 19 lutego obraz wszedł do polskiego kin. Czy – jak bywało w przeszłości – i to wydarzenie kinowe wpłynęło na życie reżysera? Choć dyrektor Berlinale Dieter Kosslick podkreślił, że o wyborze filmu zadecydowały względy artystyczne, nie ulega jednak wątpliwości, że zarówno jego pokazy na festiwalu, jak i poza nim, dla środowisk sympatyzujących z Polańskim będą kolejną okazją do demonstracji poparcia dla reżysera.

Zresztą, i w tym jego filmie kino w dziwny sposób splótło się z życiem. Sceny obłączenia położonej na odludziu posiadłości byłego premiera Wielkiej Brytanii Adama Langa (głównego bohatera filmu) przez chmurę natrętnych dziennikarzy do złudzenia przypominają przecież spektakl medialny, który już po nakręceniu zdjęć do „Autora widmo” rozegrał się w Gstaad.

Samego reżysera w Berlinie nie było. W swojej szwajcarskiej posiadłości czeka na ekstradycję do USA. □

Echa oskarżenia o gwałt słychać było w kinie Polańskiego przez lata. W odważnych erotycznych „Gorzkich godach” (1992) pokazał związek młodziutkiej Mimi (Seigner) z dużo starszym od niej Oscarem (Peter Coyotte)



Po sztormie wywołanym przez „Tess” (1979) Polański zamilkł na lata. Za kamerę ściągnęła go dopiero wizja spełnienia dziecięcych marzeń: „Piraci” (1986)

Dokument „Polański: ścigany i pożądaný” miał reżysera rozgrzeszyć. Ale to właśnie po premierze tego filmu od nowa popadł w kłopoty



ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

KRZYŻÓWKA O ZWIĄZKACH RODZINNYCH: JOLI I OLA – CÓRKA, SZARY MA DOŚĆ DZIWNYCH SPOTKAŃ, A KURKIEWICZ NIECO DEMONIZUJE

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Spotkania na krańcach świata, czyli ta chwila do innych niepodobna



SZARZY UMÓWILI SIĘ KIEDYŚ w żoliborskim klubie Spotkania. Cóż jednak z tego, że spotkać się tam można, skoro już cokolwiek poza tym zrobić trudno. Trudno rozmawiać, gdy w muzycznej kakofonii każde słowo grzęźnie w gardle. Trudno jeść, bo każdy kęs stoi w gardle unieruchomiony cenowymi wyrzutami sumienia. Ze Spotkaniem i tak nie jest najgorzej (przynajmniej nawa nie kłamie), co jednak

powiedzieć o karkonoskim schronisku Samotnia, gdzie na turystę niechętnego spotkaniom zawsze czeka tłum nie do opisania? Każde spotkanie jest inne, nie do powtórzenia. Przykład? Choć zarówno podczas „randki” w Pędzącym Króliku, jak i pamiętnego rendez-vous na 40. piętrze hotelu Marriott doszło do jakichś wycieków-przecieków, to przecież inni byli bohaterowie spotkań, inne menu, entourage, no

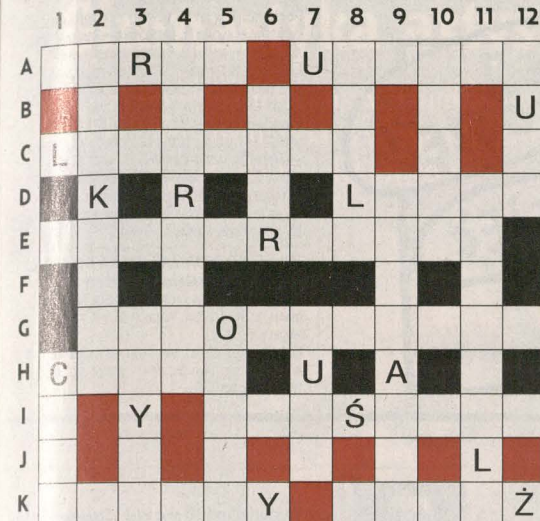
i konsekwencje. Każde spotkanie jest inne... Gdy Szara spotykała kobietę, która nosiła identyczną z jej bluzkę czy spódnicę, traktowała ją jak złodziejkę. Niby kiedy Szara kupowała, widziała, że obok wisi kilkadziesiąt identycznych egzemplarzy, ale zapominała o tym zaraz po wyjściu ze sklepu. Zobaczyć je potem na innych nogach to było tak, jak zobaczyć u kogoś swoje skradzione włosy, oczy albo swój charakterystyczny tik. Gdy Szary spotykał człowieka, który był mu winien pieniądze, przechodził na drugą stronę ulicy, jakby nie był wierzycielem, ale dłużnikiem. Bo czasami, jak choćby podczas oglądania „Mam talent”, wstydzimy się nie za swoje winy i nie za swoją głupotę. Gdy

na imprezach firmowych Szara spotykała kolegów, których widziała co dzień przez osiem godzin i znała każdy pieprzyk na szyi księgowego oraz każdy krzywy ząb Danusi z kadr, w otoczeniu ich żon, mężów i dzieci, dochodziła do wniosku, że tak naprawdę nie wie o nich nic. Bo przecież tłumowi Władek z IT u boku swej promieniejącej polowicy to już niezupełnie ta sama osoba! Kiedy Szary spotykał po raz pierwszy rodzeństwo czy rodziców swoich przyjaciół, myślał, że odkrył owych przyjaciół jakąś straszną tajemnicę – jakby mieli w różnych miejscach i na różne okoliczności przygotowanych wielu sobowtórów. Szarzy spotykali też często osoby, które choć ich zna-

ły, to ich nie rozpoznawali. Najczęściej zachowanie to dotyczyło tak zwanych ludzi kultury. Dlaczego właśnie ich? Może byli przeświadczeni, że ponieważ kulturą zajmują się na co dzień, sami kulturalni być nie muszą? – Zobacz – zaszeleściła „Wyborczą” Szara – czy to nie cudowne, że tegoroczną nagrodę gazety Wdech do stały Warszawskie Spotkania Teatralne?! – Być może – rzekł Szary – ale ta impreza powinna zdecydowanie zmienić nazwę. Trudno się tam spotkać, skoro dziwnym trafem pierwszego dnia sprzedaży nie ma już większości biletów. A te, które są, mimo wielomilionowej dotacji dla WST kosztują tyle, ile wejściówki na Madonnę...

JOLKA NR 7

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY
11-LITEROWE:

• ZNANY Z POBICIA
• POŁOŻONE LICZBY

WYRAZY
8-LITEROWE:

• SPOKOJNY WESOŁEK
• NA LUZAKU
Z TEKSASU • NIE ZAPRASZAJ NA NIĄ
PROMETEUSZA • IW WYDZIW • ZAKRĄPIANY PRZEDMIOT (MUGOL NIE PODPOWIE)
• ZTERENEM NA KARKU

WYRAZY
6-LITEROWE:

• PIERCING PERCI
• USZKO CACUSZKA

WYRAZY
5-LITEROWE:

• DZIENNIKARSKA NIEKACZKA • KONESER MALARSTWA NAWROTOWEGO
• DZIATKI KU GNU GNA
• IDEALNA TECHNIKA DO SPORTRETOWANIA
BRORZYNY • URWAŁ NAM SIĘ POD

SZCZECINEM • BEZ NIEGO KLAPA TO KLAPA
• BYWALEC MÓW
• WRZENIE W WENIE

WYRAZY
4-LITEROWE:

• WIEPRZ W KORYCIE
• KONCEPCJA, KTÓRA SIĘ ROZLECI, GDY PRZYJDZIE TRZECI
• WIEDZIE ŻYWOT ŻYWIOTNICZY
• NIE TAKI STRASZNY, JAK GO SKOŁUBA MALUJE

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

G8_A5_H11_K3_E7_H4_F11_C7_J1_K4_I1_I9_D10_C8_/_
G7_K9_E3_D6_J3_B8_E5_D12_F4_E8_B6_F9_I10_A2_/_
K10_G12_J7_I11_C12_B4_I5_H2_G10_B10_J9_C5_/_
C6_K8_G6_J5_C10_E11_C3_H3_A1_F2_I7_D9_G3_E2_H5_A11_

LAUREACI Z NR. 3

KRZYŻÓWKĄ:

Bogusława Bodaszewska, Olsztyn;
Danuta Godlewska-Kiełpińska, Toruń;
Krzysztof Helewski, Dąbrowa Górnicza;
Jerzy Masierowski, Stargard Szczeciński;
Barbara Sobolewska, Ostróda

JOLKA:

Edward Chojnowski, Poznań;
Bożena Kiełtyka, Jemielnica;
Bartosz Mrówczyński, Piaseczno;
Janina Nawrot, Katowice; Barbara Sobolewska, Ostróda

RANDKA W CIEMNO WERSJA NIEMOŻLIWA

WYSTĘPUJĄ:
JAKO ONA

– wyjątkowo atrakcyjna Katarzyna Maciąg

JAKO ONI

– po prostu Borys Szy, Lesław Żurek i Bogusław Linda
oraz jako himself – JACEK KAWALEC

JACEK KAWALEC: (okazuje Onych)
ONA: (wybucha szyderczym śmiechem i wychodzi)

KURTYNA zapada przy dźwiękach fanfar, w które dumnie dmą przedstawicielki Partii Kobiet. Zaciemnienie.

Kino-
teatrzyk
PRZEMKA
JURKA

LEWO
MYŚLNI

Podnieść okoliczności
demoniczne Postanowiłem
pochylić się nad podnoszeniem
okoliczności. Jak to jest?
Idę i patrzę, a oto okoli-
czność. Kiedy się po nią
schylić? Po co?

ROMAN KURKIEWICZ



A WSZYSTKO DLATEGO, ŻE W KTO-
rymś z popularnych ostatnio talk-
-show „śledczych” z czyichś złoto-
ust wytoczyła się fraza: „Nie chciał-
bym, żeby podniesiono okolicz-
ność”. Co to jest podnoszenie oko-
liczności? Podnieść warto okolicz-
ność łagodzącą. Podnieść jak wyso-
ko? Na wysokość oczu? Ponad głó-
wę i rozum? Na poziom serca? Ale
czy serce wytrzyma?

A co z okolicznością obciążają-
cą? Precz odrzucić, ominąć, prze-
skoczyć, wyminąć, zawrócić o 180
stopni i w nogi, jeśli okoliczność
jest za szeroka? Ale czy w ogó-
le od okoliczności można abstra-
hować? Czy to nie jest tak, że oko-
liczności są zawsze, choć mogą być
sprzyjające i niesprzyjające, szko-
dliwe, przyrody, okoliczności zają-
cia, wyjścia, niezajścia? Czy czło-
wiek może funkcjonować poza
okolicznościami? Czy okoliczność
występuje chętniej w jakiejś kon-
kretnej okolicy? W specyficznym
środowisku? Czy okoliczność spra-
wia, że nasz czyn z obojętnego sta-
je się naganny? Czy z okowów oko-
liczności jest wyjście? Czy to nie jest
tak, że życie jest jednym niekoń-
czącym się pasmem okoliczności,
które niepostrzeżenie przechodzą
z jednej okoliczności w drugą, robią
to bez ostrzeżenia, te okoliczności.
Wszystko zależy od okoliczności.
To co zależy od nas? Czy okoliczno-
ści zostawiają nam jakąś szczelinę
na bicie poza okolicznościami?

A w jakich okolicznościach ma-
my do czynienia z opętaniem? No
właśnie – bardzo dobre pytanie.
I na to pytanie w okolicach, nomen

omen, sza, pfu, tfu, Niepokalanowa
obradowali ostatnio polscy egzor-
cyści, czyli spece od przeganiania
złego (albo Złego, jak kto bardziej
manichejski i Zło traktuje z szacun-
kiem godnym boga, sorry, Boga).
Spece od wybadania okoliczności
obecności złego to najżywiej rozwija-
jąca się grupa zawodowa w Pol-
sce ostatnich 20 lat. Na początku
lat 90. było ich w Polsce 3, słownie
trzech. Nastąpił przyrost o 3000
procent, czyli dzisiaj jest ich już
stu! Trzy tysiące procent przyrostu!
Diabeł w nas zainwestował? Do-
konał transformacji? W komuniz-
mie miał nas w d..., a teraz w wiel-
kim poważaniu? Jakim cudem taki
wzrost diabelskich okoliczno-
ści? O tym debatowano. Zjazd był
już co prawda 22., ale po raz pierw-
szy o nim otwarcie poinformowa-
no. Dotąd obradowano tajnie.

Żeby okoliczności niejawnie
wpędziły diabelskie nasienie w nie-
pokój? A kiedy okoliczności wska-
zują, że ktoś jest opętany, i pogoto-
wie egzorcystryczne rusza na sygna-
le okolicznościowym? Rusza An-
no Domini 2010 w środku Euro-
py? To proste. Są takie trzy okolicz-
ności: strach przed świętością, wie-
dza lub umiejętności paranormal-
ne bądź po prostu nadzwyczajne
zachowania... W każdym razie jeśli
ktoś zauważy wspomniane wyżej
okoliczności świadczące o opęta-
niu, należy zawiadomić najbliższe-
go proboszcza, a on wykreśli na po-
sterunek egzorcyistów. I po strachu.

Takie to okoliczności mamy.
Diabli by to nadali... A nie Radio
Niepokalanów...

MYŚLNIK

Gdy wierzymy w duchy,
one się z nas w duchu śmieją.

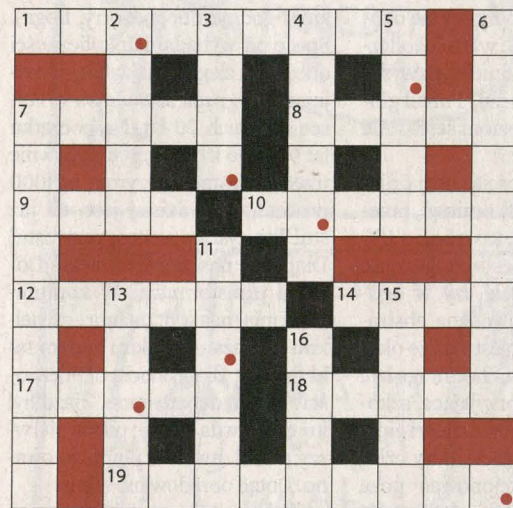
Krzysztof Bilica



FOT. BOGDAN KRZEL



KRZYŻÓWKA NR 7



Sponsorem nagród do jolki i krzyżówki jest sklep internetowy www.stereo.pl



stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

- AMERYKANIN W PARYŻU
- JOLI I OLA OLA
- DWIE STRONY NA JEDNEJ STRONIE
- PRACUJE W ELEKTROWNI
- OSTATNIA PŁYTA MICHAELA JACKSONA
- O AGACIE
- SZYCHA Z WĄCHOCKA
- DWIE SZÓSTKI Z MATMY
- KOKOSI SIĘ
- TROCHĘ RACJI

PIONOWO:

- PADA NIE DALEKO OD JABŁKA
- WODY WARTY
- KAŻDY KURACJUSZ MUSI TO PRZEJŚĆ
- MĄDRY PODCZASZY
- J. KOWALCZYK
- JAK SIĘ PISZE
- LISTA MARZEŃ
- BUDYNEK Z OKIENKAMI
- TAKI SAM
- CO POLACY STAWIAŁI NIEMCOM?

ROZWIĄZANIA Z NR. 5

KRZYŻÓWKA: KALIBER

Poziomo: 1. WYRYWA TOWARY — KLEPTOMAN 7. KOŁO KWIATÓW — KŁOMB 8. KREMÓWKA — RURKA 9. WĘGLA JUŻ NIE MA — MIAŁ 10. ŚWIĘTY MIKOŁAJ — BISKUP 12. LUDZIE ZE ŚLĄSKA — ZESPÓŁ 14. ZA BARDZO — ZBYT 17. DZIECKO CÓRKI — LALKA 18. ONA MA KOTĘ — KOTKA 19. KOLEGA JAKA FEDOROWICZA — KIEROWNIK

Pionowo: 2. KA PRZED E — EPOKA 3. ZGADNIŁE I NIE MÓWIE — TABU 4. PRZED PIESZCZYKIEM W „PRZEBROJU” — MARCIN 5. BADA PRÓBKĘ DNA — NUREK 6. NA DRUGĄ NÓŻKĘ — SKARPEK 7. NA BARACKU W HAWAJACH — KAMIZELKA 11. SPOD BIAŁEGO STOKU — GÓRAŁA 13. NA MNICHA — SZLAK 15. SZTABKA SŁODA — KATON 16. WSTAWIONE W KNAPIE — OKNO

JOLKA: WYPRAWA ŚLIMAKA DO GRÓDU KRAKA (tytuł książki Barbary Sudeł)

Rzędami: ZAPRZĘG, AURORA, MACHO, KAMERYSTA, OMAM, BOŚNIA, DZEM, PIERSIÓWKA, NIGER, ŚWIEC, RAKIETY

Kolumnami: ZIMNO, MINIÓWA, PACKA, HAMBURGER, ZŁOM, ŚWIDER, GAWRON, WNIOK, PRZYPADKI, ZAGŁE, TRUTNIE, MORSY

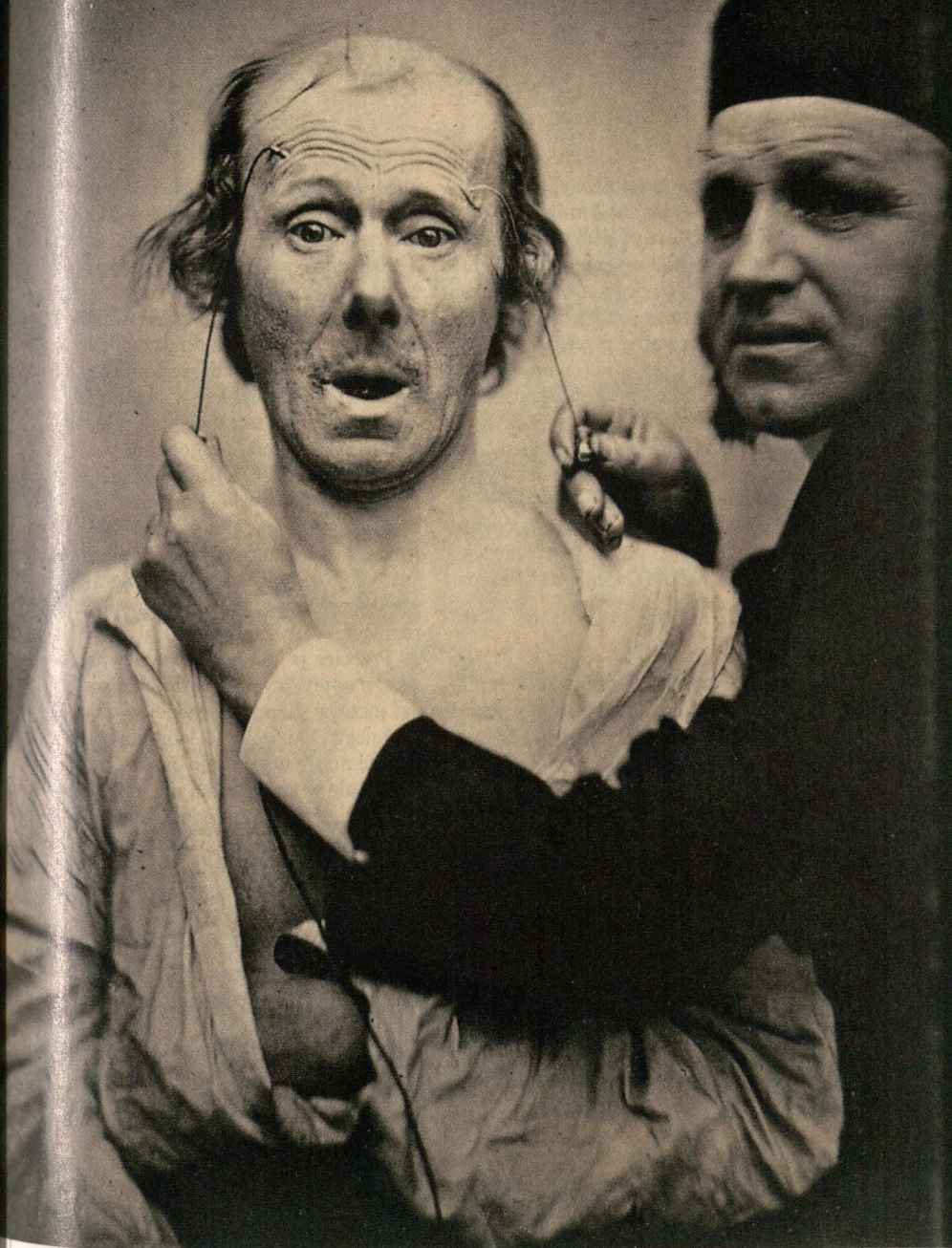
PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45

Wygraj jedną z 10 płyt HIM „Screamworks Love in Theory and Practise”. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 7” lub „krzyżówka 7”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 22 lutego 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

Gimnastyka artystyczna

Twarz zwierciadłem duszy? Guillaume Duchenne jako jeden z pierwszych wykorzystuje fotografię w medycynie. Cokolwiek kontrowersyjne



PARYŻ 1852 ROKU. GUILLAUME BENJAMIN AMAND Duchenne jest lekarzem i naukowcem. Przez poprzednie kilkanaście lat prowadził praktykę w rodzinnym Boulogne-sur-Mer. Zawodowo radził sobie dobrze, ale jego życie prywatne było pasmem porażek. Pierwsza żona zmarła przy odbieraniu przez niego porodzie, odebrano mu prawa rodzicielskie do syna, drugie małżeństwo rozpadło się po kilku latach... Duchenne przeprowadza się więc do Paryża, gdzie bardziej niż

leczeniem zajmuje się badaniami mającymi rozwinać medycynę.

Głównym obszarem jego zainteresowań są – jak byśmy powiedzieli dzisiaj – neurologia i elektrofizjologia. Duchenne opracował metodę stymulowania mięśni mimicznych elektrycznością. Zasilane prądnicą Faradaya elektrody podłącza do twarzy, wywołując skurcze mięśni charakterystyczne dla konkretnych emocji. Wierzy, że poznanie uniwersalnych zasad rządzących

Duchenne odkrył, że podczas uśmiechu wynikającego z rzeczywistej radości oprócz mięśni ust pracują również mięśnie oczu. **Taki szczery uśmiech fachowcy nazywają uśmiechem Duchenne'a**

mimicznym wyrażaniem podstawowych stanów uczuciowych jest kluczem do poznania mechanizmów rządzących ludzką duszą.

Podczas gdy Duchenne zajmuje się swoimi eksperymentami, w fotografii dochodzi do technologicznej rewolucji. Królująca do tej pory dagerotypia gwałtownie wypierana jest przez mokry kolodion – łatwiejszy w użyciu i znacznie bardziej światłoczuły. Czas naświetlania z kilku minut skraca się do kilku sekund. Fotografowie oprócz architektury i portretu mogą uwieczniać w miarę dynamiczne sytuacje. Doktor Duchenne postanawia wykorzystać nową technologię do dokumentacji swoich medycznych zabiegów.

Do pomocy zatrudnia Adriana Tournachona, byłego studenta medycyny, teraz przede wszystkim asystenta swojego starszego brata, sławnego paryskiego portrecisty Nadara („Stopklatka” w „P” nr 31/2009). Głównym modelem zostaje mieszkający w sąsiedztwie podstarzały szewc. Model jest intelektualnie ograniczony, ma zmniejszone czucie w rejonie głowy. Ułatwia to operowanie elektrodami i zmniejsza etyczne wątpliwości naukowca. Tournachon robi zdjęcia, Duchenne obsługuje medyczną aparaturę, w związku z tym czasami pojawia się w kadrze. Doktor mówi, że uprawiają „gimnastykę duszy”. Rejestrują naukowo kontrolowane uniwersalne wyrazy emocji. □

7 Bóg dał nam język instynktownego wyrażania uczuć przez napinanie mięśni twarzy. Jest to język uniwersalny i niezmienny

GUILLAUME DUCHENNE



↑ Zielono mi!
Herbata w tabletkach do czyszczenia twarzy



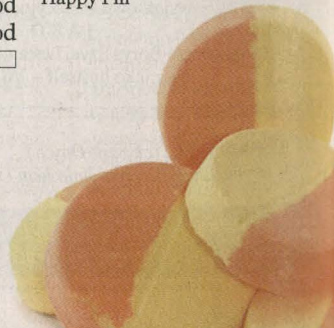
⬇ Ślinka cieknie
na samą myśl o tym, co jest w tym mydle: wanilia, kakao i karmel

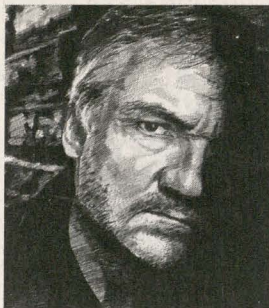


⬇ Tak, to też jest do czyszczenia, nie do jedzenia.
Czekoladowe mydło

✓ Magiczna pastylka (do kąpieli) ma uszczęśliwić, dlatego nazywa się Happy Pill

⬇ Nie, to nie jest guacamole podawane z papają, tylko maseczka przeciwzmarszczkowa





Peerelowski atawizm bydlęcego szczęścia, kiedy się udało coś upragnionego zdobyć, odżywa z całą mocą – niosę karton gauloises „spod lady” i jestem co najmniej tak szczęśliwy jak w stanie wojennym

JERZY PILCH

21 STYCZNIA

W CZORAJ WYSZEDŁEM NA MIASTO W DWU RÓŻNYCH BUTACH. Przypadek? Początek? A może już środek? Fakt faktem: kończyny fruwały – niczym Duch Święty – kędy chciały. Zamiaty trzeba było miarkować. Wyszedł wybór wierszy Ryszarda Krynickiego, wieczorem wybierałem się na urządzone z tej okazji spotkanie z autorem w Czującym Barbarzyńcy, teraz z brawurowych planów nici. Wiedziałem, że na taką odległość za żadne skarby nie dam rady dotrzeć, ale na Boga! – po gazety chyba się doczłogam? Było marnie, ale w końcu bywało daleko gorzej. Zwłaszcza w poprzednich wcieleniach. Poza tym jak mawiali mój stary i król Salomon: „Kto siebie pokona, więcej uczyni niż ten, co miasta dobywa”.

Z najwyższym trudem parę rachitycznych linijek wydusiłem, zamknąłem laptopa i od razu nagroda za wytrwałość: udało mi się nie tylko po gazety wyskoczyć, ale i gorącą czekoladę w Green Coffee szarpnąć! Mało tego! Jeszcze po drodze w zaprzyjaźnionym kiosku karton coraz trudniej dostępnych gauloises nabyłem! Nigdy nie były to papierosy zbyt rozległe na ziemiach polskich obecne, tu i ówdzie jednak się trafiały. Obecnie nikną w oczach. Nie tylko wielkie represje, czystki, przesiedlenia, wypędzenia i wszelkie możliwe – tak jest: nie ma co owijać w bawełnę – łącznie z fizycznymi – eksterminacje palaczy czekają – wybrane marki już teraz sprząta im się sprzed nosa. Nie dziwota więc, że każda zdobycz się liczy. Jak przed nadciągającym kataklizmem: gromadzę zapasy, wyznaczam szlaki ewakuacyjne, typuję miejsca, w których będzie można się schronić – ma to swoje plusy. Peerelowski atawizm bydlęcego szczęścia, kiedy się udało coś upragnionego zdobyć, odżywa z całą mocą – niosę karton gauloises „spod lady” i jestem co najmniej tak szczęśliwy jak w stanie wojennym.

W sumie dzień udany, a nawet przyjemny. Żaden wielki filozof nie powie, jaki jest sens życia – każdy z nich doradzi: pilnuj małych przyjemności. Wracalem do domu może nie na skrzydłach, ale w całkiem dobrej formie. Rozwazałem nawet, czy by jednak nie pojechać do Czującego Barbarzyńcy, ale po namyśle zdecydowałem, że dla zwolna odzyskiwanej równowagi korzystniej będzie zostać w domu. Tym więcej ze o 20.30 zaczynała się transmisja meczu Polska-Szwecja.

Przedwcześnie wasze śmiechy! Szczypior-niaka owszem lubię, ale jakaś królewska moja dyscyplina to nie jest, a już myśl, by tę akurat grę w jakimkolwiek wymiarze porównywać czy wręcz przedkładać nad wielkie wiersze Krynia, a zwłaszcza nad ich narkotyczne zniewalające czytanie przez autora, nawet przez łeb mi nie przeszła (co innego futbol – z jego nawet nikczemną ligową postacią każda literatura przegrywa).

Słowem, myśli płaskiej nie miałem, ale miałem dojmujące przeczucie, że mecz wygra ją nasi – na skołotane nerwy to jest bezpieczniejsze od głębokich wzruszeń. Wiem, co mówię – praktycznie przestałem słuchać muzyki, nawet Bacha już nie puszczałem – na razie rozstraja do szczętu.

22 STYCZNIA

WRACAM PRZETO BEZPIECZNIE DO SIEBIE, otwieram drzwi, zapalam światło i widzę rzecz bardzo dziwną: jeden mianowicie z pary zimowych butów, które mam na nogach, nonszalancko stoi w przedpokoju. Co więcej, obok jednego z pary zimowych butów, które mam na nogach, stoi jeden z pary lekkich półbutów, które przed wyjściem zdjąłem i które zaraz – zdjawszy wpierw, ma się rozumieć, parę zimowych – obuję (Tak jest, nie mam zamiaru nikogo ekscytować, ale po domu chodzę w butach, nie mam żadnych pantofli, o jakichś – bez pawia niewymawialnych – „kapciach” nie wspominając. Pamiętacie schwytnie Saddama Husajna? Pamiętacie brudnozielone „papatki” przy wyrku dyktatora? Kto ma takie „kapcie”, w jeden tylko sposób może skończyć).

Kieruję stężały wzrok ku stopom: sytuacja – jak się domyślacie – analogiczna: jeden taki, drugi taki; jeden zimowy, drugi letni; jeden półbut, drugi wysoki; jeden skóra, drugi nubuk; jeden w stylu adidasa, drugi kamasza – oba na szczęście czarne. Oba na zgubę na moich nogach.

23 STYCZNIA

CAŁKIEM JAK W DAWNYCH CZASACH PO NIEZŁEJ imprezie: człowiek budzi się i odczuwa nieubłaganą potrzebę rekonstrukcji. Co się działo? Jak do tego doszło? Jak to w ogóle było możliwe? Zdjąłem jeden półbut, wzięłem na jego miejsce but zimowy, zawiązałem sznurowadło i uznałem, że gotowe? Druga noga – jak-

kolwiek to brzmi – wyleciała mi z głowy? Drugiego półbuta już nie ruszałem? Stało się coś? Coś mnie rozproszyło? Zdumiało? Przeraziło, a może zaabsorbowało do tego stopnia, że nie tylko o butach, ale w ogóle o bożym świecie zapomniałem? Zadzwoił telefon? – skąd, oba wyłączone. Znów ktoś do drzwi kołatał? Nikogo nie było. Wychodzi, że pomiędzy jednym a drugim butem runąłem w ciemność?

To nie jest aż tak specjalne, z jednej strony nie znamy dnia ani godziny, w której runiemy w ciemność, z drugiej nie takie rozproszenia ludzie miewają. Konwicki na przykład nie takie w „Kalendarzu i klepsydze” rekordy roztargnienia odnotowywał. Tyle że po pierwsze: w ogóle nie jestem (nie byłem?) roztargniony, po drugie: jakim cudem nie poczułem różnicy?

Przecież ja w tej kuriozalnej parze trzewików spory kawałek Hożej i ładnych kilkaset metrów Marszałkowskiej w obie strony! Po śniegu i lodzie! W 10-stopniowym mrozie! Trochę mi się tylko zdało bardziej niż zwykle ślisko, ale w końcu zima nie byle jaka! Żadnej różnicy nie zauważyłem ani w masie, ani w ciężarze, ani w izolacji termicznej. Letni but nie przemókł, zimowy nie przeważał. Jaka stąd wynika – jak teraz mądrale mawiają – konkluzyjność? Czy jest tak, że wysokie i ocieplane buty zimowe w sednie swej istoty niczym się nie różnią od najzwyczajniejszych w świecie półbutów, a przekonanie, że się różnią, jest jednym ze zniewalających zabobonów, jakie narzuciła cywilizacja, a specjalnie wielkie koncerty szewskie? Czy też jest tak, że ja nie tylko buty pomyliłem, ale i czucie straciłem? Nie tylko w nogach? W ogóle? Nie mam pojęcia. Świat jest pełen zagadek.

Z innej jeszcze strony – cóż za fart! Maluczko przecież, a ja bym w dwu różnych butach na wieczór Krynia polazł. Oczywiście żadna tragedia by się nie stała. Na jednym z najważniejszych wydarzeń literackich roku mieć na nogach taki konglomerat – może by to nawet było wizerunkowo niezłe. Ale dla mnie z różnych powodów fatalistyczne. Wstyd zwyczajny.

Może jednak? Może przeto? Może tedy, Pilchu, widząc, że Weń wątpisz, dał ci Pan znak, mieszając obuwie twoje, a potem bezpiecznie cię wywiódł na widne pastwiska? OK. Przeczucie, że wygramy ze Szwecją, się spełniło. Zobaczymy co dalej.

To nie my... budujemy studnie w Sudanie...



**Robią to ludzie
tacy jak Ty.**

Ludzie, dzięki którym świat staje się lepszy.

Przekaz **1%** swojego podatku
Polska Akcja Humanitarna
KRS 0000136833 www.pah.org.pl/jedenprocent

Kupując Internet SuperLiga, wspierasz naszą nową kadrę.

netia
WOLNOŚĆ WŁASNOŚCI

netia

INTERNET SUPERLIGA 49 ZŁ

KADRA

INTERNET SUPERLIGA 49 ZŁ

**INTERNET
SUPERLIGA
49**

Tomasz Kot

► internet za 49 zł mies.
+ abonament
telefoniczny gratis

Wesprzyj naszą nową kadrę. Kup Internet SuperLiga za 49 zł, a my za zgromadzone pieniądze pozyskamy kolejnych piłkarzy. Warto, bo nasza kadra rośnie w siłę, a Ty dostajesz abonament telefoniczny gratis.

801 802 803 (także z komórki)
SMS: 4144

www.netia.pl

Podana cena jest ceną miesięczną. Abonament telefoniczny gratis obowiązuje przez 4 miesiące przy umowie na zakup pakietu usługi internetowej z telefoniczną na 24 miesiące, przy czym gratis oznacza, że operator udziela rabatu w kwocie wysokości opłaty abonamentowej. Szczegółowe Warunki Promocji na www.netia.pl. Koszt połączenia z infolinią oraz SMS-a zgodny z cennikiem Twojego operatora. Netia nie jest sponsorem profesjonalnej piłki nożnej.